

ANNA M. BRENGOS

NOC
prawdy



Anna M. Brengos
NOC PRAWDY



Radom 2021

Copyright © *Anna M. Brengos*
Copyright © 2021 by Lucky

Projekt okładki: *Ilona Gostyńska-Rymkiewicz*

Skład i łamanie: *Mariusz Dański*

Redakcja i korekta: *Halina Bogusz*

Wydanie I
Radom 2021

ISBN 978-83-66332-88-1

Wydawnictwo Lucky
ul. Żeromskiego 33
26-600 Radom

Dystrybucja:
tel. 501 506 203
48 363 2519

e-mail: kontakt@wydawnictwolucky.pl
www.wydawnictwolucky.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Noc prawdy

Epilog

Prolog

Dom Nowaków, specjalnie dla nich projektowany, okazały i nowoczesny stał w otoczeniu ogrodu na skraju Wioski Małej. Usytuowany był wręcz bajecznie nad rzeką, nieopodal mostu. Ściana lasu po drugiej stronie rzeki i rząd topoli rosnących wzdłuż drogi prowadzącej przez wieś stanowiły naturalną otulinę dla tego miejsca. A miejsce to nie było jakie. Jedni mówili, że zaczarowane, inni, że przeklęte, jeszcze inni, że to miejsce mocy. Wszystkie te opinie oparte były na krążącej we wsi legendzie, jakoby właśnie tu początek swój wzięła klątwa wisząca nad mieszkańcami osady. To w tym ogrodzie w dawnych, ale wciąż wspominanych czasach stał dom zielarek... I ogród już nie ten, i po ich domu nie pozostał ślad, choć starzy gospodarze twierdzą, że do niedawna były tu jeszcze resztki komina. Jedyne co pozostało, to wciąż wisząca nad wsią klątwa rzucona przez posadzoną o czary zielarkę. Nim spłonęła na stosie, przeklęła mieszkańców wsi, fałszywie oskarżających ją o czary. Kto tego dnia skłamał, tego spotka nieszczęście i tak aż do ostatniego pokolenia. Jest szansa na zdjęcie przekleństwa, ale od wieków jeszcze się to nie udało. Wyzwanie wydaje się łatwe – wystarczy, by nikt nie skłamał przez jeden szczególny dzień w roku, to jest dzień świętego Nikodema, patrona miłujących prawdę. Jak się jednak okazuje, kłamstwo jest tak wpisane w naturę ludzką, że powstrzymanie się od niego przez dwadzieścia cztery godziny było niemożliwe od tylu lat.

O tym, że wieś jest potępiona, Nowakowie dowiedzieli się po fakcie, to znaczy już po przeprowadzce. Nie wszyscy członkowie rodziny byli w stanie się z tym pogodzić. Po doświadczeniach pierwszego Dnia Prawdy pani domu, Anna, stwierdziła, że dłużej tu nie pozostanie. Nowakowie porzucili dopiero co założone gniazdo. Na miejscu została ich córka Zuzanna – świeżo upieczona absolwentka politologii – i babcia Joanna. Mrożące krew w żyłach przygody sprawiły, że ich lokatorem został agent służb specjalnych Miron, choć w kwiecie wieku, to teraz już na emeryturze.

Skończył się pełen wrażeń dzień – gwarny, rojny i wesoły. Przebiegał jak większość dni, które starsi i młodszy mieszkańcy wsi po zakończeniu swoich obowiązków lubili spędzać w salonie Nowaków adaptowanym dzięki dotacjom unijnym na większą świetlicę. Kiedy za ostatnim gościem zatrzasnęła się furtka, Zuzanna sprzątnęła porzucone po całodziennym aktywności sprzęty i wszyscy domownicy zaszyli się w swoich apartamentach. Zuzanna i Babcia zajmowały część górnych pokoi, obchodząc z daleka atelier rodziców mieszczące się w oddzielnym skrzydle. Każda z nich miała do dyspozycji swoje studio, śmiało mogące uchodzić za osobne mieszkanie. Podobnie niezależnie mógł czuć się Miron, który zajmował gościnny pokój z łazienką na parterze. Mieszkając pod jednym dachem, wszyscy domownicy mieli warunki, aby zachować autonomię lub po prostu móc się odizolować. Było to szczególnie istotne, gdyż przez ich życie przewijały się tabuny ludzi, a dom praktycznie przestał być ich prywatnym lokum. Babcia powtarzała często, że to dom publiczny. Na szczęście równie publicznie tego zdania nie głosiła. Kiedy więc świetlica pustoszała, mieszkańcy lubili rozkoszować się ciszą i oddawać swoim ulubionym zajęciom, grając przy wspólnym kuchennym stole w scrabble lub spędzając czas w samotności.

W ten późny deszczowy wieczór każdy w swoim kącie pochłonięty był innym zajęciem. Babcia stawiała po raz kolejny pasjansa, za każdym razem oszukując, jeśli nie chciał jej wyjść po losowym rozłożeniu kart. Zuzka u siebie scrollowała Facebooka w poszukiwaniu śmiesznych memów. Miron pogrążony był w lekturze thrillera. Bardziej go irytował, niż intrygował. Rozśmieszała go zwłaszcza ignorancja autora, który zawiązał akcję wokół produkcji pistoletu Glock w USA. Babcia również lubiła „męską literaturę”, ale zapewne nie zwróciłaby na ten szczegół uwagi, Miron zaś doskonale wiedział, że ta broń jest produkowana w Austrii. Uśmiechnął się na wspomnienie swojego małego, dyskretnego, bo swobodnie mieszczącego się pod marynarką, ale jakże skutecznego Glocka z6, którego traktował jak przyjaciela. Jego koledzy woleli starsze modele – siedemnastki albo dziewiętnastki. Owszem, przez to że były większe, groźniej wyglądały, ale Mironowi broń nie służyła do zastraszania, tylko...

W ciszę przysypiającego już domu wdarł się dzwonek przy furtce. Każdy z naszej trójki odruchowo spojrzął na zegarek z myślą: „Kogo to niesie o tak późnej porze?”. Dochodziła północ. Rajd gwiazdzysty do drzwi wygrał Miron, bo miał najbliżej. Uwolnił wejście i czekał w progu. Zza jego pleców Babcia i Zuzka z zaciekawieniem wyglądały, kto to może być. Lampy z czujnikami ruchu oświetlały zbliżającą się w potokach deszczu postać. Po chwili stanęła przed nimi przemoczona do suchej nitki kobieta. Na oko trzydziestopięć-czterdziestoletnia. Długie, ciemne włosy przylegały jej do twarzy, a przemoczona podkoszulka kompromitująco demaskowała brak biustonosza, co nie uszło uwagi Mirona. Ocknął się po chwili magnetycznego skamienienia i odchrząknął. Kobieta zorientowała się, skąd jego reakcja i odruchowo zasłoniła piersi ramionami.

– Dziecko kochane, ależ pani zmokła! Wejdzże do środka – zakrzyknęła Babcia, odsuwając Mirona z przejścia.

Ustał drogi i zamknął drzwi. Babcia prowadziła szczękającego zębami gościa do kuchni.

– Chłopcze, przynieś szybko duży ręcznik – poleciała. – A ty, Zuzik, nastaw wodę i poszukaj soku malinowego, bo nam się tu kobieta rozłoży.

– Może nie tak szybko. Raczej odporna jestem, ale dziękuję – gościowi udało się wydobyć z siebie głos.

– Nie dopuścimy do tego. Wielki Boże, musi się pani przebrać.

– Skąd się tu wzięła w tym deszczu? – wciąż podejrzliwy z racji byłego zawodu Miron rozpoczął przesłuchanie, podając ręcznik.

– To długa historia – zaczęła nieznaną. – Mówiąc w skrócie, zepsuł mi się samochód. W lesie. Jakies dwa kilometry stąd. Odstawił kangura i stanął. I już nie ruszył. A do tego rozładowała mi się komórka, więc nie mam jak wezwać pomocy drogowej. Czy mogę skorzystać z państwa telefonu?

– I tak nikt tu o tej porze nie przyjedzie – stwierdził Miron.

Kobieta spojrzała na niego zawiedziona. Ręcznik, którym wycierała włosy, opadł na kolana.

– W takim razie co mi państwo radzą? Nie chciałabym robić kłopotu. Potrzebuję tylko wezwać lawetę i zaczekam na nią w samochodzie.

– Jasne. I wrócisz tam, dziecko, w tej ulewie, i całą noc będziesz czekała na głodniaka, w lesie, sama, po ciemku, aż przyjadą cię zbawić? – Babcia rozwinęła przed nieznajomą wizję oczekiwania na pomoc. – Mowy nie ma. Zaczekaj, Zuzka, z tą herbatą – zwróciła się do wnuczki. – Niech się kobiecina najpierw wykąpie w gorącej wodzie, bo przemarzła. Daj jej jakieś suche ciuchy, a ja naszykuję kolację.

Kiedy rozgrzana prysznicem kobieta w Zuzkowym dresie wychyliła się z używanej przez Mirona łazienki, wszyscy zgromadzili się wokół kuchennego stołu.

– Maliny malinami, ale na przemarznięcie nie ma jak grog. Daj, chłopcze buteleczkę z barku.

Miron posłusznie sięgnął z braku rumu po wyborową i nalał sporą porcję do szklanki gościa.

– A my tak o suchym pysku będziemy siedzieć i patrzeć? Ja proszę na toniku – zrzędziła Babcia.

Miron przygotował drinki dla kobiet, dla siebie postawił kieliszek czystej.

– No dobrze – wrócił do przesłuchania. – To może nam pani teraz powie, w jakim celu jechała pani naszą drogą?

– To droga publiczna – zaczęła zaczepnie nieznajoma, ale zreflektowała się i dodała: – Będę tu mieszkać.

– Tu? – zdziwiła się Zuzka. – Znaczy gdzie?

– Znaczy w Wiosce Małej.

– Znaczy... Znaczy w naszej wsi? – dopytywała Zuzanna. – Znaczy u kogoś z mieszkańców?

– Znaczy nie u kogoś. Znaczy u siebie. Znaczy kupiłam tu dom... Znaczy klinikę. Znaczy...

– Dom? Tu? – Na trzech twarzach odmalowało się zdziwienie. – Tu nie ma domu na sprzedaż – stwierdziła Babcia.

– Jest. Znaczy był. Właśnie go kupiłam.

– I klinikę? Jaką klinikę? – dopytywała Zuza.

– Weterynaryjną. Jestem lekarzem weterynarii – uściśliła nieznajoma.

– Kupiła pani dom i klinikę po Zatopkach?! – Zdumienie wszystkich sięgnęło zenitu.

– Tak, zgadza się – nie mniej zdziwiona ich zdziwieniem była nieznajoma. – I to pani Małgorzata Zatopek załatwiła ze mną wszystkie formalności u notariusza. A coś z tym domem nie tak? – spytała, widząc ich reakcję.

Zmieszanie, konsternacja, zaskoczenie, zdziwienie i niedowierzanie stanowiły mieszanekę uczuć, które przewinęły się przez kuchnię Nowaczek. Pierwszy ochłoniął Miron.

– Czy pani zna Zatopków? – spytał chłodno.

Kobieta wydawała się skonsternowana zmianą jego zachowania z pełnego rezerwy na niemal wrogie.

– Poznałam jedynie panią Małgorzatę przy podpisywaniu umowy. Dysponowała pełnomocnictwem męża, więc jego nie miałam przyjemności...

– Wątpliwa by to była przyjemność – burknęła Babcia.

– Nie rozumiem. Czy to jakieś oszustwo? – Nieznajoma przejęła się ich słowami.

– Mamy nadzieję, że tym razem nie. Na wszelki wypadek lepiej to sprawdzić.

– Jak to?

– Proszę pani – Miron poprawił się na krześle. – Dotychczasowi właściciele pani domu... Jak by tu pani powiedzieć, żeby pani nie zemdlała... Byli na bakier z prawem. Mąż pani Małgorzaty musiał

napisać dla niej upoważnienie do podjęcia w jego imieniu czynności prawnych, bo sam pozostaje w odosobnieniu. Ale jeśli transakcja została zawarta u uczciwego notariusza...

– A są nieuczciwi? – pani weterynarz wyglądała na wystraszoną.

– Bywają. Ale miejmy nadzieję, że pani na takiego nie trafiła. Teraz zróbmy tak – zaproponował Miron, hojnie dolewając alkoholu do herbaty gościa. – Skończymy kolację, prześpijmy się – chrząknął, bo zauważył, że jego słowa zabrzmiały dwuznacznie, ale brnął dalej. – A rano sprawdzimy, co z samochodem i zobaczymy, jak wygląda sprawa domu.

– Zuziu – babcia przejęła inicjatywę. – Pościel pani kanapę w świetlicy... A jak się pani właściwie nazywa?

– Przepraszam, powinnam od razu się przedstawić. Mam na imię Eulalia. Eulalia Kotecka. Sami państwo rozumieją, że z takim nazwiskiem nie mogłam wybrać innego zawodu.

– Eulaaalia... – powtórzyła Babcia, przeciągając samogłoski. – A zdrobniale to jak?

– A to różnie. W domu mówili mi Ela, w szkole nazywali mnie Ula, na studiach byłam Lila, a mój mąż mówił na mnie Lalka. Nie lubiłam tego określenia. Męża zresztą też już nie lubię. I on już jest był... Przepraszam, ja tu się przed państwem wywnętrzam, a państwo już zapewne są zmęczeni. Może pomogę sprzątnąć?

– A niech Pan Bóg broni! – zaprotestowała Babcia, a Zuzka już zgarniała naczynia ze stołu i układała w zmywarce.

Kiedy po wieczornych ablucjach Miron wychodził z łazienki, zobaczył, że w świetlicy nadal pali się światło. Z ciekawości wychylił głowę ze swojego korytarza.

Eulalia siedziała z podkulonymi nogami na kanapie i nawet zimny i nieczuły były agent mógł się domyślić, że płakała. Widać nie taki znów zimny i nieczuły, bo serce w nim zmiękło, wysunął się z ukrycia i nie zważając na nocny strój, podszedł do kobiety.

– Czy coś się stało? Potrzeba coś jeszcze? Czy mogę jakoś pomóc?

Nie wiedział, jak powinien się zachować wobec kobiecych łez. W końcu nikt nie lubi, kiedy się przy nim płacze.

Eulalia przetarła twarz dłońmi i w mankiet Zuzkowej bluzy wytarła nos.

– Mnie już nie da się pomóc – stwierdziła. – To znaczy i tak mi już państwo bardzo pomogli, ale... A tam, życie całkiem jest do dupy! – wybuchła i rozszlochała się na dobre.

Miron nie miał doświadczenia w pocieszaniu, szczególnie w pocieszaniu kobiet. Jego była żona uważała się za twardzielkę i marzyła, żeby mieć męża szeryfa. Wkrótce okazało się, że albo jest się mężem albo szeryfem. Kiedy po raz kolejny łapanie złodzieja było pilniejsze niż kolacja przy świecach, była pani Mironowa wniosła o rozwód. Cały skądinąd sprawny i krótki proces anulowania małżeństwa Miron właściwie przegapił, w każdym razie mentalnie. Akurat rozpracowywali handel organami i miał na głowie ważniejsze sprawy niż ratowanie własnego związku. Żona (była) szybko pocieszyła się w ramionach kolegi z sąsiedniego CBA, co niezbyt dobrze świadczy o jej przenikliwości. Policja, CBS, CBA, ABW, AW, SKW czy inne ABC i RZ – jeden diabeł – zaborą życie i duszę. Jednym słowem zamieniła siekierkę na toporek. A Miron po trzech latach powrotów do ciepłego łóżka został sam. Jeśli prowadził poważne Polaków rozmowy, wysłuchiwał czyichś zwierzeń czy rozkminiał czyjeś żale, to byli to koledzy z firmy. I działał się to zwykle przy alkoholu. Nie mając innych doświadczeń, Miron poszedł do kuchni i wrócił z resztką wyborowej i dwiema lyskaczówkami. Nalał pokaźne porcje, jedną podał Eulalii i usiadł obok na kanapie.

– Dzięki – pociągnęła nosem i uniosła szklanekę w toaście. – Na pohybel! – mruknęła i wielkim haustem opróżniła szkło.

Miron spojrzał z uznaniem.

– Nieźle ci idzie – bezwiednie przeszedł na ty.

– W dupie tam! Co mi innego zostało, jak tylko się strąbić? Sorry, tak właściwie to ja nie piję. Wiesz, jak to jest... Każdej nocy może być jakieś wezwanie do zwierzaka, często siedzimy całą dobę, monitorując procesy życiowe czyjegoś pupila. A to trzeba jechać do wypadku, do porodu, czasem jakieś nieuzasadnione wezwanie. Ale cóż, taka służba. Ciągłe w gotowości. Nalej.

– Znam to – mruknął Miron, wyszcząając ostatnie krople z butelki.

– A znasz to, jak ci się życie rozpierdala?

– Znam nawet to, że jak wracasz z tamtego świata, to nie masz do czego. Jak myślisz, co ja tu robię? Nie martw się, oni wszyscy są tacy, że tobą też się zaopiekują.

– To byłaby nowość.

I Eulalia osmielona życzliwością i znieczulona alkoholem wylała z siebie wszystkie zgromadzone na dnie duszy pretensje do świata. Słowa jej się trochę rozwlekały i miała drobne problemy z artykulacją, ale zwyciężyła nieodparta potrzeba podzielenia się bólączkami.

Właśnie rozstała się z mężem. Poznali się na studiach, razem budowali dom i swoje życie zawodowe. Po kilku latach dorobili się gabinetu weterynarii. Wynajęli pawilonik na peryferyjnym osiedlu, wyposażyli w podstawowy sprzęt i wiodło im się całkiem nieźle. Dzieci nie mieli, bo mąż nie życzył sobie nocnego wstawania, prania pieluch (kto dziś pierze pieluchy?) i przecierania zupek. Eulalia, tuląc i hołubiąc chore zwierzaki, za ich pośrednictwem zaspokajała potrzebę macierzyństwa. Pana męża ciągle gdzieś gonilo, chciał mieć coraz lepiej i coraz wyższą pozycję wśród konkurencji i tak w ogóle. Niestety, jego dążenia do podniesienia statusu nie miały pokrycia ani w możliwościach, ani w intencjach. Były nie miał specjalnie głowy do interesów, za którymi regularnie i bez skutku się uganiał. Rozsądek Eulalii wystarczał za ich dwoje. Jej pracowitość, przedsiębiorczość i przede wszystkim zaangażowanie i serdeczność przysparzały im pacjentów. Gabinet funkcjonował pełną parą. Wszystko było dobrze, ale do czasu. Ktoś przyniósł do lecznicy rannego bielika. Zaopatrzyli go prowizorycznie i mąż pojechał z nim do ptasiego azylu w zoo. Trafił tam akurat na odprawę praktykantów. Później sprawy potoczyły się szybko i same. Przyszła pani weterynarz w rozpiętym fartuchu, spod którego kipiały cycki, pokręciła tyłkiem przed przystojnym panem doktorem i facet przepadł.

– Wiesz, jak to jest. Druga młodość, trzecie zęby. Po prostu mu odbiło.

Laska miała więcej atutów niż tylko korygowany biust i usta glonojada – oprócz młodego i chętnego ciała (jak by nie było piętnaście lat różnicy) blichtr, wypas i komercja.

– Miałam wątpliwą przyjemność poznać panienkę – snuła swoje wywody Eulalia. – Ja ręce samicom w tyłki wsadzam przy porodach, więc paznokcie wykastrowane, a tamta tipsy, że chodnik nimi rysuje. Ja wiecznie w chodakach, bo łatwo wsunąć, albo w gumiakach, jak się gdzieś do konia jechało, bo opiekowaliśmy się taką zaprzyjaźnioną stajnią... A ona szpileczki, kłapeczki, sandałeczki. Ja siano we włosach albo jakieś inne badyle, jak się ze żrebakiem tarzałam, a ona włoski utrefione. Ja spocona, często obsikana albo obsrana, ręce podrapane, bo jak się zwierzakowi kolce z łap wyciągało, to różnie reagował, a tamta topik w lamparcie cętki i spódnica do pół tyłka. I wiesz co? Nawet nie próbowałam konkurować. I jak tak przyjrzałam się tej smarkuli, to mi tego mojego byłego nawet żal. Bo on za nią nie nadąży. Na razie pławi się w szczęściu. Lasia daje mu prowadzić swojego rovera, ściela mu satynową pościel i robi cappuccino z ekspresu w zabudowie. „Mój doktorek” – mówi, a ten satyr jak ćma do gołej żarówki. Dał się złapać na dzianą podróbkę kobiety.

– Przecież wam też musiało się dobrze powodzić, skoro kupujesz dom – bąknął Miron również lekko przyćmiony alkoholem.

– Żartujesz?! Co trochę zarobiliśmy, to ładowaliśmy w gabinet. Ty zobacz, czym ja jeżdżę... Aha, nie zobaczysz, bo w lesie i ciemno.

– To jakim cudem...

– Bez cudów – Eulalia czknęła. – Sorry. Tak się dziewczycy spieszyło, żeby się mnie pozbyć, że urobiła tatusia i mnie wykopali. Znaczący twierdzą, że wykupili... Poniekąd racja. Były z przyszłym teściem

wynaleźli tę okazję, że ktoś sprzedaje dom z kliniką i teściu wyłożył kasę, żeby tylko córeczkę uszczęśliwić. Musi spać na forsie i forszą się przykrywać, bo chociaż cena była okazyjna, to i tak takich pieniędzy nie wyjmuje się ot, tak z kieszeni. A on siup i byłej żonie przyszłego zięcia... Rozumiesz?! I jeszcze remont mi sponsoruje. Były powiedział, że to stara chałupa i wszystko trzeba powymieniać.

– Jaka stara chałupa? Chyba że Zatopek miał jakiś inny dom. Bo ten, w którym mieszkali, jest całkiem nowy. To byli zamożni ludzie i żyli na wysokim poziomie. Byłem tam, czym niewielu może się pochwalić, bo nie przyjmowali gości. Wszystko na wysokim połysk i w najlepszym gatunku. Nawet ściany nie trzeba byłoby odnawiać. No, może trochę pędzłem przelecieć miejscami. Ale remont?

– To masz nade mną przewagę, bo ja tam nigdy nie byłam. Postawili mnie przed faktem. Asia stwierdziła wczoraj, że dłużej nie będzie tego tolerować. Rozumiesz? Ona. Mnie. Dostałam klucze i zgarnęłam ciuchy do samochodu. Dużo tego nie było... O, cholera! A jak mi ktoś okradnie samochód w tym lesie?!

– O to możesz być spokojna. Nawet jakbyś otwarty zostawiła, to tu jest bezpiecznie... No, prawie... Ale samochodów z używanych ciuchów nikt nie okrada.

Miron chciał jeszcze coś dodać, ale zauważył, że Eulalii rozjeżdżają się oczy i po chwili osunęła mu się na ramię.

Ułożył dziewczynę na kanapie, poprawił poduszkę i okrył kocem. Zabrał szklanki i opróżnioną butelkę, zgasił lampę i sam również zakończył dzień... A właściwie noc, bo za oknem już świtało.

Rano świetlica zwykle świeci pustkami. Dzieciaki są w szkole, a dorośli zajęci pracą w gospodarstwie. Dla mieszkańców domu oznacza to możliwość dłuższego pospania, powolnego poranka, czasu na małą czarną, robienie zapasów i szykowanie obiadu. Babcia i Zuzanna wstały po ósmej, zdążyły zjeść śniadanie, nastawić rosół i pranie, zagrabic podjazd i z niecierpliwością czekały, kiedy ich goście się obudzą, żeby wypić z nimi kawę. Po dziesiątej obie zaczęły się niecierpliwic, co u Babci Joanny objawiało się trzepaniem garami. Te kuchenne hałasy martwego by postawiły na nogi, a co dopiero dwoje skacowanych i dotkliwie odczuwających, że żyją.

Pierwszy wynurzył się Miron.

– Asiu – jęknął słabym głosem. – Miej litość.

– Kawa będzie za pięć minut. Myj zęby i siadaj do stołu – zarządziła Zuzka. – Idę sprawdzić, czy Eulaśka żyje.

Widząc osuszoną butelkę, napoczętego, bo napoczętego, ale jak by nie było litra wyborowej, która wyparowała, widząc również kaprawę oczy Mirona i czując, jaki zapach roztacza, kiedy koło niego przeszła, nie musiała się domyślać, że wieczór nie dla wszystkich skończył się równocześnie. Idąc budzić gościa, litościwie zabrała ze sobą pełną szklanę lemoniady.

– Zbawco! – szepnęła Eulalia z wdzięcznością i duszkiem wychyliła napój.

– Mam zapas dziewiczych szczoteczek do zębów, pewnie ci się przyda – mruknęła Zuzka, odbierając z rąk Eulalii puste naczynie.

– Dzięki. Jezu, jak mnie łeb...

Zuzka nie czekała na dalsze wyrzekania i wróciła do szykowania śniadania dla śpiochów.

Nim na stole pojawiły się kubeczki z pachnącą kawą, wszyscy zdążyli zgromadzić się w kuchni.

– Twoje ubranie jeszcze nie wyschło. Wczoraj o nim całkiem zapomniałam. Dopiero dziś wrzuciłam do pralki. Kotłuje się w suszarce, ale to jeszcze potrwa – sumitowała się Babcia.

– Ja naprawdę nie chciałam zrobić państwu kłopotu. I bardzo przepraszam za wszystko – ukradkowe spojrzenie, pełne wyrzutu, skierowała w stronę Mirona.

– Na mnie nie patrz – obronnym gestem uniósł ręce. – Czuję się niewinny. Mało tego, niesłusznie ukarany – palcami potarł skronie.

– Pijcie tę kawę, zaraz dam wam po aspirynie – przynaglała Babcia.

Przy drzwiach dał się słyszeć jakiś ruch. Po chwili, starannie wycierając buty o wycieraczkę, wkroczył do wnętrza Jasiek.

– Zdążyłem przed kawą? – zagadnął zamiast powitania. – Wracam z nocki i trochę mi zeszło, bo dostaliśmy nowy sprzęt od wojewody. Po drodze mało się nie zabiłem, bo jakiś debil zostawił samochód na środku drogi tuż za zakrętem. O, przepraszam – dopiero teraz zauważył Eulalię. – Dzień dobry – próbował nadrobić grzecznością.

– Dzień dobry – odpowiedziała Eulalia. – Ten debil to chyba ja. Rany boskie! – krzyknęła jakby rażona prądem. – Mam nadzieję, że ten mój samochód nie spowoduje żadnego nieszczęścia. Jeśli pan mówi, że tak niefortunnie się rozkraczył, a w nocy nie bardzo potrafiłam ocenić sytuację, to mogę mieć kogoś na sumieniu.

Zerwała się, żeby... właściwie, nie wiadomo, co. Zatrzymała się więc bezradnie w pół gestu.

– Kurczę, ale co ja mam właściwie z nim zrobić?

– Ty nic – orzekła Babcia. – Chyba nie myślisz, że w tym stanie pozwolimy ci usiąść za kółkiem.

– Racja – przyznała Eulalia. – Ale nawet jeśli byłoby to możliwe, to co ja za tym kółkiem zrobię. Mogę nim sobie najwyżej pokręcić. Muszę w końcu zadzwonić po pomoc. Cholera – klapnęła z powrotem na krzesło rozczarowana. – Telefon rozładowany.

– Daj ten telefon – zaproponował Miron. – Zaraz się tu znajdzie jakaś ładowarka. Mam tylko nadzieję, że masz standardowe wejście. I daj kluczyki, zobaczymy, co z Twoim wozem.

– Chyba nie zamierzasz prowadzić? – zawołała oskarżycielsko Joanna.

– Jasiek ze mną pojedzie. Służbę później odeśpi, bo teraz to naprawdę może tam być jakieś nieszczęście. A ty dokąd? – Miron przytrzymał Eulalię za ramię. – Po pierwsze nadal pada, a ty nie masz butów, po drugie damy sobie radę.

Faktycznie, tenisówki kobiety, porzucone w kącie świetlicy, wyglądały jak kupka nieszczęścia.

– Olaboga! – Joanna załamała ręce. – Dziewczyno, czemu ty chodzisz boso? – I zaraz sama sobie odpowiedziała. – No jasne, bo nie ma w czym – i rzuciła się w poszukiwaniu gościnnych kapci.

W czasie nieobecności chłopaków Eulalia ponownie opowiedziała Zuzi i Joannie swoją historię, tym razem trochę staranniej dobierając słowa.

– Nawet nazwiska nie musiałam zmieniać, bo trwałam przy panieńskim – zakończyła.

– Dlaczego? – była ciekawa Babcia.

– A chciałyby się pani nazywać Kotas? Zaręczam, nikt nie wymawia tego nazwiska tak, jak ono brzmi... Właściwie to jestem na was skazana – dodała po chwili. – A wy na mnie... To znaczy, ja oczywiście nie zamierzam się w żaden sposób narzucać ani wykorzystywać waszej gościnności i waszego dobra. Chciałam tylko powiedzieć...

– Chciałaś powiedzieć, że trafiłaś do nas na banicję i dla wszystkich będzie lepiej, jeśli od razu to zaakceptujemy – podsunęła Babcia.

– Nie mam wpływu na to, czy mnie polubicie. Mówiąc szczerze, to po moim nieodpowiedzialnym zachowaniu zdziwiłabym się, gdyby tak było.

– Głupia jesteś – machnęła ręką Joanna, bagatelizując wczorajsze zajścia.

– Nie da się ukryć – odrzekła z rezygnacją Eulalia i złapała ścierkę, żeby powycierać do połysku wyjęte ze zmywarki naczynia.

Mężczyzn nie było ponad godzinę. Ich przybycie obwieszczono zostało warkotem dwóch silników. Na podjeździe oprócz volkswagena Mirona znalazło się mitsubishi Eulalii.

– Mamy prostownik? – rzucił Miron od progu.

– Podejrzewam, że ojciec ma wszystko – stwierdziła Zuzanna, podążając do garażu.

Tata Zuzy, zanim przeniósł się z żoną do cieplejszych miejsc na ziemi, wyposażył dom w niezbędne narzędzia. A że był zapobiegliwym człowiekiem, gospodarstwo zaopatrzył w każdą rzecz, która kiedykolwiek do czegoś może się przydać. Miał więc urządzenia, których trudno było się w tym miejscu spodziewać.

– Benzynę spuściliśmy z Jaskowego motoru, ale prądu nie mamy jak przelać. Odpaliliśmy z kabli. Akumulator padł, bo całą noc miałaś włączone awaryjne. Ale poza tym nic mu nie jest. Zaoszczędzisz na mechaniku.

– Alleluja – Eulalia wzniosła oczy ku niebu. – Ja nie wiem, jak wam się odwdzięczę.

– Już my coś wymyślimy – zażartował Jasiek. – A teraz wybaczcie, nie wiem, jak wy, ale ja idę spać. Dobranoc.

Kiedy za Jankiem zamknęły się drzwi, Joanna pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Jasio jest strażakiem. Złoty chłopak. A ty co się czerwienisz? – zwróciła się do Zuzki. – Nie tylko tobie się podoba. No dobrze, każdej z nas inaczej, ale i tak to świetny dzieciak.

– Babciu, jaki dzieciak, przecież on jest pod trzydziestkę – próbowała sprostować Zuza.

– Toż mówię. Dzieciak – skwitowała Babcia i przydzieliła dziewczynom robotę przy przygotowaniu obiadu.

– Słuchajcie – Miron przejął dowodzenie. – Wy tu zajmijcie się swoimi zupkami, a ja pojedę dowiedzieć się, co z tymi Zatopkami.

– Szowinistyczne gadanie – zbuntowała się Zuzka. – Sam się zajmij zupkami.

– Mogę się zająć, tylko twoi koledzy nie mają tej wiedzy co moi. A ty – zwrócił się do Eulalii – jeśli masz przy sobie akt notarialny, to mi pokaż. I nie waz się jechać do tego domu beze mnie.

Zabrzmiało to tak kategorycznie, że chociaż Eulalia marzyła o tym, żeby znaleźć się pod własnym dachem i poczuć się u siebie, nadal tkwiła pod skrzydłami Nowaczek.

Kiedy poszła do toalety, Zuzka odciągnęła Joannę na bok i zdławionym szeptem zapytała:

– Nie przypuszczasz, że ona może mieć z Zatopkami jakieś większe interesy niż tylko odkupienie ich domu? Dlaczego się tam teraz wprowadza?

– Słyszałaś – Joanna zbyła temat.

– A jeśli to kolejna wysłanniczka mafii?

– Puknij się! Szajka cała rozbita. Lista plac od tego zabitego księgowego pozwoliła wszystkim zidentyfikować i połapać. Wszyscy siedzą.

– A jak nie wszyscy? – Zuzka nie dawała za wygraną.

– To co by tu robili? Obciążająca dokumentacja nie tylko w prokuraturze, ale i na rozprawie została wykorzystana. Czego tu jeszcze można szukać? Zastanów się. I co? I Eulalię tu przysłali? – Babcia znacząco popukała się w czoło.

– Kto mnie przysłał? – Eulalia usłyszała ostatnie zdanie.

– Opatrzność chyba – Joanna wykazała się refleksem. – Najbliższy weterynarz w Miasteczku. Zresztą pijaczyna, więc ludzie do niego zaufania nie mają. Będziesz miała pełne ręce roboty.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mój gabinet.

– Obyś się tylko nie rozczarowała – mruknęła Zuzka, ale nie drążyła tematu.

Nie dane im było porozmawiać aż do wieczora. Jak zwykle po lekcjach dzieciaki rozgościły się w byłym salonie. Zuzanna z Eulalią zajęły się tymi, które przysiadły do odrabiania prac domowych, a Joanna napełniała talerze dla zgłodniałych. Gdyby sanepid zwąchał, że tu „wydaje się posiłki”, Nowaczki miałyby duży kłopot. Oficjalnie świetlica była ośrodkiem kultury. I owszem, spełniała tę funkcję, jednak żadna babcia na świecie nie pozwoli, żeby dzieci po szkole siedziały o pustym żołądku. Nie, nie ma tu „jadłodajni”, ale każdego dnia na dzieciaki czekało „coś na ruszt”. Niemały udział w tym

dożywianiu mieli wszyscy mieszkańcy wsi. Kiedy tylko zorientowali się, że Babcia szykuje frykasy, zaczęły nosić Nowaczkom różne produkty. Początkowo chcieli płacić, bo było dla nich dyshonorem, że obcy ludzie karmią ich pociechy. Jednak w obliczu katerycznej odmowy dumni mieszkańcy Wioski Małej na swój sposób odwzięczali się za serce. A może tylko usypiali sumienie, bo już nie musieli się martwić, czy dzieciaki nie pomrą z głodu, zanim ojce zjadą z pola. W efekcie tych wzajemnych świadczeń w spiżarni Nowaczek piętrzyły się skrzynki warzyw i owoców. Lodówki wielkości szafy, zakupione jako wyposażenie kuchni przez panią Annę Nowak – mamę Zuzki, wypełnione były rąbanką. A to trafiły się jakieś kurczaki, a to kopa jaj, słoje śmietany czy kwintal ziemniaków.

Mysząc o otwarciu świetlicy, Nowaczki założyły, że dotacji nie wystarczy na prowadzenie działalności. Brały pod uwagę konieczność jej dofinansowania z tych dziesięciu milionów, które Zuzka wygrała w LOTTO, a które dzięki inwestycjom ojca w bitcoin wciąż się pomnażały. Okazało się jednak, że dzięki ofiarności całej wsi wydatków wcale nie było tak wiele. Mieszkańcy szybko uznali salon Nowaczek za własny i tak go traktowali. Ktoś przyniósł lampę do odrabiania lekcji, ktoś inny kilka ryz papieru, jeden sąsiad dał pudła kredek, drugi kilka planszówek. Każdy przyjął za punkt honoru nie przychodzić do świetlicy z pustymi rękami. W efekcie klub brydżowy zawsze spotykał się przy frykasach szykowanych na przemian przez członkinie, a zajęcia plastyczne kończyły się obżarstwem ciastkami. Z siatami jabłek albo zgrzewką jajek wyjeżdżał stąd kolega Janka, od lat grający w strażackiej orkiestrze, który z przyjemnością (nie dla jabłek!) raz w miesiącu akompaniował wszystkim na śpiewankach. Brała w nich udział prawie cała wieś, bez względu na wiek. Starsze dzieciaki przygotowały dla wszystkich śpiewniki, żeby nikt nie gubił się ze słowami starych przebojów. Ekspres do kawy pracował jak lokomotywa kolei transsyberyjskiej. Rekord wspólnoty został pobity przed finałami mistrzostw świata w siatkówce. Chłopcy już coś suchtały między sobą przed rozpoczęciem sezonu skoków narciarskich, ale do finalizacji narad doszło, kiedy uznali, że na małym ekranie nie widać piłki. Nie pytając gospodyń o zdanie, zrobili zrzutkę na telewizor wielkoekranowy. Wynegocjowali z Babcią, że w trakcie transmisji sportowych mogą wypić po piwie na głowę, ale pod warunkiem że w klubie będą wtedy sami dorośli i nie zostawią po sobie butelek. Najbardziej z takiego obrotu sprawy były zadowolone żony kibiców. Miały domowe telewizory do swojej dyspozycji, mężowie byli trzeźwi i nie sprowadzali kolegów na wódkę.

Nawet sprzątanie załatwiane było wspólnymi siłami. Wiosenne mycie okien stało się kolejnym wydarzeniem towarzyskim. Nowaczkom i ich przyjaciółom pozostało tylko wszystko koordynować. A kiedy jeszcze okazało się, że na koniec roku szkolnego wielu uczniom w wiosce wzrosła średnia ocen, tylko nieliczni rodzice mieli pretensje, że dzieciaki siedzą w świetlicy, zamiast pomagać w gospodarstwie. Mało tego, dzięki mamie Jolki, no i trochę Babci, dzieciaki były obszyte. Co któryś nygus przyszedł z dziurą w spodniach, to już po chwili miał na nich zgrabną łątę. Dziewczynki nauczyły się zaplatać fikuśne warkocze i w całym powiecie wprowadziły modę na ozdoby plecione z mulliny, których manufaktura szła pełną parą w zimowe wieczory.

Eulalia z podziwem patrzyła na organizację klubiku. Nie spodziewała się, że mieszkańcy wsi mogą być tak ze sobą zżyci i tak dbać o wspólne dobro. Z uznaniem obserwowała, jakim szacunkiem darzy się tu Babcię i jak bardzo starsi gospodarze liczą się z młodzieńką Zuzanną. Do „pani Zuzi” właśnie wpadł Bożymorski, bo mu w gminie odmówili wydania pozwolenia na budowę domu.

– A pani to kto? – zwrócił się do Eulalii, nie do końca pewny, czy może swoją sprawę przedłożyć przy obcych.

– To nasz nowy weterynarz – przedstawiła gościa Babcia.

– Mam nadzieję, że nie z tej samej szajki – mruknął pod nosem.

– Panie Bożymorski, nie można wszystkich mierzyć jedną miarką – upomniała go Babcia.

– Sie okaże – bąknął jeszcze nieprzekonany i przypomniał sobie, po co przyszedł. – Wie pani, pani Zuziu, może pani co poradzi... Bo chłopaki już dorosłe, pewnie się żenić będą, to przeca we dwóch pod jednym dachem ze żonami nie strzymają. I bez bab do oczu sobie skaczą, to jak by trzy gospodynie zaczęły kuchnię rządzić, bo i moja stara, to by tu dzień sądu ostatecznego nastał. A one, te urzędniczki

pieprzone, za przeproszeniem, uparły się, że na jednej parceli dwa domy stać nie mogą. Toż ta parcela całe osiedle willowe by pomieściła, a co dopiero dwa takie domki jak kurnik.

Eulalia nastawiła uszu, co też Zuzka poradzi sąsiadowi.

– Panie Bożymorski, jeśli jest taki przepis, to trzeba podzielić posesję na dwie odrębne.

– A po cholere mamy się płotami dzielić przed rodziną?

– Nie jest potrzebny płot, wystarczy na mapie zagospodarowania terenu zaznaczyć granicę dwóch działek.

– Że niby w papierach ma się zgadzać?

– Właśnie.

– To niby jak ja mam to zrobić? Wziąć kredki i na tej mapie, co to ją we gminie mają, kreskie narysować?

– Aż takie proste to to nie jest. Musi pan zatrudnić geodetę, który ziemię obmierzy i obliczy, gdzie ta kreska na mapie ma być.

– Znaczą zapłacić skoczbyrudzie muszę? Pieniądze wydać?

– Niestety. Inaczej się nie da.

– I kreska na mapie musi być? A płota nie trza?

– Dobrze by było, żeby zgodnie z tą kreską, co na mapie, na ziemi też coś było.

– Kreska?

– Może lepiej wzdłuż tej kreski porzeczki pan posadzi albo peonie. Bo wie pan, Kacper z Dominikiem są krewkie chłopaki. Jak granicy między ich gospodarstwami nie będzie, to mogą się poróżnić o to, kto i gdzie co może. A żony też mogą sobie do oczu skakać, która gdzie ma rządzić.

– Hmm... Znaczą na ziemi kreska też potrzebna.

I usatysfakcjonowany poradą, ale zmartwiony wydatkiem pan Bożymorski zaczekał, by mu Zuzia w internecie znalazła kontakty do kilku okolicznych geodetów, żeby już sam mógł z nimi wynegocjować jak najniższą cenę.

– Ja pitole – zwróciła się Eulalia do Zuzy po jego wyjściu. – Dobra jesteś – skłoniła głowę w uznaniu. – Widzę, że wy tu nie tylko garkuchnię i ochronkę macie, ale i porady prawne.

– A jak trzeba, to i gabinet lekarski, biuro tłumaczeń i podań... Rozejrzyj się. Bibliotekę, szwalnię i sołectwo.

– Jesteś sołtysem? – zdziwiła się.

– Jeszcze nie zwariowałam! Tylko tego mi brakowało. Ale sołtys też się do nas przeniósł z biurem. Wie, że w razie czego to mu coś podpowiemy. A i ludzie mi się po obejściu nie kręcą.

Słowa padły w złą godzinę. W tej chwili, a dokładniej, gdy po wyjściu od Nowaczek Bożymorski spotkał na drodze pierwszą osobę, zaczęły się pielgrzymki sąsiadów. Każdy miał jakąś pilną sprawę. Trudno je wymienić, bo „sprawa” była tylko pretekstem, żeby gospodarze mogli zobaczyć nową „weteryniarke”. Gołębiewska przyszła z rozsadammi lobellii, Czerwińska przyniosła paczkę ściereczek do kurzu, Wrońska wpadła z drugiego końca wsi niby pożyczyć sekator, chociaż po drodze w każdym obejściu pożyczyliby jej po dwa, Drągowska przyszła wymienić książkę, chociaż poprzednią wzięła wczoraj i sądząc z miejsca, w którym znajdowała się prowizoryczna zakładka z papieru toaletowego, nie doszła nawet do końca pierwszego rozdziału... I tak dalej, i tak dalej...

Kiedy Eulalia zdała sobie sprawę, że te wycieczki to do niej, a w nowym środowisku zaprezentowała się w dresie Zuzi (bo jakoś nie przyszło jej do głowy, żeby przebrać się we własne ciuchy, które nadal były w samochodzie), że jest bez makijażu, z włosami ściągniętymi recepturką, była załamana, jak to kobieta.

Okazało się jednak, że to właśnie tym naturalnym wyglądem zjednała sobie przyszłych sąsiadów. Wszyscy orzekli, że to „swoja baba”, nie jakaś miastowa lalka, co to bardziej sobą niż zwierzakami

będzie się zajmować. Zanim więc mogła podjąć obowiązki, już miała wyrobioną opinię. A kiedy jeszcze dzieciaki, z którymi miała kontakt, dołożyły swoje wrażenia, że wesoła i dobrze lekcje wyjaśnia, i nie krzyczy jak pani w szkole, tylko jak pani Zuzia wszystko tłumaczy cierpliwie, to niemal ją pokochali.

Kiedy Miron wrócił z wieściami, zamiast załamanej rezywólki zastał uśmiechniętą „wiejską weterynarkę”.

– Z zakupem domu wszystko okej. Co prawda Zatopek nadal ma amnezję albo tylko tak twierdzi... Mówiąc szczerze, to obaj mieliśmy szczęście, kiedy we mnie celował. Ja, bo ta minikatastrofa budowlana prawdopodobnie życie mi uratowała. A Zatopek, bo ten panel słoneczny spadający z dachu tylko nieźle go zamroczył, a mógł chłop zginąć pod takim ciężarem. Ciekawe, czy wykorzystuje tę sytuację jako okoliczność łagodzącą, czy struga frajera...

– Wyrażaj się – upomniała go Babcia.

– Sorry. Znaczy, czy wciąż udaje, bo ma jeszcze coś za kołnierzem i ta utrata pamięci jest mu na rękę. Może przed czymś go to chroni... Nieważne. Ważne, że jeden poważny notariusz sporządził upoważnienie, znana, szanowana kancelaria, a inny firmował transakcję. Nawet, jeśli Zatoptkowie coś kombinowali, to dom, plac i lecznica są twoje. Razem z wyposażeniem.

Eulalia klasnęła w dłonie z zadowolenia.

– Alleluja! Dziękuję! Gdybym mogła, to bym cię ucałowała.

– Ależ możesz, nie żałuj sobie – zdecydowała za Mirona Babcia.

Kobieta, nie czekając na potwierdzenie, rzuciła się Mironowi na szyję, obsypując go gradem buziaków. Facet splonął rumieńcem, ale widać było, że jest mu przyjemnie.

– Dobra, dobra – próbował bagatelizować swoje zasługi. – To drobiazg. Ale trzeba było sprawdzić, czy to nie wtopa. Zostało coś do jedzenia?

– Oj, dzieciaku – ocknęła się Babcia. – Przecież ty od rana na samej kawie jedziesz. Już odgrzewam rosół, myj ręce.

– No to teraz możemy jechać i zobaczyć te twoje włości – orzekł Miron, kiedy po obiedzie wstawił talerz do zmywarki. – Sorry, że ci się tam wpraszam, ale moja kobieca intuicja mówi mi, że tu nadal coś nie tak.

– Przyda mi się życzliwa dusza. Z jednej strony się cieszę, że mam swój dom, że po tym, jak zostałam wykopana z własnego życia, będę miała dach nad głową i nie muszę się tułać po obcych ludziach i od początku wszystkiego dorabiać. Ale mimo to wciąż tkwią we mnie jakieś obawy. Okej, no to chodźmy. Zuziu, dres upiorę i dopiero ci go oddam. Pani Małgorzata mówiła, że zostawia w domu całe wyposażenie, więc mam nadzieję, że pralka też tam będzie. Dziękuję wam za gościnę i za tak ogromną pomoc. I oczywiście, jeśli pozwolicie, to będę do was zaglądać. Tak się złożyło, że w tej chwili jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi, jeśli mogę was tak nazywać.

– Leć, dziecko, z Bogiem – pożegnała Eulalię Babcia. A Zuza otworzyła ramiona do niedźwiedziego uścisku.

Samochód odpalił, co odebrano za dobry znak.

– Tylko nie zapomnij później zatankować, bo tam masz ledwie naporstek benzyny. A stacja jest zaraz na lewo, jak wyjedziesz z lasu – Miron pokazał kierunek.

Droga nie zajęła im dużo czasu. Ledwo ruszyli, już byli na miejscu. Oboje wysiedli z auta i zanim wkroczyli na posesję, zatrzymali się, żeby się jej przyjrzeć.

– Niewiele się tu zmieniło – orzekł Miron.

– Ogród zarósł – zauważyła Eulalia. – Ale to nic – dodała – zadba się o niego. Chociaż na roślinach to ja się raczej mało znam. W końcu jestem od zwierząt, nie od roślin.

– Nauczysz się. I kobiety ze wsi ci podpowiedzą. To co, wchodzimy?

Eulalia wyjęła z torebki pęk kluczy. Wyszukała właściwe, żeby otworzyć furtkę, a później drzwi wejściowe do domu. Kiedy przekroczyli próg, każde po swojemu zakłęło.

– O cholera! – wydała z siebie jęk Eulalia.

– Ja pierdolę! – wyrwało się Mironowi.

Reakcja była jak najbardziej uzasadniona, bowiem widok, który się przed nimi rozciągał, przywodził skojarzenia z obrazami z wojny. Meble, które pozostały po poprzednich właścicielach, porozstawiane, a właściwie porozrzucane były w abstrakcyjnych pozycjach po całym salonie. W kilku miejscach zerwana podłoga, deski wałyły się bez ładu i składu. Ze schodów zdjęte były dębowe trepy, odsłaniając betonową wylewkę. Kanapa stała tył na przód i miała rozcięty czy rozerwany materiał na plecach, wszystkie szafy i szafki były pootwierane. Przeszli nad przewróconą lampą i wspięli się na piętro. W sypialni również zastali wybebeszone szafki, a łóżko stało na boku, prezentując się wchodzącym od spodu. Łazienka praktycznie ocalała, poza odłupanymi dwoma kafkami porzuconymi w wannie i pokrywą rezerwuarka ustawioną trochę na bakier. W pozostałych pomieszczeniach było niewiele sprzętów i nikt nie przejął się ich stanem. Za to na poddaszu, które pozbawione było jakiegokolwiek wyposażenia, na skosach zostały oderwane podsufitki.

Obchód poboju odbywał się w milczeniu.

– Ja pierdolę – powtórzył Miron.

– Dołączam do twojego stwierdzenia w całej rozciągłości – potwierdziła jego odczucia Eulalia. – Dżizja, miałam się po prostu wprowadzić. Zatopkowa zapewniała, że dom jest w idealnym stanie i wystarczy wnieść walizki... Zaczekaj.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer, a kiedy jej rozmówca się zgłosił, wypaliła:

– Czy ty wiesz coś o tej demolce, czy sam miałeś z nią coś wspólnego?

Miron nie słyszał odpowiedzi, a była dość długa.

– Nie – odezwała się wreszcie do słuchawki Eulalia. – Nie życzę sobie, żeby twój teść pętał mi się po domu. On, jego ludzie ani nikt inny. Nie podchodźcie tu lepiej na odległość strzału. Ostrzegam, jeśli jeszcze ktoś z was w jakikolwiek sposób wtrąci się do mojego życia, to załatwię wam zakaz zbliżania. Żadnych więcej niespodzianek, zrozumiano?!... Ja pitole! – dodała po rozłączeniu się. – Sorry – zwróciła się do Mirona. – Były twierdzi, że teść chciał mi zrobić niespodziankę i zaczął remont. A czy on pomyślał, jak ja w tym remoncie będę funkcjonować i czy jest mi w ogóle potrzebny? I co, do jasnej cholery, ma do mojego życia jego teść?! Kurwa! – rzuciła wściekle.

Miron ustawił przewrócone krzesło i przesunął nogą podłogową deskę, która zagradzała przejście. Rozejrzał się ponownie, tym razem uważnie.

– Na moje oko, to tu jest napraw raptem na kilka dni. I to nie takich znów trudnych. Da się w tym żyć – ocenił.

– Na szczęście mam trochę oszczędności, bo przecież muszę kogoś wynająć do tej roboty. Sama nie dam rady. Całe życie mieliśmy oddzielne konta. Głównie z lenistwa, bo nam się nie chciało załatwiać formalności z założeniem wspólnego. Ale dzięki temu nie zostałam z niczym... To mówisz, że to nieduża robota? Ciekawa jestem, ile mnie to będzie kosztowało?

– Zaraz się dowiemy. – Tym razem to Miron sięgnął po telefon. – Artur? – spytał dla zasady. – Słuchaj, jeśli masz chwilę, to podskoczylbyś do Zatopków... No do ich domu, tego co po nich zostało... Tak, teraz... Co ja ci będę mówił, sam zobaczysz. – A Eulalii zaproponował: – Zobaczymy teraz lecznicę.

Do kliniki, jak ją szumnie nazwano, prowadziły dwa wejścia – jedno dla pacjentów bezpośrednio z dworu, drugie dla właściciela, łączące gabinet z domem. Przeszli więc korytarzem do tego wewnętrznego. Eulalia z duszą na ramieniu otwierała drzwi. Wsunęła głowę, jakby bojąc się przekroczyć progu. Dopiero kiedy stwierdziła, że nie ma strachów, weszła głębiej. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Umeblowanie stało na swoich miejscach. W oszklonych szafach starannie poustawiane znajdowały się resztki leków, o dziwo niektóre nadal ważne. Jedynie szuflada

biurka ziała pustym wnętrzem, zaś oprawiony w antyramę plakat zachęcający do szczepienia psów stał oparty niedbale o nogę rentgena. Nic nie było zniszczone... przynajmniej nic na to nie wskazywało.

– Uff! Chociaż tu można od razu zaczynać.

– Jest Artur – Miron zareagował na odgłos zatrzymującego się przed domem samochodu. – Chodźmy.

Kiedy chłopak wysiadł z auta, Miron dokonał wzajemnej prezentacji.

– Legenda kroczy przed panią – zażartował Artek.

– A upadek za mną. Mów mi po imieniu – zaproponowała Eulalia i zaprosiła nowego znajomego do środka.

– Nigdy tu nie byłem – stwierdził Artur, rozglądając się po wnętrzu. – Zdaje się, że oni to w ogóle zbytnio gościnni nie byli. Ale zostawili burdel! – podsumował.

– No – potwierdziła Eulalia. – Tylko dziwek brak.

– Niewykluczone, że też się tu przewinęły – mruknął Artur, czym wywołał zdziwienie u dziewczyny.

– No dobra, po co mnie tu ściągnęliście?

– Widzisz – Miron omiół wzrokiem bałagan. – Robota jest.

– Że niby na mnie padło, żeby to ogarnąć? – zatoczył ręką.

– A masz coś pilniejszego?

– Weterynarzowi w Miasteczku stawiałem altanę. Pomalowałem podkładówką, jeszcze tylko maźnąć właściwym kolorem, ale to godzina roboty. Kończę wnuczkom Bartkowiaków domek na drzewie i Marcinkowski mam zabudowę zrobić. Dzieciaków zawieść nie mogę, ale Marcinkowski chętnie zaczeka. A jeśli się okaże, że pani... znaczy, że znasz się na rybach, to będzie zadowolony, że może się podlizzać, bo Zatopek nie chciał się zajmować jego stawem, a czasami coś tam trzeba.

– Spoko, ichtiologia to mój konik, więc jego stawy będą w dobrych rękach. Możesz to wycenić? – wróciła do tematu.

Artur dokonał uważnych oględzin całego domu. Zajrzał również do kuchni, której wcześniej nie zdążyli zwiedzić.

– Ale z tym wyciągiem to będziesz mi musiał pomóc – zwrócił się do Mirona, widząc wyrwane rury klimatyzacji.

– Zrobi się – zapewnił Miron.

– Czyli tak – Artek podrapał się w głowę. – Co do ceny, to się dogadamy, ale nie będzie tego dużo. Tu potrzeba trochę wkretów... Deski podłogowe są całe, tylko je wpasować, kilka trzeba będzie trochę podszlifować. Tylko... Miron, chodź na słowo – odciągnął męczyzną na bok, by Eulalia nie słyszała.

– Słuchaj – zaczął zduszonym szeptem. – Z tego, co widzę, to kłopoty we wsi jeszcze się nie skończyły.

– Też to zauważyłeś? Myślałem, że to tylko ja mam wyobraźnię skażoną pracą w firmie. Też mi się wydaje, że ktoś tu czegoś intensywnie szukał.

– Ale żeby aż tak?!

– Najważniejsze, że już sobie poszukali i wygląda na to, że poszli sobie, skoro udostępnił dom. Chyba Eulalia powinna być już bezpieczna – oceniał sytuację Miron.

– Uuuuu, Eulaaaalia... Wpadła panu w oko, panie twardevilu – Artur żartował sobie z kolegi.

– Głupi! Dobra, pogadamy w domu, ogarnijmy tu z grubsza i zbieramy się. – A zwracając się do kobiety, rzucił: – Nie będziesz bała się tu zostać?

Wszyscy troje ruszyli do porządków. Panowie poustawiali meble, Eulalia zamykała wybebeszone szafki.

– Dlaczego miałabym się bać? – spytała nieświadoma. – Przecież to ma być mój dom... To JEST mój dom. Nie mogę się go bać.

– To możemy cię tu zostawić? Dasz sobie radę?

– Jasne, tylko muszę zrobić zakupy spożywcze. Powiedźcie mi, gdzie tu jest sklep.

– Jakbyś miała jakieś problemy lub wołała do zakończenia prac zamieszkać gdzie indziej, to przyjeżdż do nas. Aha, i na noc wszystko dokładnie pozamykaj.

– Dobrze, mamusiu – zaśmiała się, odprowadzając ich do samochodu.

– Czyli nie jest dobrze – Zuzanna klapnęła na kanapę załamana, po czym wyjęła spod siebie zostawioną przez podopiecznych pluszową małpkę. – Nadal coś nam grozi?

– A może to Małgośka Zatopekowa zostawiła taki bałagan? – z nadzieją w głosie spytała Babcia.

– Gdyby chodziło tylko o wybebeszone szafy, to też mógłbym tak pomyśleć, ale Zatopekowa nie zrywałaby desek z podłogi i ze schodów ani podsufitki na strychu – analizował Miron. – Gdyby to ona czegoś szukała, to wiedziałaby, gdzie jest schowane i nie robiłaby demolki. W końcu cały czas tam mieszkała. Za cwana gapa z niej była, żeby mąż mógł coś przed nią ukryć. W każdym razie nie w domu, w którym ona była częściej niż on.

– Czyli co schował i przed kim? No i gdzie? – dopytywała Zuzka.

– A dlaczego w gabinecie niczego nie zdemolowano? Przed żoną to prędzej tam by coś upchnął – popijając kanapkę herbatą snuł domysły Artur.

– Przyjrzałem się temu pomieszczeniu pod tym kątem. Na oko widać, że to monolit. Gładkie ściany, oszklone szafy, zero zakamarków, wnęk, kominów. Klatki dla zwierząt ażurowe, wyściółka usunięta. A do biurka zajrzeli. Spodziewali się schowka za plakatem, ale też nic nie znaleźli.

– A może to faktycznie remont tego teścia? – podesunęła Babcia.

– Zdecydowanie nie. W każdym razie nie remont, bo nikt nie zrywałby nowej podłogi i zupełnie dobrych schodów. Szczególnie dla bylej żony przyszedłego zięcia. Chyba że teściu sam w tym palce maczał... W końcu nic o nim nie wiemy.

– Czyli zastanówmy się. Zatopek siedzi i twierdzi, że ma amnezję. Zatopekowa w pośpiechu sprzedaje dobytek... Albo ucieka, bo znalazła coś cennego i chce zachować dla siebie, albo nie znalazła i ucieka, bo boi się, żeby ktoś inny u niej nie szukał.

– Ale KTO??? Teść? Wątpliwe. – Zuzka była bliska hysterii. – Zapewnialiście, że wszyscy siedzą! – zwróciła się z oskarżeniem do Mirona.

– Bo siedzą – zapewnił.

– Wcześniej Zatopek też miał niby siedzieć, ale cudownie zmaterializował się na naszym progu, wymachując ci gnatem przed nosem – prychnęła.

– Okej, to był wypadek przy pracy. Teraz ten, co pomagał mu się wywinąć, też siedzi.

– Czy my możemy coś zrobić? Czegoś się dowiedzieć? Jakoś się zabezpieczyć? – rozważała Babcia.

– Siebie i Eulaškę – dodała Zuza. – My to chociaż wiemy, czego się spodziewać, mamy alarm, chłopaków pod ręką. A ona? Nieświadoma niczego jak kurczaczek machający łapkami nad garnkiem wrzącego rosółu.

– Może lepiej, żeby nie wiedziała. Po co kobita ma się stresować. Może nic jej nie grozi? – zaproponował Artur.

– Tiaaa... Jasne. W ogóle nic nikomu nie grozi – sarknęła Zuzka. – Bezpieczni jesteśmy jak szczeniak w lwiej paszczy. A Jasiak wszystko przespał.

Towarzystwo gruchnęło śmiechem.

– I z czego się śmiejecie? – Zuzka była bliska, żeby się obraziła.

– Bo my tu myślimy, czy ujdziemy z życiem, a tobie śpiący Jasiak w głowie. Oj, dziewczyno! – Babcia dobrodusznie kiwała głową. – Nie martw się, jutro mu wszystko opowiemy i pewnie jeszcze zdąży się z nami pomartwić. I à propos Jaśka, to może podrzuciłby tego kudłacza Ryśka do Eulusi.

– A co psu się stało? – Artur nie zrozumiał Babcynych intencji.

– Odpukać, Rysiek zdrowy jak ryba, tylko my mamy alarm, a Eulalii zapewne przyda się chociaż taki obrońca.

Wszystkim przyszedł na myśl potężny, pełen białych zębisk pysk owczarka niemieckiego, jakim był Rysiek. Uznali, że to dobry pomysł.

– Jutro ich ze sobą poznamy – zaplanował Miron, a widząc minę Zuzki, dodał: – RYŚKA poznamy, Jaśka już zna. Nie martw się, Janek za młody dla pani weterynarz.

– Za to ty w sam raz – odgryzła się Zuzka, nie spodziewając się, że wywoła demaskujący rumieniec.

– Idę z tobą – twardo oznajmiła Zuzka, kiedy po porannej naradzie potwierdzono, że Jasiek powinien użyć Eulalii Ryśka dla bezpieczeństwa, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

– Weź jej sernik na osłodę życia – babcia naszykowała spory kawałek ciasta. – Tylko nie wystraszcisz dziewczyny.

– Też się przejdę – zaproponował Miron.

– A ty tam jako przyzwoitka się wybierasz? Daj młodym pobyc chwilę samym. Dla ciebie też lepiej, jak się tam zjawisz bez towarzystwa. Pójdiesz za dwie godziny i ściągniesz ją tu na obiad.

Z Babcią się nie dyskutuje. Jeśli coś powie, to rzecz święta.

O ile wczoraj droga do domu Zatopków... O, przepraszam, do domu pani Koteckiej, minęła jak mrugnięcie oka, to naszej dwójce młodych czas na jej pokonanie rozciągnął się jak guma. Nic dziwnego, szli wolnym krokiem, machając splecionymi rękami. Zuzka, nie bacząc na zawartość pakunku, dla równowagi wymachiwała sernikiem w drugiej ręce. Rysiek to ich wyprzedzał, to zostawał z tyłu, bynajmniej niezainteresowany, o czym szepczą.

– Przeprowadziliście mi pacjenta? – powitała ich w progu gospodyni, tarmosząc za uszy wachlującego się ogonem Ryśka.

– Nie całkiem – sprostował Janek. – Pies jest zdrowy, ale stwierdziliśmy, że co to za lecznica weterynaryjna bez zwierzaków, więc na dobry początek proponujemy tego. Jak się zaczną schodzić pacjenci, to go odbierzemy.

– Wy tak na poważnie? – nie mogła uwierzyć.

– Eeee tam, zaraz na poważnie. Tak właściwie to dla żartu, ale chyba to dobry pomysł – namawiał Jasiek.

– Rażniej ci będzie – zachęcała Zuzka. – Zawsze to żywa istota w tak pustym domu.

Właśnie przeszli do wnętrza. A dom nie okazał się całkiem pustym. Na schodach spocony i półnagi Artur wymachiwał młotkiem.

– Dobrze, że Miron tego nie widzi – mruknęła Zuzka pod nosem, ale ponieważ stała blisko Artura, to dotarły do niego jej słowa.

– Aluzju poniał – puścił do niej porozumiewawczo oko i założył koszulkę. – Może się nie ugotuję. Wszystko w imię przyjaźni – westchnął.

Eulalia od wczoraj zdążyła z grubsza ogarnąć porządki. Okazało się, że faktycznie po Zatopkach pozostało całe wyposażenie. Nie tylko pralka i lodówka, ale również gary i jakieś części zastawy. Może pani Małgorzata zabrała co cenniejsze przedmioty, ale to co zostało, wystarczało na załóżek nowego gospodarstwa.

– Napijecie się kawy? Rano kupiłam. Macie tu całkiem niezłe zaopatrzone sklepy.

– Nawet coś do kawy przynieśliśmy – Zuzka wręczyła ściskany w torbie sernik.

Po chwili w kuchni Zatopków... znaczy Eulalii, rozniósł się aromat świeżo mielonej arabiki. Artur zrobił sobie przerwę i wszyscy czworo usiedli przy stole.

– Nie wiedzieliśmy, czy zgodzisz się, żeby Rysiek ci towarzyszył. Jeśli miałby tu zostać, to dostarczymy miski i karmę – Jasiak sięgnął po fajansową cukiernicę.

– Jeśli nie jest zbyt przywiązany do swojej, to miski tu są. Przecież to miejsce dla zwierząt. Chociaż na pierwszy rzut oka tego nie widać. Czy wcześniej nie było tu żadnego szyldu?

– Był, ale dawno. Później każdy już wiedział, że w tym domu jest weterynarz i szyldek nie był potrzebny. Chcesz szyldek? – spytała Zuza.

– Powinno mieć jakiś znak dla ludzi, że lecznica działa. I może numer telefonu trzeba by było udostępnić.

– Da się zrobić. Artur, słyszałeś – Zuzka zwróciła się do kolegi. – Trzeba tu przysłać Jolkę, niech ustalą, jak to ma wyglądać. Pewnie pierwszy będziesz się z nią widział.

Artur niespokojnie zakręcił się na krześle. Tajemnicą poliszynela było, że Artur i Jolka, miejscowa artystka, ostatnio bardzo się do siebie zbliżyli. Chociaż wcześniej mieszkali w jednej wsi, to dopiero wspólne przygody toczące się wokół domu Nowaczek skłoniły ich ku sobie. Podobnie rzecz się miała z nieśmiałościami podchodami Zuzi i Jaśki. Niby każdy wiedział, co w trawie piszczy, ale zainteresowani ukrywali to nawet przed sobą. To taki najpiękniejszy okres, kiedy miłość jest jeszcze w pączku, ale zaczyna rozkwitać. Ukradkowe spojrzenia, nieśmiało dotknięcia ręki...

– Mam u niej dziś naprawić balustradę przy schodach – przyznał Artur.

– No, to później w ramach „odprowadzanek” wpadniecie do Eulaśki.

– Jeszcze nikt tak na mnie nie mówił – Eulalia rozkładała sernik na talerzyki.

– Przepraszam, wyrwało mi się – speszyła się Zuzka.

– Kiedy ty to tak jakoś miękko wymawiasz, że mi nie przeszkadza. Nawet mi się podoba. Takie swojskie.

– Obiecuję, że przy ludziach będę się do ciebie zwracała „pani doktor”.

– Byle nie Lalka, bo za to zabiję.

– To nie byłby pierwszy trup w tej wsi – wymusnęło się Arturowi, na co Jasiak pod stołem mocno kopnął go w kostkę.

– To zostawiamy Ryśka. Bądź grzeczny – Janek zwrócił się do psa. – Jak się tu pojawią zwierzęta, to go zabierzemy. I nie martw się, sami będziemy go wyprowadzać.

– Asfalt do gołej ziemi zetrzecie, jak tak będziecie latać wte i wewte – podsumowała Babcia trwającą od rana wycieczki.

Faktycznie, trasa Nowaczki–Kotecka przemierzana była kilkakrotnie. Kiedy Zuzia z Jankiem wrócili po odprowadzeniu psa, Miron pojechał po Eulalię, ściągnąć ją na obiad. Początkowo trochę się krygowała, ale siedzenie w pustym domu, do tego wybebeszonym, nie przypadło jej do gustu. Z przyjemnością przyjęła zaproszenie.

– Kiedy zapadła decyzja o mojej przeprowadzce, myślałam, że to banicja na zabity deskami koniec świata, a jak rano szłam do sklepu i się przyjrzałam, to tu jest całkiem sympatyczna, nowoczesna wieś. Wszystko zadbane, ukwiecone, wszędzie w obejściach porządek – dzieliła się wrażeniami, dokładając mizerii.

– Na pierwszy rzut oka to może i nowoczesna, ale jak tu dłużej pożyjesz, to zobaczysz, że pełna zabobonów – wyprowadziła ją z błędu Zuza.

– No coś ty? Nie wygląda na zacofaną.

– Bo zacofana nie jest – wyjaśniła Babcia. – Po prostu mamy tu takie swoje niewyjaśnione zjawiska paranormalne.

– To ciekawe. Mówicie, że wieś jest nawiedzona?

– Zaraz tam nawiedzona – obruszyła się Babcia.

– Tylko tak trochę zauroczona. Ale nie zaprzętaj sobie tym swojej ślicznej główki – wyjaśnił Miron.

– Hej, nie traktuj mnie protekcyjnie – zaprotestowała Eulalia. – W końcu jeśli mam być częścią tej wsi, to może powinnam coś wiedzieć o tym niewyjaśnionym... jak to powiedziałaś? Zauroczeniu?

– Nie zauroczeniu, tylko uroku – spreycowała Zuzka i opowiedziała Eulalii legendę o zielarkach i spalonym kościele, którego ruiny znajdowały się notabene bardzo blisko nowej siedziby Koteckiej, o tym, jak Napoleon wypalił sobie ciemię, o partyzantach i złotym pierścionku od rosyjskich żołnierzy i o każdej karze za każde kłamstwo, które wtedy padło.

– Nie myśl sobie, że to bujdy – zastrzegła Zuzia. – I nie waz się skłamać w Dniu Prawdy. Wciąż szukamy sposobu na zdjęcie kłątwy. W zeszłym roku już by nam się udało, gdyby nie Zatopek.

– Znowu Zatopek. Mam wrażenie, że o ile kłątwa omotała wieś, to Zatopek mnie omotał. A nad wplenieniem kłamstwa to ja się zastanowię. W końcu jestem behawiorystą. Jeśli potrafię nauczyć koty sikania do sedesu, to może wymyślę, jak oduczyć sąsiadów kłamania.

– Powodzenia – bez przekonania rzucił Miron i dołał sobie kompotu.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym cię tu zostawiła samego z robotą? Zadzwonili z hurtowni leków, że moje zamówienie czeka na odbiór – Eulalia była w rozterce.

– Leć załatwiać swoje sprawy. Jeszcze mam tu kilka desek do położenia i biorę się za sufit na górze. Jakby coś, to będę dzwonił – uspokoił ją Artur.

Zanim Eulalia zdążyła pójść po torebkę, przed furtką zatrzymał się czarny kombiak, z którego wysiadło dwóch rosyjskich facetów.

– Pani Kotecka? – spytał tęższy.

– A kto pyta? – Eulalia była zdziwiona wizytą nieznajomych.

– Dostaliśmy zlecenie na prace ogrodnicze pod tym adresem.

Przy nodze Eulalii zmaterializował się Rysiek, zajęty do tej pory swoimi psimi sprawami.

– Nie zamawiałam żadnych prac.

– My tam nic nie wiemy.

Z gardła Ryśka wydobył się złowieszczy charkot.

– Pani weźmie tego psa – odezwał się drugi z mężczyzn.

– Rysiek, do domu – pani wydała polecenie, które pies z ociąganiem wykonał, ale zatrzymał się tuż za progiem otwartych drzwi, wciąż czuwając nad sytuacją.

– Robotą opłacona, to trzeba wykonać – deklarował dalej ogrodnik.

– Kto zapłacił? – zdziwienie Eulalii rosło.

– Szef nam się nie opowiada. Zlecił, to przyjechaliśmy. Nie nasza sprawa. To jak, mamy robić?

Eulalia bezradnie spojrzała na towarzyszącego rozmowie Artura.

– Zapłacone? To szkoda, żeby się zmarnowało. Dają – brać, biją – uciekać. Ogród wymaga roboty, to niech się biorą – zaproponował.

– Ale na pewno u mnie macie to zlecenie?

– Pani Kotecka?

– Kotecka.

– Wioska Mała?

– Zagadza się.

– Innych Koteckich tu nie ma?

– Tego nie wiem. Artur, są?

– Nie ma – potwierdził pytany.

– No to robiem.

– Ale ja muszę do tej hurtowni... – próbowała jeszcze oponować Eulalia.

– Co to, my nie wiemy, jak się z ogrodem obchodzić? Tu tylko parę gałęzi trzeba przyciąć, kilka chwastów wyrwać i do niczego pani nam się tu nie przyda. Nawet lepiej – pracownicy wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Jedź. Ja zostanę i jakby co, to będziemy dzwonić. Faktycznie, o tej porze roku to ani sadzenia, ani zbiorów, tylko porządki i, jak widzisz, bardzo się przydadzą. Sama mówiłaś, że musisz zadbać o ogród. To masz jak znalazł.

Nie do końca przekonana Eulalia wsiadła do samochodu. Zanim przekręciła kluczyk w stacyjce, chwilę porządkowała myśli i uczucia. Nie podobało jej się to, że ktoś ingeruje w jej życie, ale z drugiej strony, dlaczego nie wykorzysta okazji, skoro sama się pcha. Dla zasady zadzwoniła jeszcze do byłego męża.

– Mówiłam ci, że nie życzę sobie żadnej pomocy. Co u mnie robią wasi ogrodnicy?... Nie obchodzi mnie, kiedy zostali zamówieni... Ani się waż kogokolwiek tu jeszcze przysyłać. I sam też się nie pokazuj... W dupie mam, czy masz coś lepszego do roboty, czy nie. Trzymaj się ode mnie z daleka... I bardzo dobrze. Szczęścia życzę!

Eulalia odjechała, a Artur po ustaleniu z pracownikami zakresu robót zabrał się do swojej. Pies patrzył na niego z wyrzutem, że wpuścił na teren obcych i nic go nie obchodzi, co robią, więc ustawił się na posterunku przy zamkniętych dla bezpieczeństwa pracowników drzwiach tarasowych. Bacznie obserwował ogród, od czasu do czasu wydając z siebie pomruki niezadowolonia. Artur ze swojego miejsca pracy też miał dobry punkt obserwacji. Kilka minut, nie przerywając przybijania podsufitki, kątem oka śledził poczynania robotników. W końcu sięgnął po telefon.

– Miron, weź Jaśka i przyjdźcie tutaj. Migusiem.

– Jasiek ma dziś służbę. Zaraz będę.

Rzeczywiście w okamgnieniu Miron znalazł się u boku kolegii.

– Zobacz – Artur wskazał ruchy na dole.

Chwilę obaj przyglądali się działaniom mężczyzn.

– To żadni ogrodnicy – orzekł Miron.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Najpierw obeszlą wszystkie kąty. Myślałem, że badają zakres prac. No. Tylko nie takich, jakich byśmy się spodziewali. Po pierwsze, spenetrowali sławojkę. Ona chyba pamięta czasy, kiedy robotnicy stawiali ten dom. Ktoś o niej zapomniał i tak została. W każdym razie od zawsze stała w kącie ogrodu, aż cała zarosła łopianem. Później rozkopali kompostownik, ale ziemi z niego nie rozrzucili na grządki, tylko poryli szpadłami i zostawili. Teraz sprawdzają, co jest w beczce. Deszczówki szukają?

– Czegoś szukają. Jak dwa razy dwa – podsumował Miron.

– Czekamy, aż znajdą? – z błyskiem w oku zapytał Artur.

– Mam lepszy pomysł.

I Miron zbiegł do ogrodu.

– Panowie – zwrócił się do pracowników. – Pani Eulalia prosiła mnie telefonicznie, żebym panom wskazał najpilniejsze prace, które chciałaby w pierwszym rzędzie mieć z głowy. Proszę ze mną. Najpierw trzeba zlikwidować te pokrzywy pod plotem. Gdyby jeden z panów mógł się tym zająć, to drugiego pana poproszę w ten kącik. Jak pan widzi, tu konieczne jest opielenie krzewów. Jak pan skończy z pokrzywami, to proszę okopać krawężniki wzdłuż podjazdu, a pana będziemy prosili o przycięcie róż, bo całkiem zdziczały. Szczególnie tej pnącej, bo wychodzi na ścieżkę i pani Eulalia, przechodząc, ciągle się kaleczy o kolce. Trzeba ją podwiązać. Proszę przy tym uważać, bo kluje. Jakby panowie czegoś nie wiedzieli, to wystarczy krzyknąć albo nawet pomachać do mnie, bo ja z góry będę panów widział. Wiedzą panowie, my mamy tam własną robotę do wykonania, to nie będziemy tu panom przeszkadzać.

Ten fragment „będę panów widział” Miron zaakcentował w taki sposób, że nie pozostawił „ogrodnikom” cienia wątpliwości co do tego, że będą pilnowani.

– No dobra, to skoro już mam tu siedzieć, niech się jeszcze na coś przydam. Przytrzymać ci listwę, czy ja mam przybijać, a ty trzymasz?

Robota w ogrodzie została wykonana po łebkach, ale i nikt się nie spodziewał staranności po oszustach. Nie mieli wyjścia, co chwilę spoglądając w okna poddasza, czy są śledzeni, wykonywali zadane prace, a właściwie markowali ich wykonywanie.

– Na dziś skończyliśmy – orzekli panowie przebierańcy, kiedy uznali, że wystarczy tej szopki na jeden dzień. – Musimy jeszcze pojechać do firmy po nawóz do kwiatów – usprawiedliwiali wcześniejsze zakończenie robót.

– Okej – przystał Miron. – To jutro jak panowie przyjadą, poprosimy o skopanie tego kawałka ziemi wzdłuż ścieżki, do pergoli, i będziemy dosiewać tam trawę. A trawnik przed domem skosicie, jeśli wystarczy czasu. To do widzenia.

– Jak myślisz, przyjdą jutro? – spytał Artur, kiedy samochód „ogrodników” zniknął za zakrętem.

– Zdziwiłbym się.

Eulalia z miłym uczuciem kładła się spać. To był dobry dzień. Ogród trochę przejaśniał, chociaż spodziewała się, że zobaczy w nim więcej zmian. Widocznie był porządnie zaniedbany. W hurtowni przygotowali dla niej kompletne zamówienie, chociaż zgodnie z jej wcześniejszymi doświadczeniami bywało z tym różnie, a do tego na zachętę dostała spory upust. I tak wydała kupę pieniędzy, bo luki w apteczce były ogromne. Brakowało leków znieczulających, wszystkie preparaty na odrobaczanie były przeterminowane, a ilość i asortyment środków opatrunkowych nie gwarantowały przyjęcia poważniejszych wypadków. W gratisie dostała kołnierz ochronny dla kota. Może kiedyś się przyda. Poza tym miała dziś pierwszego pacjenta. Koza Rafalskiego jakimś cudem weszła na komórkę i bodaj pierwszy raz w życiu bała się zejść. Przymierziała się do zeskokcenia kilka razy, aż w końcu zdecydowała się zaryzykować. I chociaż do tej pory skakała nie z takich wysokości, tym razem coś jej nie wyszło. Chodziła po obejściu, kuśtykając i pobekiwała żałośnie, pewnie z bólu. Rafalska siłą przyprowadziła zwierzę na postrońku do lekarza. Eulalia obmacała nogę, na wszelki wypadek zrobiła prześwietlenie, ale okazało się, że jest tylko skręcona. Założono kozie opaskę elastyczną, z którą zachowywała się, jakby w ogóle nie miała tej nogi. Ale to dla niej dobrze, bo nie obciążała kończyny, dzięki czemu szybciej się zagoi.

– Jak pani to zrobiła? – spytała zadziwiona Rafalska.

– Znaczy co? – Eulalia nie zrozumiała pytania.

– No z tą kozą. Ona nikomu nie daje się dotknąć. Zatopka to ugryzła nawet wtedy, kiedy nie przy niej robił. Na sam jego widok wystawiała rogi. Jak miała kleszcza w wymieniu, to tak go pokopła, że musieliśmy ją związać.

– To dość niemile, więc trochę jej się nie dziwię.

– Hmm... Chyba panią zwierzęta szanują. Powiem we wsi, bo przedtem to się nie zdarzało.

I tak Eulalia nie dość, że ruszyła z własną lecznicą, to jeszcze przy okazji załatwiła sobie reklamę szeptaną. Lepszą niż ogłoszenie w internecie.

Nic dziwnego, że po tak pozytywnym dniu usnęła z uśmiechem na ustach. Pomógł jej w tym deszcz, który monotonnym bębnieniem o daszek rozpraszal nocną ciszę. Po miejskim gwarze trudno się do takiej ciszy przyzwyczaić, bo jeśli we wsi panuje spokój, a w domu nie ma myszy, to nie słyhać nic, naprawdę nic, po prostu nic. Dopiero nad ranem budzą się koguty i obwieszczają światu, że są na posterunku. A tak to zupełna cisza.

W środku nocy z Eulalii zjechała kołdra. Nie sama. To Rysiek w ten sposób budził swoją tymczasową panią, krótkimi poszczekiwaniami przynaglając, by wstała. Jako zwierzęcy behawiorysta od razu zorientowała się, że pies ma do niej jakąś bardzo ważną sprawę. Nie do końca obudzona zeszała za nim

do salonu. Pies przywarł do drzwi tarasowych i cicho, acz złowrogo powarkiwiał. W deszczu i nocnych ciemnościach niewiele było widać. W pewnej chwili w poświacie padającej z okna w sypialni ukazał się ciemny ludzki cień.

– Co jest?! – pomyślała na głos Eulalia i bez zastanowienia otworzyła drzwi. Pies tylko na to czekał. Wpadł do ogrodu z wściekłym charkotem.

Co się w ciemnościach wydarzyło, tego Eulalia nie mogła dojrzeć. Słyszała tylko szamotaninę.

– Auu! Kurwa! Roman, spierdalamy!

Potem tylko tupot nóg, pobrzękiwanie poruszonej siatki ogrodzenia i po chwili przy jej nogach, prychnając i merdając ogonem z zadowolenia, przysiadł usatysfakcjonowany swoją akcją Rysiek.

– Mieliśmy złodziei? – spytała psa. – Dobrze się spisaleś. Dziękuję. Dobry pies.

I z wdzięcznością potarmośiła go za kudły. Z miny Ryśka wynioskowała, że bardzo mu schlebają pochwały. Liznął ją po twarzy i uznał przygodę za zakończoną. Jednocześnie w ramach uznania własnych zasług przyznał sobie prawo zajęcia kanapy.

– Hej, mokry jesteś! – próbowała zaprotestować Eulalia, ale w końcu i ona stwierdziła, że psu należy się nagroda. – A niech tam.

Wróciła do łóżka i pomimo niemłej przygody od razu ponownie zasnęła.

Dwie kobiece głowy pochylały się nad blokiem do notatek. Wokół porozrzucanych już było wiele pokreślonych kartek i nadal trwały narady. To Eulalia z Jolką przy kuchennym stole wspólnymi siłami tworzyły projekt szyldu lecznicy. W szczytce twórczego szału pracę przerwała im wizyta gości. Przed domem zatrzymał się samochód Zuzi, z którego wysypało się całe towarzystwo.

– Zabierz, Jolu, te śmiecie ze stołu – poleciła Babcia, stawiając na blacie dwie wypchane torby. – Przyniosłam ci coś słodkiego na poprawę humoru – zwróciła się do Eulalii – i trochę jabłuszek, bo jeszcze poprzednich nie zużyłam, a dziś Czerwińska przyniosła słoiki takich na szarlotkę. Jej przetwory co prawda nie są takie dobre jak nasze, ale jak dołożę swój słoik agrestu, to jakoś można złagodzić tę jej hodowlę cukrzycy. Ładnie to narysowałaś.

– Mówiłam, że Jola ma talent. Aż go szkoda na malowanie szyldów – Zuzia rozpakowywała siatki.

– W pełni się z tobą zgadzam – poparła jej słowa Eulalia. – Aż się boję rozmawiać z nią o cenie, ale już widzę, że każdych pieniędzy jest warta.

– Spokojnie, po znajomości nie zedrę z ciebie – Jolka puściła oko. – Dzięki rodzicom Zuzi mam stały dochód, to nie muszę zarabiać na znajomych.

– Myślałam, że rodzice Zuzi są za granicą – zainteresowała się Eulalia.

– Właśnie. I dostali w ramach prezentu na rocznicę ślubu namalowany przeze mnie ich dom – wyjaśniała Jolka. – Zaczy ten u nas. Tak się tam spodobał, że wszyscy Grecy z całego Peloponezu przysyłają zamówienia. Kto nie ma na ścianie swojego obrazu przedstawiającego jego willę, ten się tam nie liczy w towarzystwie. Artur nic nie robi, tylko zbija skrzynki na wysyłkę kolejnych płócien. Przy tym płacą jak za zboże.

– Ciesz się, że ci się dobrze powodzi. I dziękuję, że pomimo wielu zamówień znalazłaś czas na mój projekt.

– To ciekawa odmiana. Przy okazji przypomnę sobie liternictwo, bo dawno nie robiłam reklam.

– My tu gadu-gadu – przerwał im dyskusję Miron – a zapomnieliście, po co przyszliśmy. Koniec plotek, mów, co się tu wydarzyło.

– Ktoś chciał mi ukraść cechy z grilla. A mówiliście, że tu sami uczciwi ludzie mieszkają.

– Bo mieszkają – Babcia broniła honoru wioski.

– To co złodzieje robili w moim ogródku w środku nocy?

Eulalia trwała wyczekiwaniu, a reszta towarzystwa w milczeniu patrzyła po sobie. W końcu Babcia przerwała milczenie.

– Chyba czas najwyższy wprowadzić ją w temat.

– O, Jasiak idzie – Jolka wypatrzyła kolegę przez okno.

– Wiedziałem, że was tu zastanę. Przynajmniej miałem taką nadzieję – Jasiak przywitał się z psem, który na jego widok szalał z radości.

– A ty po dwudziestoczęterogodzinnej służbie nie powinienes spać? – zainteresowała się Zuza.

– Spokojnie było, to w pracy trochę pospałem. Gdyby nie wezwanie tu, do nas, to nic by się nie działo, ale szybko się uwinęliśmy – odpowiedział Janek.

– U nas się palilo? W naszej wsi? Nic nie słyszałam – zaciekawila się Jolka.

– Nie palilo się – wyjaśnił. – I nie mogłaś słyszeć, bo to było od strony Wrońskich.

– Wrońskich? – Eulalia jeszcze nie znała wielu mieszkańców.

– To ci, co mają sklep na drugim końcu wsi, przy wjeździe od tamtej strony – wyjaśniała Zuza.

– No – potwierdził Jasiak. – I tak samo jak koło Zuzki, też jest tam zakręt prowadzący na most. Dokładnie tak jak tutaj.

– I co się tam stało? – Miron chciał przyspieszyć opowiadanie.

– I jakiś debil nie wyrobił się na zakręcie i wjechał do rzeki. Przecież to ślepym trzeba być, żeby tego zakrętu nie zobaczyć. Znak drogowy z ograniczeniem prędkości jak wół, jodłę z barierami ochronnymi już od Gołbiewskich widać... Wiecie, takie biało-czerwone strzałki w bok – wytłumaczył, widząc, że nie zrozumieli. – A ten prosto w wodę. Jednym bokiem oparł się o konstrukcję mostu, a na drugi napierała woda. Okna żadnego nie dało rady otworzyć, bo nie na korbkę, a elektrykę mu w tej wodzie szlag trafił. Dobrze, że po ostatnich ulewach mało wezbrało, bo wiecie, jak tu potrafi rzeka urosnąć. Została im poduszka powietrzna pod samym dachem. Mieli szczęście, że zdążyli zadzwonić pod 112, zanim zamoczyło im telefon. Chociaż z wezwaniem pomocy przytomnie się zachowali. Jak ich wyciągnęliśmy, to byli tak wychłodzeni, że prawie w śpiączce. Do rana byłoby po chłopach.

– Ciekawe, co robili na naszej drodze? – zastanawiała się Jolka.

– Dlaczego to takie dziwne, że ktoś nią jechał? – zainteresowała się Eulalia, nie znając topografii wioski.

– Bo to jest taka droga wewnętrzna, znikąd donikąd. Odbija od drogi głównej, żeby po czterech kilometrach znów do niej wrócić. Jedziesz nią przez mostek przy sklepie Wrońskich, przejeżdżasz przez całą wieś, mijając wszystkie gospodarstwa, i wyjeżdżasz przez ten most przy naszym domu – objaśniła Zuzia. – Tyle że po tamtej stronie rzeki masz jeszcze po obu końcach kawał przez las. Wszyscy we wsi znają ten zakręt i po omacku by w niego trafili. Czyli wypadek mieli obcy.

– Zgadza się – potwierdził Janek.

– A jeśli to nie nasi, to co w nocy robili na tym zakręcie? – padło pytanie Jolki.

– Uciekali z Eulusi cegłą – odpowiedziała Babcia odkrywczco.

– Bez cegły – sprostowała Eulalia. – Bo oni zdążyli tego grilla częściowo tylko rozebrać, jak im Rysiek... kochane psisko... – pogłaskała psa z wdzięcznością – przeszkodził w kradzieży.

– Długo tak będziecie chować głowę w piasek i udawać, że nie wiecie, o co chodzi? – nie wytrzymała Babcia. – Kobieta powinna wiedzieć, co się wokół niej dzieje.

Znów zapadła chwila niezręcznej ciszy, bo nikt nie chciał rozwiązać marzeń Eulalii o bezpiecznym miejscu na ziemi.

– Dobra – odezwał się w końcu Miron. – Masz rację, Babciu – zaczął.

– Jeszcze raz mnie nazwiesz babcią, to przejdiesz na własny garnuszek – obruszyła się Joanna. – Jest tylko jedna osoba, której przysługuje to prawo. I chyba to też musimy zmienić, ale nie w tę stronę, która by ciebie uprzywilejowała.

– Asieńko – Miron cmoknął Babcie w rękę. – Przecież wiesz, że ja tak miłośnie, przez usynowienie mnie i wpisanie do rodziny. Nie gniewaj się.

Babcia oswobodziła dłoń.

– Dobrze, dobrze – mruknęła rozbrojona. – A teraz spowiadaj się... O cholercia! – wzrok Babcini zahaczył o zegar na ścianie. – Dzieciaki zaraz wyjdą ze szkoły, a w domu nikogo nie ma. Zuzka, lecimy, bo będą stać pod drzwiami. Kto z nami jedzie?

Okazało się, że nikt z towarzystwa nie chciał być zwiastunem złych wiadomości. Wszyscy rzucili się do samochodu. Na placu boju został jedynie Miron.

– O co tu chodzi? – spytała Eulalia. – Co tu się właściwie dzieje? Co wy przede mną ukrywacie?

– Zrób kawę, bo to dłuższa opowieść, a na samo wspomnienie głowa mnie boli – zaordynował Miron.

– Nie wykręcaj się – upomniła go Eulalia, ale nastawiła ekspres i pokroiła przyniesione przez Babcinę ciasto.

Usiedli naprzeciwko siebie.

– Nikt nie chciał ci ukraść cegły.

– To co ci złodzieje tu robili? – nie dowierzała.

– Przeszukiwali grill.

– Grill? Kiełbasy szukali? Dlaczego grill?

– Bo wszystko inne już przewąchali. To nie będzie miłe – zastrzegł.

– Mój mąż rzucił mnie dla młodszej kochanki, wyrzucili mnie z domu i pozbawili miejsca pracy, które od tylu lat tworzyłam, zmusili do porzucenia moich klientów, na których zaufanie pracowałam, wysłali mnie na banicję na koniec świata, gdzie nikogo nie znam i na wszystko muszę zapracować od początku. Czy uważasz, że jest jeszcze coś niemilego, co może mnie wzruszyć?!

– Obawiam się, że tak – Miron nie zostawiał żadnych złudzeń.

– Dobra – Eulalia była zdeterminowana. – Wal. Miejmy to za sobą.

– Prawdopodobnie jak tu przyjechałaś, nie było żadnego remontu. Zaczekaj – powstrzymał ją gestem przed zadawaniem dalszych pytań. – Pielenia ogródka też nie było.

– Ale wypielony – zdołała wtrącić.

– To efekt uboczny. Posłuchaj. Jak już wiesz, ten dom zajmował wcześniej człowiek...

– Weterynarz. Tak jak ja.

– Owszem, tyle że nie tak jak ty, on był związany z mafią... Chyba, że ty też jesteś?

– Że niby ja?! Na głowę ci padło?! – oburzyła się Eulalia. – Ale wspominałeś, że on siedzi.

– On siedzi – potwierdził Miron. – Tyle że zanim go wsadzili, prawdopodobnie coś tu ukrył. Ta demolka, którą zastaliśmy, nie była związana z żadnym remontem. Pozrywali podłogi, licząc że są pod nimi jakieś skrytki. Wczorajsi ogrodnicy tak się znali na ogrodach, jak ja na szydelkowaniu. Nie znaleźli nic w domu, to przyszli przetrząsnąć ogród. Cały dzień patrzyliśmy im na ręce, ale zdążyli już sprawdzić sławojkę, kompostownik i zajrzeć do beczki. Założyli, że ziemia nic nie kryje, bo wszystko było równo zarośnięte, bez oznak wcześniejszego kopania. Jedyne, czego nie zdążyli zbadać, to grill. Wśród jego cegieł spodziewali się jakiejś skrytki. Wtedy wypłoszył ich Rysiek.

– Czyli nie znaleźli tego, czego szukali, cokolwiek by to było?

– Wygląda na to, że nie – potwierdził Miron.

– To znaczy, że jeszcze będą szukać? – drążyła.

– Niewykluczone. Chyba że uznają, że tu już niczego nie znajdują.

– A nastąpi to dopiero wtedy, kiedy rozbiorą cały dom do ostatniej cegły i rozkopią cały ogród na dwa metry w głąb?

– W pesymistycznej wersji możesz mieć rację.

– I mówisz, że to mafia?

– Tak. Bardzo niebezpieczni ludzie. Zabili już kilka osób na tym terenie. Sam ledwie uszedłem z życiem. Gdyby nie nasi przyjaciele, których zdążyłaś już poznać, prawdopodobnie już bym nie żył.

– Oni uratowali ci życie? Wszyscy?

– Tak. To bardzo mądrzy i dzielni ludzie. A do tego przyjęli mnie pod swój dach, chociaż właściwie jestem dla nich obcy i mają świadomość, że idzie za mną zagrożenie. Znaleźli mnie skatowanego w lesie i zaproponowali mieszkanie, kiedy mafia spaliła mi dom.

– To fascynujące – Eulalia nie mogła uwierzyć w tę historię.

– Ale to nie film akcji, tylko życie. Teraz również twoje.

– Jeśli miałeś zamiar mnie przestraszyć, to ci się udało. Dżyzys, gdybym wiedziała, na co będę tu skazana, wolałabym zamieszkać pod mostem niż w tym domu – Eulalia tarła czoło.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale pod mostami mamy tu duży ruch – Miron chciał zażartować, ale nie bardzo mu się to udało.

– Ha, ha – prześmiewczo zareagowała kobieta. – Okej, ale powiedz mi, kto prowadzi te poszukiwania. Nie wiem, dlaczego, ale jakoś mi się tu łączy z tym teściem mojego byłego męża. To on kupił dla mnie ten dom i w sumie to on mnie tu ulokował. Ktoś, kto rozebrał schody i grzebał pod podłogą, nie włamywał się, tylko miał klucze. Ta cała Małgośka mówiła, że w domu jest porządek. Raczej nie kłamała, tylko była o tym przekonana. Czyli to, co się tu wydarzyło, miało miejsce już po sprzedaży domu. Aresztujcie go!

– Nawet jeśli masz rację, że teść maczał w tym palce, to za co mają go aresztować? Za kupno domu? To akurat była jak najbardziej legalna transakcja. To nie on rozkopywał ci ogródek i nie on rozebrał ci grilla.

– Tego akurat nie miałabym mu za złe. Ten grill wyglądał jak nagrobek, sama chciałam go rozebrać. Kurczę, wygląda na to, że spokój odzyskam dopiero wtedy, kiedy albo znajdziemy winowajcę tych poszukiwań, albo sami znajdziemy to coś... Albo na tamtym świecie – Eulalia zamyśliła się nad własnymi słowami.

– Nie gadaj głupot. Nie dopuścimy do żadnej ostateczności.

– Zainstalujecie mi tu zasieki i pole minowe?

– Zapewnimy ci lepszą ochronę – zdecydował Miron.

– Że niby warty tu będziecie trzymać pod drzwiami?

– Nie. Sprowadzę się tu do ciebie i nie będę spuszczał oka z domu.

– I jak długo tak wytrzymasz? Przecież ja muszę normalnie żyć. Ty też masz jakieś zobowiązania, swoje sprawy i nie możesz tu koczować Bóg wie, jak długo.

– Nie przypuszczam, żeby to miało długo potrwać. Prędzej czy później zagadka musi się wyjaśnić.

– Wolałabym prędzej.

– To co, zgadzasz się na tymczasową ochronę?

– A mam wyjście? Po tym, co usłyszałam, zaczynam się bać, ale nie na tyle, żeby oddać walkowerem. Zaczęłam uważać to miejsce za własne. Nie dam się z niego tak łatwo wykopać. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że sama, i to baba, nie dam rady, gdyby znów ktoś się zjawił. I naprawdę obawiam się, że mi tu urwą łeb.

– Postaram się, żebyś nie odczuła naszej obecności. Jutro pojedę do chłopaków, może w firmie mają jakieś nowe informacje w sprawie, a z tobą w dzień i tak będzie tu jeszcze Artur. Zanim skończą robotę, powinienem wrócić.

– Zależało mi, żeby szybko skończył, ale teraz gotowa jestem sama zrywać podłogi, żeby tu jeszcze siedział. Dobrze, że chociaż jest ze mną pies... Specjalnie mi go podrzuciliście? – przejrzała ich podstęp.

– Kogoś musieliśmy ci tu przemyścić. I tak tu zostanie. To najlepszy ochroniarz we wsi.

– Muszę mu kupić psiego łakocia w nagrodę.

– Zapracował. Tylko go nie rozpieść za bardzo, bo się rozleniwi. Dobra, idę po ciuchy.

– Dzień dobry, dzień dobry!!! – Eulalia weszła do domu Nowaczek i rozglądała się za gospodyniami. Zuzia zbiegła ze schodów.

– Sama przyszłaś? A gdzie Miron?

– Przyjechałam. A Miron poleciał do swoich, żeby zdobyć informacje na temat postępu sprawy. Wpadłam tylko na chwilę, bo mam umówioną wizytę na jedenastą.

– To jeszcze zdążysz wypić kawę? – w kuchni zmaterializowała się babcia.

– Taką na jednej nodze – Eulalia przysiadła na brzegu krzesła, jakby za chwilę chciała się z niego zerwać.

– Widzę, że jesteś w dobrym humorze – Babcia z uwagą przyjrzała się gościowi. – Zdaje się, że towarzystwo bodyguarda ci służy.

– Nigdy nie traktowałabym Mirona jako bodyguarda – obruszyła się Eulalia.

– Nikt tak nie twierdzi – w oczach Babci pojawiły się chochliki.

Eulalia tylko fuknęła.

– Nic z tych rzeczy – zarzekała się, ale splonęła rumieńcem. – Miron to prawdziwy przyjaciel. Ja naprawdę doceniam to, co dla mnie wszyscy robicie. Przecież jestem obca.

– Teraz już swoja. Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi – Zuza ustawiła filiżanki na stole.

– Poczęstowałabym cię drożdżowym, ale jakieś takie gumowe mi wyszło. Zjesz? – zaproponowała Babcia.

– Chętnie. À propos gumowego ciasta, bo zapomnę, po co przyszedłam. Znalazłam rozwiązanie dla tej waszej kłątwy.

– Oby skuteczne – westchnęła Zuzia.

– Gwarancji nie daję, ale spróbować warto... Dziękuję, jak jem słodczyce, to nie słodzę – Eulalia zareagowała na wysuniętą w jej stronę cukiernicę. – Po tych wczorajszych rewelacjach nie mogłam zasnąć.

– Szczególnie że w pobliżu był przystojny facet – wtrąciła Babcia.

Eulalia roześmiała się.

– To też – przyznała niespeszona. – Ale cały czas po głowie chodził mi nie Miron, tylko ci złodzieje. Żeby nie zwariować, postanowiłam skierować myśli w inne rejony rzeczywistości, chociaż raczej powinnam powiedzieć nierzeczywistości. I skupiłam się na obmyśleniu lekarstwa na kłatwę. Analizowałam to pod kątem eliminacji niepożądanych zachowań w zwierzaków. Tu musi zadziałać metoda kija i marchewki. Marchewki nie wymyśliłam... jeszcze, ale mam kij... Dobre to ciasto, wcale nie gumowe. Mogę na wynos?

– Tym razem nie dostaniesz. Jeśli chcesz pojeść, to przyprowadź tu Mirona, jak wróci z wiadomościami, bo też chcemy wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Okej. Chyba że przyjdzie najpierw do was, a potem do mnie, bo chyba jednak u was ma dom, a u mnie jest tylko z konieczności.

– Koniecznością bym tego nie nazwała, ale jeśli najpierw tu się pojawi, to po ciebie zadzwonimy. A teraz mów o tym kiju.

– Prawda, kij! No więc, jeśli pojawia się jakieś niepożądane zachowanie, to natychmiast musi zostać jakoś „ukarane” – Eulalia przy pomocy gestu wyraziła cudzysłów. – Do Dnia Prawdy jest jeszcze trochę czasu i jeśli wszyscy się przyłożą do ćwiczenia, jest szansa wyeliminować kłamanie.

– Mów, mów. Jeśliby się to udało, byłby cud – zachęciła Zuza.

– Na cud to bym raczej nie liczyła, ale szansa jakaś jest. Tylko wszyscy musieliby wziąć w tym udział. Czy jesteście w stanie przekonać wszystkich... WSZYSTKICH, żeby dołączyli do zabawy?

– Do zabawy to tak, ale walka z kłamstwem raczej nie kojarzy się z zabawą – zwałpiła Zuzka.

– Trzeba to tak przedstawić, żeby zachęcić.

– Okej, ale co by to dokładnie miało być? – Babcia dopytywała o konkrety.

– Musiałoby to być coś jak porażenie prądem... Jak kopniak w... tę... no...

– W dupę – skończyła za nią Babcia. – Nie bójmy się tego powiedzieć.

– No właśnie – przytaknęła Eulalia. – Jak strzelenie z gumki...

– To ostatnie akurat da się załatwić – wtrąciła Zuzia.

– Nooo. Tylko kto miałby strzelać? – Babcia próbowała to sobie wyobrazić.

– To akurat zupełnie nieważne. Karę można wymierzać samemu sobie. Chodzi tylko o to, żeby to było coś nieprzyjemnego i do zastosowania natychmiast po przewinieniu.

– Hmm... Czyli jeśli każdy miałby przy sobie taką gumkę i za każdym razem, kiedy przyłapie się na kłamstwie, wyjmował ją z kieszeni i strzelał sobie w łeb... – myślała na głos Babcia.

– Kieszeń to się dziś ma jedną, a jutro drugą, a ta druga to już bez gumki. Taka gumka musiałaby być dzień i noc przy człowieku. Na nodze, albo... No, właśnie... na nadgarstku – dołożyła swój głos do dyskusji Zuzia.

– No i razem wymyśliłyśmy. Teraz tylko trzeba każdego namówić do udziału w eksperymencie i sprawić, żeby się pilnowali. Pyszne było, dziękuję. Lecę zobaczyć te krowiny za lasem. Ponoć mają problemy z kopytami. To do wieczora!

– Dajcie mi najpierw coś mokrego, bo cały dzień nic w ustach nie miałem, a ciepło się zrobiło – upomniał się Miron, widząc, że wszyscy czekają na rewelacje, których się spodziewali.

– Chcesz z wkładką? – Babcia chciała wykazać się gościnnością.

– Samo mokre proszę. Może jeszcze trzeba będzie gdzieś podjechać.

– Komu jeszcze soku? – Zuza uniosła dzbanek.

Nikt się nie zgłosił, każdy chciał przyspieszyć moment, kiedy Miron ugasi pragnienie i zacznie referować.

– Okej. No to tak: wszyscy z tej grupy zatrzymanych chcą dla siebie coś ugrać. O ile na początku co drugi się stawiał, to jak się okazało, że na wszystkich są kwity, raptem zmądrzeli. Teraz wszyscy chcą współpracować, bo każdy liczy na łagodniejszy wymiar kary. Śpiewają jak Poznańskie Słowiki i Chór Aleksandrowa razem wzięci. Kiedy nasi powiązali te wszystkie sznurki, kto kogo i z kim, to okazuje się, że polska gałąź organizacji została wykorzystana. Przebąkuje się, że Zatopek, mając mobilną przykrywkę w postaci swojej pracy, był swego rodzaju kurierem i jednocześnie miał tu jakby dziupłę. Przechowywał i przewoził różne fanty. A to fałszywe dokumenty dla różnych ludzi, a to pieniądze... I nie mówimy tu o małych kwotach, bo oni obracali ogromną kasą i wiadomo, że kart płatniczych raczej nie używali. Czasami trafiała się jakaś biżuteria. Wiecie, to z tych wymuszeń. Bo jak ludzie nie mieli gotówki, żeby się wypłacić, to żeby zadowolić napastników, oddawali wszystkie cenne przedmioty, co kto miał. Wiadomo, że szeregowi cyngle od brudnej roboty na oczy nie widzieli mózgu całego przedsięwzięcia. I nie mogli zobaczyć, więc to Zatopek był pośrednikiem. Niewykluczone, że tylko jako kolejny szczebel drabiny. Nadal dochodzą tych powiązań, tylko już w ograniczonym kręgu osób.

– Ale co z tego dla nas wynika? – Artur chciał przenieść te rewelacje na własny grunt.

– Dobrze nie jest – rozczarował wszystkich Miron. – Chętnych na te fanty jest więcej niż ryb w stawie Marciniaka. Ale kto na wolności? Nikt tego nie wie. A właściwie wiedzą, że niekt. Chłopaki mają jeszcze sprawdzić wątek pani Zatopekowej, nie nie figurowała w żadnych materiałach. Właściwie nic na nią nie mieli, więc mogła zeznawać z wolnej stopy. Trochę się zdziwili, że sprzedawała dom, szczególnie w tych

okolicznościach. Mają się zainteresować, bo im to brzydko pachnie. W firmie ucieszyli się naszymi problemami.

– Ha, ha! Bardzo śmieszne – ironizowała Jolka.

– Nie w tym znaczeniu, oczywiście. Ucieszyli się, bo to oznacza, że jest szansa na odzyskanie części majątku albo przynajmniej na zdobycie dodatkowych dowodów.

– I co? – dla Zuzy nie było w tym nic konkretnego.

– Sprawa w toku.

– Czyli...? – Babcia czekała na ciąg dalszy.

– Czyli ciągle nad tym pracują.

– A my? – dopytywała Zuzka.

– A my siedzimy w środku bagienka i musimy się tu jakoś urządzić.

To było rozczarowujące.

– Czy my nikogo nie obchodzimy? – spytała zawiedziona Eulalia.

– Czy spodziewałaś się czegoś bardziej konkretnego? Nie dadzą nam ochrony, bo poza włamaniem do ogródka, które mogło... Podkreślam, z ich punktu widzenia MOGŁO być przypadkowe, nic nie wskazuje, żeby nasze życie było zagrożone.

– Czyli...? – spytał dla odmiany Jasiek.

– Czyli oni rozpracowują siatkę dalej, a my gramy swoje.

– W dupie mam taką grę! – wybuchła Eulalia. – Za każdym razem, kiedy przekraczam próg własnego domu, obawiam się, że znów coś tam zastanę. Do końca świata mam się oglądać za siebie, czy nikt mi nie strzeli w plecy albo czy mi w majtkach nie będą sprawdzać, czy Zatopek tam niczego nie schował?

– Wygląda na to, że jeszcze trochę to potrwa – Miron nie pozostawił złudzeń.

I nawet nie wiedzieli, że wykrakali.

– Kupiłam gumki! – zawołała uradowana Zuzanna od progu. – Dziś rozdamy dzieciakom i przez nich spróbujemy dotrzeć do dorosłych. Kiedy gracie w brydża? Może te twoje karciary by nam pomogły rozkręcić akcję?

– Jutro środa. Chyba wytrzymasz do jutrzejszego wieczoru? Tylko może zamiast ograniczonej grupki brydżystów po prostu zwołać zebranie całej wsi? – zaproponowała Babcia.

– Dobra, wołamy. Zobacz – zaprezentowała zdobycz. – Nie dość, że różne kolory, co najmniej ważne, to różne rozmiary. Nawet na najgrubsze nadgarstki chłopów powinny się zmieścić. Przecież nie mogą uciskać, bo będą noszone przez cały dzień. Myślisz, że taka na Drogowskiego nie za ciasna?

– Zuzka, opanuj się, jak będzie za ciasna, to dwie zwiąże – stopowała zapędy wnuczki Joanna.

– Dzwoni do sołtysa, bo ja mu ostatnio podpadłam, niech skrzyknie sąsiadów. – Zuza układała zakupy na półkach.

– Znów się upomniałaś o otwarte Wi-Fi?

– On nawet poczty sam nie obsługuje, to nie rozumie, że dzieciaki są odcięte od cywilizacji.

Wieczorem, kiedy dzieci już były w domach, a dorośli pokończyli swoje prace w obejściach, przedstawiciele wszystkich rodzin zgromadzili się u Nowaczek. Chociaż pięknie wykonany przez Jolkę napis na płócie głosił, że to „Bezpieczny dom”, nikt inaczej we wsi nie mówił o tym miejscu, jak po prostu „u Nowaczek”. Kiedy usłyszeli, że chodzi o zdjęcie kłątwy, przybyli tłumnie. Nie dla wszystkich wystarczyło miejsc, więc część stała pod ścianami, część przysiadła na schodach wiodących do prywatnej części domu.

Babcia wykorzystała sytuację, żeby wszystkim przedstawić i zareklamować nową panią weterynarz, w czym pomogła jej Rafalska, wychwalając Eulalię pod niebiosa. Cała wieś знаła jej kożę i każdy

wiedział, co z niej za ziółko. Jeśli koza Rafalskich okazała szacunek doktorce, to nikt nie ośmielił się go podważać.

Dodatkowy aplauz zyskała Eulalia, kiedy jasno, w przystępny sposób, ale jednak „naukowo” wytłuszczyła, jak nieodroczone kara wpływa na eliminację niepożądanych zachowań i jak to może wpłynąć na przyszłość Wioski Malej. Zebrani tylko kiwali głowami. Kiedy skończyła wyjaśnienia, przez tłumek przeszedł pomruk aprobaty.

– Znaczą same se mamy tak temi gumkami pstrykać? – dopytywał Mostowski.

– Tak – potwierdziła Eulalia. – Najważniejsze, żeby trochę zabolalo. Nawet nie musi być mocno.

– A jak Drogowski skłamię i se nie pstryknie, to ja go moge?

– Nie – padła krótka odpowiedź.

– A dlaczego? Przecie kara być musi – drążył Mostowski.

Wtrąciła się Zuzka.

– To byłoby nie tylko niekoleżeńskie, ale i niezgodne z prawem. Pan Miron państwu wyjaśni – ruchem głowy zachęciła przyjaciela, żeby coś powiedział.

– To się nazywa naruszenie nietykalności cielesnej i podobnie jak klaps dany dziecku może być karane nawet więzieniem.

Szmer wśród zebranych świadczył o tym, że nie tylko do głowy im to nie przyszło, ale że klapsy były tu jednak stosowane.

Do świetlicy wsunął się w tym momencie spóźniony Jasiiek. Dyskretnie przedostał się do Mirona i coś mu szeptał do ucha.

– No dobrze – Mostowski nie czuł się do końca przekonany. – Ale jeśli Drogowski skłamię i se nie pstryknie, a ja wiem, że skłamał i ta kara ma być niero... niedoro... nieodroczone, to jak ja mu moge pstryknąć, jak se sam nie pstryknie?

– Tylko tak – i Eulalia pstryknęła palcami przed nosem najbliższej jej stojącemu sołtysowi. Odruchowo cofnął głowę.

Ludzie wybuchnęli śmiechem.

– Ale można też dyskretnie podpowiedzieć „Pstryk!”, bo czasami będą państwo gdzieś w towarzystwie i nie wypada tak ostentacyjnie komuś zwracać uwagi. Takie ciche „pstryk” pod nosem powinno wystarczyć, żeby winowajca równie ukradkiem, choćby gdzieś pod stołem strzelił gumką.

– Sąsiedzi – zabrała głos Babcia. – Chodzi o to, żeby nie tylko w Dzień Prawdy się pilnować, bo jeśli nam się uda zdjąć kłatwę, to możemy tu każdego roku świętować jakimś na przykład festynem. To chodzi o to, żeby w ogóle wypłenić kłamstwo z tej wsi. Przecież wiecie, że to zło. Sami staniemy się lepsi i dzieciom damy dobry przykład.

Joanna wycofała się po swoim przemówieniu, zbliżyła się do przyjaciół i pod nosem mruknęła:

– Jak za czasów podstawowej organizacji partyjnej, towarzyszeko Eulalio. „Budujemy lepsze jutro”.

– To dla dobra społecznego, towarzyszeko – równie scenicznym szeptem odpowiedziała jej pani weterynarz.

– Cicho! – skarciła je Zuza dyskretnie. – A ja zapraszam, żeby się państwo częstowali gumkami, jeśli ktoś nie ma. Gdyby zabrakło, to zawsze tu będą czekały – wskazała szkatułkę na regale. Ale przecież to może być każda gumka, jaka się znajdzie w domu.

Towarzystwo ruszyło po zdobycze. Każdy sam brał i podawał gumki sąsiadom. Nastąpiła chwila zamieszania, które przerwał Miron.

– Proszę państwa – uciszył zgromadzonych. – Mamy jeszcze taką prośbę, żeby państwo zwrócili uwagę na obcych, którzy się kręcą po naszej wsi.

– Znowu sataniści się uaktywnili i kapliczki ktoś będzie dewastował? – sołtys oderwał się od rozplątywania kłębu gumek.

Miron wymienił porozumiewawcze spojrzenia z przyjaciółmi.

– Tym razem chodzi o kradzieże. U pani weterynarz ktoś chciał ukraść cegły.

Dobrze, że Miron nie miał jeszcze czym wymierzyć sobie kary, bo przecież to nie była całkiem prawda.

– Łolaboga! – odezwała się gdzieś z kąta Chojnacka. – A u nas cała sterta pustaków czeka, bo kurnik mielim stawiać.

– Czego się, Chojnacka, martwita. Wystarczy psy spuścić. Te wasze kundły może niewyględne, ale dupsko pokąsać potrafią – rzucił radę Dominik od Bożymorskich.

– Ja tylko sąsiadom przypominam, żeby nie urządzać żadnych samosądów i żadnej szarpaniny. Jeśli jakiś podejrzany typ się kręci po okolicy, to najlepiej z tym prosto do aspiranta Ziółkowskiego. Każdy z państwa ma do niego telefon. No to dziękujemy państwu bardzo za spotkanie, chyba że pan sołtys jeszcze chciałby...

– Coście tam suchtali po kątach z Jaśkiem? – Babcia napadła na Mirona, kiedy tylko za ostatnim uczestnikiem zebrania zamknęły się drzwi.

– Dajcie się Jaśkowi wysikać, to zaraz sam wam opowie – Miron wystawił cierpliwość przyjaciół na próbę.

– Ktoś mnie wspominał? – Jaś wynurzył się z łazienki, poprawiając spodnie.

– Znów jakieś tajemnice? – Eulalia czuła się zagubiona w tej wymianie zdań.

– Koniec z tajemnicami – orzekł Miron. – Są informacje o tym zatopionym samochodzie. Mów – udzielił głosu Jankowi, zapominając, że zebranie się już skończyło i są we własnym gronie.

– Jak już wiecie, mam układy w szpitalu.

– Nie wiemy – wtrąciła Eulalia.

Zuzka pospieszyła z wyjaśnieniami:

– Janek jest w straży ratownikiem medycznym i jeśli poszkodowanych w wypadkach wycinają z wraków, to pracują w towarzystwie tych z karettek.

– Aha.

– I właśnie się dowiedziałem, że ci uratowani pod mostem trafili do nas na SOR. Jeden miał na całych rękach bąble, a drugi był podrapany, jakby prowadził wojnę ze stadem kotów. Jak wiecie, byli bardzo wychłodzeni...

– Wiemy – tym razem potwierdziła Eulalia.

– No właśnie. Ale jak odrobinę doszli do siebie, to po prostu uciekli ze szpitala.

– Jak można po prostu uciec ze szpitala? – zastanawiała się Babcia. – Przecież tam jest ochrona, są pielęgniarki... Poza tym, jak? W piżamach?

– Bingo! – potwierdził Jaś. – W piżamach. Nawet na monitoringu ich uwieczniło, tylko poza szpitalem to już nie ma kamer, to nie wiadomo, gdzie się skierowali. Ostatnia na podjeździe nie obejmuje całego placu. Ponoć tak generalnie to wiadomo, kim są, chociaż zarejestrowali ich jako NN. Obsłudze się spieszyło. Nie było pewne, czy przeżyją. Mogło dojść do tak zwanego wtórnego utonięcia. Powinni do siedemdziesięciu dwóch godzin pozostać pod obserwacją, ale widać, że dobrze się czuli. W każdym razie ich ciuchy, w tym dokumenty, gdzieś są. Nie bardzo mogłem wypytywać, gdzie podziwiają się teraz. Myślę, Miron, że ty prędzej się tego dowiesz, a przy okazji okaże się, czy to ktoś znajomy.

– Uczciwi ludzie nie uciekaliby ze szpitala – snuła domysły Zuzka. – Mogli wypisać się na własną odpowiedzialność.

– Tylko wtedy trzeba by było zrobić to formalnie, czyli podając personalia – uzupełniała jej hipotezę Jolka.

– My tych panów znamy – ku konsternacji wszystkich obwieścił Miron. – Może nie z imienia i nazwiska, ale z widzenia na pewno. Niektórzy nawet z nimi rozmawiali.

– Sądziś... – nie skończył zdania Artur.

– Właśnie tak sądzę – przytaknął Miron. – Jakby na czołach mieli wytatuowane, że to oni. Bąble i zadrapania, czyli pokrzywy i pnąca róża. W samochodzie topili się ci sami, którzy ryli w ogródku Eulalii.

– Zielarki trenują przed latem. – Słowa Babci, niby bez związku, we wszystkich wzbudziły poruszenie.

– Myślisz, że ich pokarało? – Zuzanna analizowała skutki i przyczyny wypadku.

– A jakie masz inne wytłumaczenie? – Artur zapalił się do tej myśli. – Super!

– Na logikę nie da się tego wytłumaczyć – dołożył swoje wrażenia Jasiek. – Jak wyciągaliśmy ten samochód, to układ kierowniczy działał normalnie, czyli nie był zablokowany. Opony całe, żadna nie wybuchła. Śladów poślizgu nie ma, ostrego hamowania też nie. Zakręt widoczny jak na dłoni, oświetlony, oznakowany, łuk drogi łagodny, gołoledzi nie było – wymieniał wszystkie możliwości. – Żadnego błota, gnijących liści ani nawet piachu. Czysty asfalt na prawie prostej drodze.

– Zielarki – potwierdziła Babcia.

Zapadła cisza, w której tylko Eulalia nie zapadła w zamyślenie. Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Czyli co? – nie wytrzymała w końcu.

– Czyli mimo wszystko Marianka ma sentyment do wsi.

– Może po prostu jest sprawiedliwa? – znalazła inne wytłumaczenie Jolka.

– A może wypadki chodzą po ludziach i ten się po prostu zdarzył – pragmatyczny Miron próbował przerwać te czarnowidztwa.

– O, o... Sam w to nie wierzysz – Babcia zakończyła dywagacje. – Dobra, jutro też jest dzień. Każdy do siebie! – zarządziła.

Artur stał na drabinie trzymanej przez Eulalię, a z dołu Miron usiłował mu podać nowy sztyl lecnicy. Musiał przy tym uważać, żeby nie przewrócić drugiej drabiny, na którą zamierzał niebawem sam wejść. Ich wysiłki nie były proste, bo dużym wyzwaniem był rozmiar reklamy. Tablica wykonana była ze sklejki wodoodpornej i to nie najcieńszej, przez co ciężkiej jak płyta pancerna. Eulalia nie wiedziała, czy nadal asekurować Artura, czy pomóc Mironowi dźwignąć malowidło. W końcu zdecydowała.

– Trzymaj go – poleciła Mironowi. – A ja pójde po linę.

– A masz jakąś? – stęknął Miron, odkładając sztyl pod ścianę.

Eulalia spojrzała na niego z politowaniem.

– Czasami trzeba przy zabiegu na chwilę spętać jakiegoś cielaka, żeby sobie albo ludziom nie zrobił krzywdy.

Po chwili kobieta wróciła ze zwojem liny, którą wspólnymi siłami obwiązali tablicę. Teraz również Artur mógł wziąć udział w jej wywindowaniu pod dach. Oparli ją o najwyższe szczyble i przymierzali się do założenia śrub.

– Na pewno nierdzewne? – Miron upewniał się po doświadczeniach z panelami.

– Przecież widzisz – potwierdził Artur.

Ich uszom dał się słyszeć rosnący sygnał zbliżającego się radiowozu. Po chwili samochód policyjny z dużą prędkością przejechał obok domu Eulalii. Kilkadziesiąt metrów dalej ostro zahamował i z wizgiem zawrócił. Znow przejechał kawalek, po czym znow ostro zahamował. Tym razem jego przystanek wypadł dokładnie naprzeciwko wjazdu do Koteckiej. Przez otwarte okno do naszej trójki dochodziła rozmowa prowadzona przez aspiranta Karola Ziółkowskiego.

– Zdecyduj się, kurna, bo przecież się nie skłonuję. To mam jechać do Wrońskich czy do Kowalskich?
– Do Jaśka? – zdziwiony Artur spytał swoich towarzyszy.
– A Jasiek to Kowalski? – Do tej pory Jaś nie miał szansy przedstawić się Eulalii z nazwiska. – Dowcipni rodzice.

– Czekaj, może dowiemy się, o co chodzi – uciszył ją Miron.
– Wszędzie złodzieje? – wrzeszczał do mikrofonu policjant. – Tu złodzieje i tam złodzieje? Kurna, przecież to są dwa różne końce wsi. Prześlijcie drugi radiowóz... Stoję przodem w tamtą stronę, to jadę do Kowalskich... Dobra, bez odbioru.

I radiowóz odjechał z piskiem opon.

– Coś się stało u Jaśka. Zostawmy to i jedziemy. Eulalia, wyprowadź samochód, będzie szybciej.

Nie minęły trzy minuty, jak dołączyli do zlotu automobilistów. Oprócz ich auta i radiowozu był tam opel Bartkowiaka i jakiś niezny ford. Bartkowiak z kluczem do zmieniania opon wspierany przez krzepkiego Czerwińskiego przypierali do Jaśkowego płotu jakiegoś chudziaczka. Aspirant Ziółkowski zdjął czapkę i wierzchem dłoni ocierał pot z czoła. W drugiej ścisłał dokumenty delikwenta. Zza płotu tata Jaśka z telefonem w rękę przyglądał się zajściu.

– Czyli jeszcze raz, panie Jezierski, co pan tu robi? – zrezygnowanym głosem dochodził policjant.

– Już panom tłumaczyłem, przyjechałem do pani Jolanty odebrać zamówiony landszafcik.

– To co robiłeś, złodzieju, w tym miejscu? Szpiegowałeś Kowalskiego, czy jest w domu, żeby ucziwych ludzi obrobić z ciężko zarobionych pieniędzy!

– Panowie... – człowiek wyglądał na wystraszonego i wcale go nie uspokajała obecność przedstawiciela władzy, bo ten nie zamierzał przejąć kontroli nad sytuacją. – Panowie, ja nie wiem, o co wam chodzi. Nikogo nie szpiegowałam. Jadę z samej Stolicy. Miałem ciężką noc, bo żona niedawno urodziła i mały krzyczy nawet bez powodu. Ożłopałem się kawy, żeby jakoś funkcjonować i wiecie, jak to kawa. Szczuć mi się zachciało.

– Wyrażaj się pan – zwrócił mu uwagę Ziółkowski. – Widzisz pan, że kobieta tu stoi.

– Przepraszam, przepraszam... No więc musiałem siku, a że już do lasu nie chciało mi się wracać, tym bardziej że już jestem spóźniony, to pomyślałem, że przy tym krzaczku sobie stanę.

– Ta, jasne! Siedział w krzakach i podglądał, co się na podwórku dzieje – Bartkowiak nie dawał za wygraną.

– Słowo honoru, nie podglądałem.

– Takie pętaki, co ludzi podglądają, nie mają honoru.

– Ależ... – próbował się jeszcze bronić nieszcześnik, ale zabrakło mu argumentów.

– Spróbujmy to wyjaśnić – wtrącił się Miron. – Artur, dzwon do Jolki, czy była z kimś umówiona.

– Hm... Trochę się wczoraj poprzytykaliśmy, jak ją odprowadzałem – Artur chciał zachować dyskrecję, więc szeptał Mironowi na ucho.

– To daj jej numer. – Miron zaczekał, aż uzyska połączenie. – Jola? Artur bardzo cię przeprasza za wczorajsze nieporozumienie i zaprasza do Nowaczek na wieczór. A teraz mi powiedz, czy ty byłaś z kimś na dziś umówiona?... Przecież nie twierdzę, że się z kimś po kryjomu przed Arturem spotykasz, tylko pytam, czy czekasz na jakiegoś klienta, który po obraz do ciebie miał przyjechać?... Na lądzę nie wygląda – Miron obrzucił wzrokiem nieszczęśnika. – Raczej na łamagę. To nie denerwuj się, bo mu jeszcze trochę zjedzie, ale już do ciebie jedzie.

– Widzą panowie, że mówię prawdę. Jak Boga kocham, ja nikogo nie podglądałem.

Aspirant oddał mu dokumenty. W międzyczasie zdążył spisać dane do notatki służbowej, którą będzie musiał uwzględnić w dzisiejszym raporcie.

– Dobra, jedź pan – zarządził.

– Chętnie... Tylko... Gdzie je mógłbym zrobić siusiu, bo przecież nie wypada, żebym pojechał do artystki i pytał o kibel?

– Jezu, Jolka, nie mogłaś zrobić tego szyldu na czymś lżejszym? Ile my się naszarपालiliśmy, żeby go zamontować – Miron mocował się z przedłużaczem, bo Babci ładowarka od tabletu miała za mały zasięg, żeby przy kuchennym stole mogła sobie przeglądać Pinterest, a padła jej bateria.

– Artur to tylko w gębie mocny – sarknęła dziewczyna. – Zaprosił mnie do was i gdzie się podziewa?

– Tu się podziewa – Artur odwieszał bluzę w przedpokoju.

Wyciągnął w stronę Jolki bukietek niebieskich kwiatków cykorii.

– Myślisz, że jak mi na rowie chwastów narwiesz, to mnie to wzruszy?

– Myślę, że cię to wzruszy, bo ty jesteś wrażliwa dziewczyna i docenisz moje poświęcenie. Wiesz, jak głupio wyglądałem, kiedy mnie na tym zbieraniu kwiatków nakryli Gołębiwscy?

Wszyscy gruchnęli śmiechem, bo wyobrazili sobie minę państwa Gołębiwskich na widok dorosłego chłopca zbierającego kwiatki. Jolkę rozbroiła ta historia.

– Dobrze już, dobrze! – pozwoliła ukraść sobie buziaka.

– A Jasiak jak zwykle się spóźnia – niezupełnie bez związku marudziła Zuzka.

– Przecież on jeden z nas wszystkich pracuje na etacie – tłumaczyła go Eulalia. – Skończy pracę, to przyjdzie.

– Już dawno warczał – upierała się Zuza.

– Co robił? – Eulalia wciąż wdrażała się w życie wsi.

– Jasiak do pracy jeździ motocyklem – wytłumaczyła jej Jolka. – To dość głośna maszyna, słychać go, kiedy wraca. Totalna inwigilacja – z wyrzutem spojrzała na Zuzkę.

– No przecież go nie pilnuję.

– Tylko się stęskniłaś i na odgłos motoru reagujesz jak pies Pawłowa – Joanna nie zamierzała owijać w bawełnę.

– Oj Babciu! – Zuza strzeliła focha i porzuciła ich, żeby nastawić czajnik.

Zanim woda się zagotowała, Jaś dołączył do pozostałych.

– Byłbym wcześniej, ale ojciec musiał mi opowiedzieć, jak łapaliście złodzieja. Jak się okazało, nie wy jedni. Siedzą z twoją mamą – zwrócił się do Jolki – i raczą się nalewką na mirabelkach.

– To nie my łapaliśmy, tylko Bartkowiak.

– Jak to nie my jedni?

– Mama pije?

Każdy wyłowił z jego wypowiedzi inną informację. Jasiak skupił się na jednej.

– Nie wy jedni, bo Wrońscy, Mostowski i Drogowski też mieli swoją interwencję. Do sołtysa przyjechali ci od ogólnodostępnej sieci Wi-Fi. Znaczą jeszcze nie monterzy, tylko marketingowcy. Kiedy jechali przez las, spadła na nich gałąź i stłukła im migacz. Kierowca odruchowo skręcił kierownicę, złapał pobocze i urwali tłumik. Nie cały, ale im się telegał po asfalcie i wydawał dzikie dźwięki. Na swoje nieszczęście zatrzymali się przy sklepie Wrońskich, żeby kupić coś na ząb. Jeden z nich w poszukiwaniu kawałka drutu obszedł sklep dookoła. Liczył, że może przy śmietniku na zapleczu coś znajdzie, czym da się ten dyndający tłumik podwiązać. Nie spodobało się to się to Mostowskiemu i Drogowskiemu. Jak zwykle siedzieli z piwkiem przed sklepem i odlewali moment przystąpienia do roboty. Stwierdzili, że ten gość jest podejrzany. Rozgląda się, węszy, pewnie planuje włamanie. Jak ich znacie, to nie ułomki. Wzięli gościa w dwa ognie i dawaj przepytować. Niby marketingowcy to wygadani ludzie, ale ten języka w gębie zapomniał, bo do głowy mu nie przyszło, że ktoś może mu cokolwiek zarzucić tylko dlatego, że poszedł na zaplecze sklepu. Od słowa do słowa, zrobiła się awantura. Jak się Wrońscy dowiedzieli, że ktoś „planował okraść ich sklep”, to od razu

zadzwonili po policję. Ziółkowski pojechał do tej awantury u mnie pod domem, więc trochę trwało, zanim przysłali kogoś z Miasteczka. Wroński przez ten czas zamknął obu internetowców w sklepie. Obu, bo ten drugi, co czekał w samochodzie, też się wtrącił i jako współnik trafił do tymczasowego aresztu. Chyba się nasze chłopy kryminalów naoglądały, bo jak przyjechał drugi radiowóz, orzekli że doszło do „obywatelskiego zatrzymania” i zażądali aresztowania delikwentów. Obawiam się, że nie będziemy mieli internetu, bo nie dość, że panowie mieli trochę nerwów, to zapłacili mandat za jazdę niesprawnym samochodem i do tej pory stoją pod sklepem, czekając na lawetę. Ten policjant orzekł, że stan techniczny ich auta wyklucza dalszą jazdę.

– A ty skąd to wiesz? – Miron nie podejrzewał Jaśka o zbieranie plotek.

– Miałem zamiar kupić jakieś wino na dzisiaj, ale z powodu tego zajścia sklep nadal zamknięty, bo Wrońskiemu ciśnienie skoczyło, żona go dogląda, a córki nie ma. Pojechała do Stolicy do kina z jakimś obszczyrmurkiem z za lasu.

– Obawiam się, że się chłopy trochę za bardzo przejęły pilnowaniem obcych. Jak tak dalej pójdzie, to gotowi postawić zasieki na rogatkach – zauważyła Babcia.

– Też myślę, że może niepotrzebnie im wspominałeś o tych złodziejach – zastanawiała się na głos Eulalia.

– A ja tam uważam, że to dobrze, że ludzie są czujni – Jolka poparła akcję. – Przyznam, że po tych zeszłorocznych przygodach nie czułam się tu całkiem bezpiecznie. To znaczy nie bałam się, nie oglądałam za siebie i nie zamykałam drzwi na dziesięć zamków, ale teraz, jak wiem, że wszyscy się pilnują i nie trzeba przed sąsiadami ukrywać, że coś złego może się stać, tylko sami o tym wiedzą, to jakoś mi dodaje pewności siebie, nawet jak wieczorem idę sama.

– A kiedy ty wieczorem chodzisz sama? – wszedł jej w zdanie Artur.

– Nie łap mnie za słówka. O ciebie, jak mnie odprowadzasz i sam leżysz po nocy przez całą wieś, też się nie muszę martwić.

– To może bym cię jednak odprowadził, bo zobacz, która godzina – Artur uświadomił wszystkim, że trochę się zasiedzieli.

– Odwieziemy was – zaproponowała Eulalia i zwróciła się do Mirona. – Bo chyba mnie nie zostawisz teraz samej, dlatego że Mostowski z Drągowskim aresztowali internetowców, a tata Janka jakiegoś miłośnika sztuki?

– Miron, rusz się – zarządziła Babcia. – Te topielce jeszcze nie skończyły swojej roboty. Tylko weź sobie koszulę na zmianę.

To zdanie o topielcach było zupełnie niepotrzebne. Dobry humor wywołany wspomnieniem niefortunnych interwencji przysł jak postrzelony kryształ. Znów wszyscy zwiesili nosy.

– Pani doktor, pani doktor, rany boskie, niech pani szybko tu do nas przyjeżdża! Do Bożymorskich, znaczy.

– Co się stało? – Telefon oderwał Eulalię od pracy w ogrodzie. Usiłowała dokończyć to, czego nie udało się zrobić topielcom.

– Ptasia grypa jak nic. Niech pani szybko przyjedzie.

– O jakie ptaki chodzi? – Eulalia próbowała ustalić fakty.

– Kury mnie padli. Znaczą pomór na nie padł.

– Pani Bożymorska, ptasia grypa to sprawa dla powiatowego lekarza weterynarii, ja jestem taki „lekarz domowy”. Powinna pani zadzwonić do sanepidu albo przynajmniej na policję.

– A co ja, przestępca jaki, żebym się z policją zadawała?

– To niech pani wezwie lekarza, co odpowiada za powiat.

– Bodaj tam te doktory z miasta! One się na niczem nie znają. Tylko w pani nadzieja, bo jak się zaraza po wsi rozniesie, to i ludzie pomrą.

- Dużo tych kur pani padło?
- Dwie najlepsze noski. Leżą nieżywe całkiem i nie wiem, co z nimi robić.
- Niech ich pani nie rusza. Zaraz będę. Tylko proszę podać adres.
- Od pani licząc, drugi dom za świętym Walentym. Czekamy.
- Jasne, że czekamy. Co mamy robić? Martwe kury nie uciekną – pomyślała Eulalia, ale nie wdawała się w dalsze rozmowy.

Chwilę trwało, zanim ogarnęła myśli. Okej, najpierw odłożyć gdzieś sekator, zmienić buty, potem zabrać do samochodu najpotrzebniejsze wyposażenie. Szybko się z tym uwinęła. W piętnaście minut była w drodze. Na podwórku drugiego domu za świętkiem zobaczyła gospodynię skubiącą kurę. Wściekła się, że nierozwaga ciemnoty może przysporzyć mnóstwa kłopotów zdrowotnych całej wsi.

- Dzień dobry, pani Bożymorska – przywitała się, wysiadając z samochodu.
- Dzień dobry, pani doktor, ale ja Czerwińska jestem, bardzo mi miło.
- Mnie również. A w takim razie, gdzie Bożymorscy mieszkają, bo miałam jechać do drugiego domu za świętym Walentym.
- Paaani, trudno tych świętych odróżnić, nawet jak ich już Jolka odświeżyła i w nowych szatkach na cokolikach odremontowanych stoją. Ten tu to Florian. Walenty na następnym rozdwojeniu dróg.
- Dziękuję pani, miłego dnia.
- A szczęście Boże! – krzyknęła Czerwińska za oddalającym się autem Eulalii.

Tym razem lekarka trafiła jak po sznurku prosto na podwórko Bożymorskich. Gospodyni w popularnym wśród wiejskich kobiet kwiecistym fartuchu stała przerażona nad kurzymi zwłokami. Zanim Eulalia zbliżyła się do nich, wcisnęła się w kombinezon ochronny, założyła maskę na twarz i lekarską przyłbicę. Nitrylowe rękawiczki zakładała już w drodze do zdarzenia. Kątem oka zauważyła, że jest obserwowana przez okno przez jednego z młodych Bożymorskich.

Kury rzeczywiście nie żyły. Leżały równo ułożone jedna przy drugiej, jak w pokocie.

- Czy pani dotykała tych ptaków? – spytała oskarżycielsko kobietę.
- Uchowaj Boże! Jeszcze by mnie ta zaraza dotkła jak i te kury. Chyba od razu bym się obok nich kładła, niech i mnie razem z nimi do bakutilu.
- Pani Bożymorska, proszę się odsunąć. Widzi pani, że ja w maseczce jestem, więc ochroniona, a pani się tu naraża.

Kobiecina rąbkami fartucha osłoniła usta.

- Kiedy chce zobaczyć, co pani tu będzie radzić – tłumaczyła swoją asystę przy czynnościach lekarki.
- Nic nie będę radzić, tylko je obejrzę. I mówi pani, że nikt ich nie dotykał? – Bożymorska pokręciła głową. – I same się tak ładnie, równo, na baczność ułożyły?
- A kto je tam wie? Zwierzęta czują śmierć. Takie słonie to nawet kilkadziesiąt kilometrów na swoje cmentarzysko ido, żeby w godnym miejscu umrzeć i żeby się ich truchło po borze nie walało.
- Słonie nie żyją w borach – odruchowo sprostowała Eulalia i nadal zastanawiała się nad przyczyną śmierci leżącego u jej stóp drobiu. Przyklęła nad ptakami i przyjrzała się im dokładniej. Poruszyła jedną i drugą kurę, odwróciła, zajrzała w martwe oczy.

Wciąż zza uchylonej firanki przyglądał jej się młody mężczyzna.

- Pani Bożymorska, niech pani zawoła tu do nas syna – poprosiła pani weterynarz, unosząc przyłbicę i zsuwając maskę pod brodę.
 - Którego? Bo mam dwóch.
 - Tego, co na nas patrzy zza firanki – sprecyzowała Eulalia.
- Gospodyni sprawdziła, o kogo chodzi.
- Kacper! – wrzasnęła. – A pódź tu biegusiem, pani doktor każe.

Kacper niezadowolony, że został zdekonspirowany, oderwał się od swojego punktu obserwacyjnego i po chwili pojawił się na podwórku.

– Panie Kacprze – zaczęła Eulalia poważnie, patrząc przy tym chłopakowi głęboko w oczy. – Jeśli jest podejrzenie ptasiej grypy, to mamy obowiązek wezwać tutaj wszystkie odpowiedzialne za to służby. Po pierwsze powiatowego lekarza weterynarii...

– Przyjedzie tutaj ta pijaczyna i będzie się rządził w moim gospodarstwie?! – protestowała matka delikwenta.

– Nie tylko sam się będzie rządził, ale powiadomi też Powiatowy Zespół Reagowania Kryzysowego. Też przyjadą. Żeby oszacować zagrożenie. Wezwie też policję, żeby otoczyła teren taśmami. Może się zdarzyć, że dopóki nie wykonają badań, co zwykle trwa do trzech dni, nie pozwolą wam poruszać się po posesji. Przyjedzie też straż pożarna, żeby rozłożyć wszędzie maty dezynfekujące. Możliwe, że położą je na obu mostach, żeby zabezpieczyć wjazd i wyjazd ze wsi. Mogą też kazać wybić i zutylizować practice sąsiadów. A pana i pana mamę zabiorą do szpitala na kwarantannę – z tym ostatnim to już pojechała po bandzie, ale tylko trochę. – I jeszcze będzie się pan musiał zaszczepić – dorzuciła.

Kacper drapał się po karku i aż słyszał było, jak mu zwoje pracują.

– Idę po telefon – oznajmiła pani weterynarz, ale nadal stała w miejscu. – Aha, bym zapomniała – dodała i pokazując na pierwszą kurę, strzeliła chłopakowi palcami przed nosem. – Raz – odliczyła, potem druga kura – drugi pstryk. – Dwa – wskazała na matkę, kolejny pstryk. – Trzy – i na siebie, pstryk – cztery.

– Łoj, i o co tyle hałasu? – przemógł się wreszcie Kacper.

– To jak z tą ptasią gripą? – naciskała Eulalia. – Kto tym biedakom łebki poukręcał?

– A bo to wszystko matki wina – wybuchł Kacper i zaczął sobie przy pomocy recepturki wymierzać karę za kłamstwo. – Chociaż raz przy niedzieli chcieliby z Dominikiem zjeść coś porządnego, a nie tylko kluchy i kluchy. Prosił matkę, coby rosółku nagotowała, ogórki w szklarni już można wybrać niektóre, to mizeria by była do ziemniaczków i by człowiek dzień święty świętował jak człowiek. To matka powiedziała, że jak klusków nie chcemy, to nam kaszy nawarzy. Że niby ze skwarkami będzie i do mleka. A co to ja kura, żebym kasze jadł?

Eulalia podniosła padłe ofiary kulinariów z ziemi i podała je Bożymorskiej.

– Obawiam się – powiedziała, – że chyba jednak będzie pani musiała tego rosółku nagotować, bo jajek to one już raczej nie zniosą.

– No i czego się śmiejecie? – Eulalia uspokajała przyjaciół, którzy wysłuchali jej opowieści o pomysle Kacpra, chociaż sama zaśmiewała się z niego do łez. – Czy wy wiecie, co by we wsi było, gdyby trafili na jakiegoś służbistę, który najpierw zarządzi badania na ptasią gripę, a potem się zastanowi? Wcale nie żartowałam z tymi wszystkimi działaniami służb.

– Aż się boję, co Kacper jeszcze wymyśli, bo następnym razem może nam antyterrorystów na łeb ściągnąć – Babcia wypakowywała jajka, które Eulalia przyniosła od Bożymorskich.

– Najbardziej przykre, że uśmiercił matkę dwie ulubione nioski. Nie pomyślał chłopak. A bezproduktywne trzy koguty dziobią mu ogródek i toczą wojny o przywództwo. Kto jak kto, ale chyba na wsi wychowany, to powinien myśleć po gospodarsku.

– Myślisz, że w mieście nie myślą po gospodarsku? Też zabiliby wartościowe zwierzę bez powodu? – Zuzanna zamknęła kłapę laptopa, na którym kończyła okresowe sprawozdanie z działalności świetlicy.

– W mieście ludzie mają inne podejście do zwierząt. Tam zwierzak to pupil. Niektóre mają lepiej niż niejedno dziecko. Rozpieszczone, hołubione, na rękach noszone, nieomalże karmione łyżeczką. Ludzie na wsi traktują zwierzęta utylitarnie. Użytkowo. Tu zwierzę to nie przyjaciel, nie żywa, czująca istota, tylko produkt.

– A Rysiek? – Zuzka upomniała się o ulubieńca.

Pies leżący pod stołem uniósł łeb.

– Nie porównuj – wtrącił się Jasiek. – Rysiek nie jest wiejskim kundlem, tylko funkcjonariuszem na emeryturze.

– Chyba na rencie – sprostował Miron.

– Jak zwał, tak zwał. W każdym razie Rysiek był członkiem zespołu reagowania. I jeśli chcecie mi wmówić, że był wykorzystywany przez służbę, to się nie mogę z tym zgodzić. Najlepszy dowód, że go nie uśpili.

– Ale chcieli – Miron był do bólu szczery.

– Raczej tylko się odgrążali. Owszem, został odsunięty od służby, kiedy ten idiota zrobił mu krzywdę, psikając gazem w nos, ale nie skazali go na śmierć.

– Jasiu, to jest kwestia człowieka, który się nim opiekuje, nie służby – kontynuowała wątek Eulalia. – Rozejrzyj się, jak tu ludzie obchodzą się z psami. Duszą się na krótkich łańcuchach, wody w misce nie ma, jedzą resztki z pańskiego stołu, bez względu na to, czy to im służy, czy wręcz szkodzi. Ciekawa jestem, czy zimą budy mają ocieplane, czy wiatr w nich gwizdże.

– No to będziesz tu miała swoją misję do spełnienia – podsumowała Babcia.

– To nie misja, to wojna z ciemnotą. Niedawno zostałam wezwana do tej wsi za lasem do krów. Pamiętacie, bo jechałam tam prosto od was. Gospodarz twierdził, że mają jakąś chorobę, bo coś im z kopytami nie tak. To nie krowy mają chorobę, tylko ten facet. Umysłową. Krowiny stoją po wymiona we własnych odchodach. W basenie gnojówki. Ściółka cała zgniła. Oprócz moczu, którym śmierdzi już przy bramie, nalało im się przez dziurawy dach deszczówki. Pytam, kto mu tę oborę budował, bo powinien być odpływ zrobiony. A on mi mówi, że zatkał odpływ, bo mu po plecach przy dojeniu ciągnęło. Jak go postraszyłam, że mu na podstawie ustawy o ochronie zwierząt wszystkie krowy odbiorą i jeszcze go mogą za szczególnie znęcanie się nad zwierzętami wsadzić do więzienia, to jakbym go przeciągnęła po tym gnoju wte i wewte. Rachunek przyjął bez mrugnięcia okiem. Maści na kopyta kupił prawie wiadro, chociaż litr by wystarczył... Chyba że nie sprzątnie tej gnojówki. Ale ja go sprawdzę. Jutro się tam wybieram. Chyba mnie facet nie polubił. A propos maści na kopyta... Nie żartuję – zastrzegła. – Jeśli ktoś ma problem z lamliwymi paznokciami, to tylko tą maścią smarować. Wszystkie moje koleżanki wyhodowały sobie takie szpony jak stal.

– Potrzebujesz obstawy przy tej jutrzejszej wycieczce do obory, czy sama dasz sobie radę? – spytał Miron. – Bo obiecałem Arturowi, że mu pomogę z zabudową u Marcinkowskiego. Chłop i tak był cierpliwy, to jak się weźmiemy we dwóch, będzie prędzej. Tutaj i tak chwilowo nie mam nic do roboty.

– Ty tu nie jesteś do roboty – zgromiła go Babcia.

– A do czego?

– Do niczego – przekomarzała się.

– Chcesz powiedzieć, że do niczego się nie nadaję? – Miron prowokował Joannę.

– Już ty wiesz, co chcę powiedzieć. Nie musisz się poczuwać do jakichś zobowiązań. I tak pomagasz ponad miarę. Pamiętaj tylko, że to nie jest twój obowiązek. Bardzo nam miło i jesteśmy wdzięczne, ale proszę bardzo, z nudów, nie z przymusu.

– Przecież by się tu właśnie zanudził – próbowała go tłumaczyć Eulalia.

– Że niby jesteście takie nudne? – droczyła się Babcia.

– Co byś nie powiedziała, to podpadniesz – ostrzegł Janek. – Jak przed wysokim sądem... Miło się gada, ale ja mam jutro dwadzieścia cztery godziny dyżuru. Proponuję, żebyście wrócili do domu samochodem, a my z Zuzią jeszcze w ramach spaceru odprowadzimy do was Ryśka na piechotę. Chyba że już wam niepotrzebny, to go zabieram.

– Nie, nie, nie! – zaprotestowała Eulalia. – Nie oddam wam psa. Jak Miron u mnie nocuje, czuję się trochę pewniej, ale on ma taki mocny sen, że można go wynieść z łóżkiem. I chrapie, że na górze słychać.

– Sekrety alkowy się to nazywa – dokuczwała jej Babcia. – Miron, nie wstyd ci? Kobieta w potrzebie, a ty śpisz?!

Wszyscy gruchnęli śmiechem, rozbawieni dwuznacznością babcinej przygany, a Miron, nie wiedzieć czemu, splonął rumieńcem.

Eulalia wracała ze wsi za lasem zadowolona z inspekcji. Właściciel krów wziął sobie do serca jej zalecenia, a może przestraszył się gróźb. W każdym razie wyniósł z obory całą przegniłą ściółkę, wyłożył zwierzętom świeżą słomę. Krowy były umyte, a poidła wyczyszczone. Nieważne, czy ruszyło go sumienie, czy zrozumiał, że zwierzętazymane w lepszych warunkach staną się cenniejsze, czy chciał uniknąć kłopotów. Ważne, że krowiny wreszcie miały tak, jak mieć powinny.

– Widzi pan? – chwaliła Eulalia. – Od razu mają lepszy humor.

– Będą miały jeszcze lepszy, jak za parę dni wygonię je na łąkę – odparł gospodarz.

– Dlaczego dopiero za parę dni?

– Zamówiłem żerdzie i jak tylko je dostarczą, weźmiemy się z synem za zerbę. Jak zrobimy porządne ogrodzenie, to dopiero wtedy będę spokojny o krowy na pastwisku i mogę je wygonić.

– Dobrze by było, żeby jak najprędzej. Najważniejsze, że mają sucho i maść zaczyna działać. Jeszcze mogą być u pana szczęśliwe. Dobrze się pan spisał, panie Górski. Świetna robota.

Nie ma to jak zasłużona pochwała, myślała Eulalia w drodze powrotnej, jadąc prostą drogą przez las. Panowała piękna pogoda, Eulalia miała świetny humor. Słońce przeświecało przez gałęzie drzew. Las wyglądał wręcz bajkowo.

– Ciekawe, czy już są poziomki? – pomyślała. – A właściwie gdzie ja się tak spieszę? Miron pewnie jeszcze pracuje z Arturem. Gdyby ktoś mnie potrzebował do zwierzaka, to zadzwoni. Mały spacerek po lesie dobrze mi zrobi.

Pilnując, żeby tym razem zatrzymać się w bezpiecznym miejscu, Eulalia przejechała jeszcze kawałek i znalazła fragment jezdni z szerokim poboczem, wręcz zatoką. Zjechała z drogi i wysiadła z samochodu. Jej nozdrzy doszedł żywiczny zapach drzew. Słychać było tylko szum wiatru w gałęziach. Z kępy leszczyny wyfrunął ptak i przysiadł na zwalonym świerku. Pani weterynarz przeciągnęła się i ruszyła w głąb lasu. Tenisówki zapadały się w miękkim mchu, widziała jagodziny jeszcze bez owoców, krzaki jeżyn, ale nie znalazła poziomek ani na skraju drogi, ani w głębi lasu. Już miała wracać, kiedy usłyszała huk, tak niespodziewany, że aż się odruchowo skuliła. Chwilę później drugi huk i ogłuszający świst. Tuż przy jej głowie od drzewa odprysnął kawałek kory. Dotarło do niej, że to strzał. Na trzeci nie czekała. Biegiem ruszyła do samochodu. Dopadła drzwi, z którymi chwilę chaotycznie się szarpała, wsiadła za kierownicę i nie oglądając się, ruszyła, wzbijając żwir spod kół. Rozdygotana wciskała pedał gazu, zmuszając samochód do pośpiechu. Po chwili odważyła się spojrzeć we wsteczne lusterko. Nie było żadnego pościgu. Z rozpędem wjechała na mostek i ślizgiem weszła w zakręt. Mostowski z Drogowskim, jak zwykle pijący piwko przed sklepem Wrońskich, aż wstali z ławeczki. Pędem przejechała przez całą wieś, lekceważąc wjazd do własnego domu. I tak nikogo się w nim nie spodziewała. Teraz najbardziej potrzebni jej byli ludzie. Tych mogła się spodziewać jedynie u Nowaczek. Co prawda ani Zuzka, ani tym bardziej Babcia nie obronią jej przed uzbrojonym mordercą, ale nie chciała być sama.

Brama była otwarta, bo przed chwilą Zuzia wróciła z Miasteczka. Eulalia wjechała na podjazd w pełnym biegu. Nie zdołała wyhamować przed samochodem Zuzki i stuknęła w niego, ale na szczęście nie mocno. Wgniotła jej tylko tablicę rejestracyjną.

Rysiek leżący na schodach aż zerwał się wystraszony i podkułił ogon.

Kiedy kobiety zobaczyły, jak jest przerażona, same również przeżyły szok.

– Euluniu, dziecko, co się stało? – Babcia złapała się za serce.

– Chcieli mnie zabić. Ucieklam. – Eulalia wbiegała na taras.

– Chodź do środka – zgarnęła ją Zuzka. – Goni cię ktoś?

- Chyba nie. W każdym razie nie widziałam, żeby ktoś za mną jechał.
- Co się tu dzieje? – Miron z parą mokrych skarpetek w ręku wyszedł z łazienki.
- Dobrze, że jesteś – Eulalia, nie bacząc na obecność kobiet, rzuciła mu się w ramiona.
- Miron zaskoczony odrzucił skarpetki do umywalki i mocno ją przytulił.
- Skończyliśmy wcześniej, bo Marcinkowski miał umówioną wizytę u ortopedy. Co się stało?
- Słyszałeś, strzelali do niej – jak zwykle trzeźwo wyjaśniła Babcia.
- Miron odsunął od siebie Eulalię, żeby spojrzeć jej w oczy.
- Nic ci nie jest? Kto? Gdzie? – zasypał ją pytaniami.
- Dajcie mi usiąść, bo mi trochę słabo – jęknęła dziewczyna.
- Zuzka uczynnie odsunęła jej krzesło od stołu, ale Miron poprowadził Eulalię do kanapy.
- Chcesz coś na uspokojenie? – spytał.
- Nie wiem. Nic nie chcę... Albo chcę...
- Ale uprzedzam, że ze wszystkich środków świata na uspokojenie mamy koniak albo whisky – przedstawiła zasoby domu Babcia.
- Zuzka, nie licząc na decyzję Eulalii, nalała sporą porcję koniaku.
- Może najpierw wody? – zaproponował Miron.
- Co to ja zwierzę jestem? Daj – wyciągnęła rękę po kieliszek.
- No dobrze, skoro jesteś cała i bezpieczna, to teraz mów. Jesteś pewna, że ktoś strzelał?
- Przecież miałam PO w szkole. Filmów nie oglądam? Nie wiem, jak brzmi strzał?
- Ale to do ciebie strzelali? – dziwiła się Zuza.
- No chyba nie do drzewa za mną, bo oberwało, aż wióry poszły.
- Opowiedz na spokojnie, jak było – Miron próbował usystematyzować relację.
- O spokojności to ja mogę zapomnieć i tobie też radzę. Spokojnie już mieliśmy. Nie długo i nie całkiem, ale mieliśmy.
- Może to ten gospodarz od krów chciał się zemścić, że go straszylaś policją? – podsunęła Zuzka.
- Cooo ty – Eulalia nie dopuszczała takiej myśli. – Facet się ogarnął, zrobił porządek w oborze, nawet ma plany na przyszłość. Miło sobie porozmawialiśmy. Za co miałby się mścić i to aż śmiercią? To nie on – zaprzeczyła kategorycznie.
- Widziałaś kogoś w ogóle? – dopytywał Miron.
- Nikogo. Jak usłyszałam strzały, to się wystraszyłam, a jak jeszcze ten jeden mi gwizdnął koło głowy, to uciekłam. To były centymetry! Jeszcze mi w uchu dzwoni – w jej głosie pojawiła się histeria. – Nie oglądałam się za siebie, tylko ratowałam się na oślep.
- Może widziałaś jakiś samochód? – drążył.
- Nie. Ani samochodu, ani roweru, motocykla, ani nawet hulajnogi. Nic. Nikogo.
- Masz kogoś na myśli, kto by ci życzył śmierci? Może ktoś z twojego wcześniejszego życia?
- Wcześniejszego? Moje wcześniejsze życie było nudne jak lektury szkolne. Oczywiście, nietrafione pomysły męża mi je trochę urozmaicały, no i, jak wiadomo, jego aktualna narzeczona. Ale nie aż na śmierć. Dopiero tutaj wszyscy na mnie dybią.
- Wszyscy? – Babcia uniosła brew.
- Miałam cichą nadzieję, że jak ci farbowani ogrodnicy się potopili, to już nikt ode mnie nic nie będzie chciał.
- Ale oni się nie u-topili, tylko pod-topili. Żyją – trzeźwo zauważyła Zuzka.
- Raczej nie wyglądali na morderców...
- A jak według ciebie wygląda morderca? – Zuza wpadła Mironowi w słowo.

– Chciałem przez to powiedzieć, że gdyby byli zdolni do przemocy, to nie bawiliby się w przebierańców i nie zakradali po nocy, tylko wtargnęliby z łomem, sterroryzowali każdego, kogo by tam zastali i przekopali cały ogród cał po calu buldożerem.

– Jeszcze tylko tego brakowało, żeby mnie ktoś we własnym domu terroryzował – mruknęła Eulalia. – A miało być tak pięknie...

– Trafisz tam? Pokażesz mi to miejsce?

– Za nic tam nie wrócę. Mogę ci opisać, gdzie to było. Tam przy samej drodze, jak się w naszą stronę jedzie, rosło dużo leszczyny, nie sposób jej przegapić, a trochę w głąb lasu było zwalone drzewo. Powinny być ślady na poboczu, bo ruszając, zabuksowałam.

– Dobra, to wy się stąd nie ruszajcie, a ja się przejadę. Mogę twoim, bo resztę zastawiłaś?

Eulalia podała mu kluczyki i wychyliła kieliszek do dna.

Miron otworzył samochód i przywołał psa. Rysiek zadowolony, że wreszcie i dla niego coś zaczyna się dziać, wskoczył na siedzenie i ruszyli.

Po wyjechaniu za wioskę Miron zwolnił. Przyglądał się poboczu, wypatrując jako znaku szczególnego przede wszystkim krzaków leszczyny. Minął jeden, ale akurat w tym miejscu tuż przy asfalcie rosły pokrywy. Nie było miejsca do zatrzymania wozu. Jechał dalej. Po kilkuset metrach znalazł inną gęsto zbitą kępę. Nieopodal na miękkim żwirze wyraźnie odcinały się ślady buksujących kół. Zawrócił i zaparkował samochód kilka kroków od tego miejsca. Wysiadł i wypuścił psa. Zanim ruszył, dłuższą chwilę nasłuchiwał. Poza zwykłymi w lesie odgłosami ptaków, wiatru i skrzywienia starych drzew, nic nie dotarło do jego uszu. Teraz rozejrzał się uważnie. Wokół było pusto. Oprócz przyrody pusta droga. Niczego, co wzbudziłoby jakiegokolwiek podejrzenia. Pies niecierpliwie kręcił się wokół samochodu, również nie okazując oznak zagrożenia. Miron ruszył w głąb lasu.

– Szukaj Eulalii – polecił, ale oczywiście bez przekonania.

Rysiek, jakby zrozumiał, o co chodzi, przywarł nosem do ziemi i ruszył, węsząc. Biegł prostopadle do drogi, utrzymując ten sam kierunek. Miron, rozglądając się, podążał za nim. W pewnym momencie pies zakręcił się w kółko, zaskomlił i przysiadł zdeorientowany. Mężczyzna również zatrzymał się w tym miejscu.

– Gwizdnęło jej koło ucha... – mruknął ni to do siebie, ni do psa i zaczął skrupulatnie skanować wzrokiem pnie. Jego uwagę przykuła jasna plama na jednym z drzew. Podszedł i przyjrzał się odłupanaj korze.

– Rykoszet – uznał. – Trudno będzie...

Ale nie skończył zdania, bo coś mu w słońcu błysnęło. Z sąsiedniego pnia wystawał fragment pocišku.

– Ładny gips – mruknął i sięgnął po telefon.

Na ekipę musiał trochę poczekać. W końcu droga ze Stolicy, nawet „na bombach” musi potrawać. Zatrzymali się z piskiem opon obok samochodu Eulalii, powitali męskim uściskiem ręki.

– Co tam masz? – bez zbędnych wstępów rzucił Konrad.

– Usiłowanie morderstwa... albo przypadek, ale to już wam zostawiam do oceny.

– Czyli co? Dawaj – kolega nie bawił się w długie gadki.

– To chodźcie – Miron pokazał kierunek i ruszył pierwszy. Za nim podążyło trzech mężczyzn uzbrojonych w podstawowy zestaw kryminologa. Chyba tylko oni wiedzieli, co jest w tajemniczych walizkach, które ze sobą taszczyli: jakieś pędzle z marabuta, proszki daktyloskopijne, miarki, linijki, odczynniki i grom wie co.

Miron zaprowadził znajomych najpierw do odłupanego drzewa, później do następnego, z którego nadal wystawał fragment naboju.

– Zrykoszetował, a teraz się tu zadowił i się na ciebie wypiął. Dobrze, że dupa mu wystaje, bo inaczej pewnie byś go nie znalazł – ocenił Konrad. – Zabezpiecz – zwrócił się do towarzyszącego mu Damiana.

Mężczyzna wydobyl z walizeczki plastikową pęsetę, przy pomocy której wyłuskał nabój tkwiący w korze.

– Hmm... Pocisk półplaszczowy... Broń długa. Duży zasięg. Wygląda na sztucer, ale dopiero laboratorium to potwierdzi.

Dwaj kumple Konrada przeszli w głąb lasu w nadziei znalezienia dodatkowych śladów, ale szukaj wiatru w polu. Nie dało rady na oko precyzyjnie określić kierunku oddania strzału. Nie wystarczyło określenie „gdzieś tam”, a biorąc pod uwagę możliwy zasięg, jego sektor był dość szeroki. Prawdopodobieństwo, że coś znajdą, było tym mniejsze, że w miękkim mchu, który od razu po przejściu po nim wstawał, wypatrzenie odcisków butów graniczyło z cudem.

– Musimy oprzeć całe śledztwo na pochodzeniu broni. Gdzie ta poszkodowana? Potrzebne będą jej zeznania.

– To wy jedźcie porozmawiać z niedoszłą ofiarą, a my jeszcze się tu pokręcimy. Może na coś trafimy – zaproponował Damian i pociągnął kolekę za ramię w stronę drogi.

– Joanno, będzie nas więcej – uprzedził Babcie Miron, gdy zjawili się u Nowaczek.

Kiedy zobaczył świetlicę wypełnioną dziećmi, zaproponował, by przenieść się z zeznaniami do jego pokoju.

– Wezmę więcej krzeseł, bo jak przyjadą Damian z Grześkiem, nie będą mieli na czym usiąść.

Eulalia zabrała ze sobą kubeczek z kawą i od razu rozparła się na Mironowej kanapie. Mężczyźni usiedli naprzeciwko niej.

– Trzeba wam coś? – Joanna zgarnęła koszulę Mirona wiszącą na krześle, powąchała, skrzywiła się i zabrała ją do prania. – Jak będziecie w komplecie, to podam zupę. Teraz proponuję kawę i ciasteczko.

– Proszę się nie kłopotać – sumitował się Konrad. – Mu tu jesteśmy służbowo, nie przyjechalśmy na zupki.

– Jak się jest służbowo, nie znaczy, że bez żołądka. Jeszcze spod mojego dachu nikt nie wyszedł głodny. Dobra, to wy tu sobie zeznawajcie, a Zuzia wam zaraz przyniesie coś na ząb.

Kiedy za Babcie zamknęły się drzwi, nastąpiła chwila wyczekiwania.

Konrad zadał Eulalii te same pytania, które wcześniej usłyszała od Mirona. I oczywiście jej zeznania nie wniosły nic nowego. Nic nie widziała, oprócz strzałów nic nie słyszała, wrogów nie ma, pieniędzy nikomu nie jest winna, z mężem rozstali się w miarę polubownie, ze światem przestępczym żadnych powiązań nie ma... Oprócz domu Zatopków.

– I nie mówcie mi, że jako świadek jestem do bani – nachmurzyła czoło. – Może wy jesteście przyzwyczajeni do tego, że wam kule świstają nad głową, ale dla mnie to nowość. Może następnym razem stanę i zacznę się rozglądać i nasłuchiwać, czy coś widzę i słyszę, bo tym razem uciekałam byle szybciej i byle dalej. Do ruchomego celu trudniej trafić, więc wolałam się nie wystawiać jak tarcza, tylko oddalałam się w z góry upatrzonym kierunku.

– Euluniu, przestań się dąsać i skończ z wyrzekaniem na nas. Nam tak jak tobie zależy na rozwiązaniu sprawy, a im więcej szczegółów poznają chłopaki, tym większe prawdopodobieństwo, że na coś trafią – Miron próbował ściągnąć ją z wyżyn focha na ziemię.

– Nie mów mi, że wam zależy tak samo jak mnie. To nie do was strzelali – fukała na nich Eulalia.

– Do nas nie raz strzelali, więc wiemy, jak się możesz czuć. Czy jesteś pewna, że sobie sama poradzisz z tą traumą? Bo wiesz... może chciałabyś porozmawiać z psychologiem?

– A co to ja wariatka jakaś jestem? Trochę mi się jeszcze ręce trzęsą, ale generalnie to teraz więcej we mnie wściekłości niż lęków. Jakbym ich tak dorwała...

– Sądzi pani, że było ich więcej? – chwycił ją za słówko Damian.

– Więcej? – zastanowiła się chwilę. – Nie wiem, ilu ludzi do mnie strzelało... Nie, no strzelał jeden. Jeden strzał, jeden człowiek, we dwóch raczej trudno trzymać jedną broń. Ale do tej pory zawsze było ich dwóch. Dwóch przebranych ogrodników, dwóch złodziei cegieł, dwóch topielców w samochodzie... A, prawda, to ci sami.

– Kto ten sam? – zainteresował się Konrad.

– Topielce, złodzieje i ogrodnicy – wyjaśniła kobieta.

Nie licząc na czytelny przekaz informacji, Miron opowiedział, jaki był dotychczasowy przebieg wydarzeń.

– Miron, chłopie – Konrad miał pełną wiedzę na temat zeszłorocznego śledztwa dotyczącego działań mafijnych, bo sam do niego szykował dowody dla prokuratury. – Te sprawy niekoniecznie łączą się ze sobą. Powiem więcej, idę o zakład, że wszystkie tutejsze wydarzenia nie są powiązane z naszą szajką, a jeśli, to pośrednio.

Zanim koledzy przecięli zakład, do pokoju Mirona zapukali pozostali agenci.

Chwilę zamieszania, które towarzyszyło ich pojawieniu się, wykorzystała Joanna na wniesienie zupy.

– Hmm... Krupniczek! Ależ pachnie! – wyraził swój aplauz Grzegorz.

Dalsza dyskusja, przerywana siorbaniem i mlaskaniem, odbyła się nad parującymi talerzami.

– Niczego nie znaleźliśmy – referował Damian. – To znaczy tak generalnie to owszem, nawet dużo. Fotel, telewizor, obsrany sedes, kilka opon, sterty puszek i butelek, ramę od roweru, a śladów całe mnóstwo, ale trudno je w jednoznaczny sposób powiązać z tym strzałem. Las od strony tamtej wsi jest całkiem zdeptany. Zdaje się, że mieszkańcy traktują go jako wysypisko. Tu gdzie jest jakieś pobocze, nie widać śladów aut. A od tej strony, wiadomo, rzeka jest naturalną barierą i jakoś nie wygląda, żeby ją ktoś przekraczał. Mostami pieszo z bronią by się raczej nie pchał. Jednym słowem, gównó znaleźliśmy. Stricte. Sorry, że przy jedzeniu – zreflektował się poniewczasie.

– I nie możemy dać pani ochrony, bo jeśli nie było wcześniejszych gróźb, nie można wykluczyć, że to był przypadkowy strzał – tłumaczył się Konrad.

– Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi – wygłosił swoją sentencję Grzegorz, wycierając usta serwetką. – Pyszna zupa.

– A jeśli z jakiegoś niezrozumiałego powodu to jednak ja jestem celem, to co? Mam się zabarykadować w domu, poukładać worki z piaskiem w oknach i zaminować ogród? – w jej głosie pojawiła się histeria.

– Wszystko zależy od Mirona – Konrad spojrział na niego wyczekująco.

– Że niby co? – Miron nie zrozumiał, do czego ten zmierza.

– Zajmiesz się ochroną? – padło pytanie wprost.

– Pewnie – przyznał zrezygnowany. – Tylko niby jak długo my się tu mamy chronić i przed kim? Wolalibyśmy, żebyście ustalili, kto nam zagraża. Czy to ma coś wspólnego z tymi dwoma przebiegającymi i co się dalej z nimi stało. Czy już wiadomo, kim są, bo ponoć mieli jakieś dokumenty przy sobie, jak ich wyławiano. Co się z tymi dokumentami stało? Na kogo był zarejestrowany samochód, którym jechali? Ruszylibyście coś w tej sprawie.

– Może byśmy ruszyli, gdyby nie to, że nie została zakwalifikowana jako przestępczość zorganizowana, tylko zwykły wypadek drogowy. Ofiar nie ma, właściciel samochodu nie dochodzi roszczeń, zniszczeń mienia na drodze nie ma, ot, wjechali i już, niczego po drodze nie dewastując. Dla mandatu za niebezpieczną jazdę nikt nie będzie uruchamiał naszego wydziału.

– A strzelali na wiwat? – wtrąciła z ironią Eulalia.

– Nie możemy wykluczyć, że właśnie tak, ale oczywiście to sprawdzimy.

W ten sposób wyczerpano temat, a że agenci mieli do odbycia drogę powrotną, pożegnali się z domownikami i obdarowani przez Joannę świeżymi bułeczkami z jabłkiem zbiegli się do wyjścia. Konrad zostawił Eulalię swoją wizytówkę „na w razie czego”, a Damian specjalnie ociągał się z wyjściem, żeby znaleźć się blisko niej.

– Będzie pani w dobrych rękach – szepnął. – Miron ma cholernie doświadczenie. Własne dziecko bym mu powierzył. Szkoda, że odszedł z zespołu.

Kiedy za agentami zamknęła się brama, Eulalia jeszcze chwilę patrzyła za oddalającymi się na moście światłami ich samochodem. Ufała Mironowi jako mężczyźnie i przyjacielowi, ale ta cicha, prosta pochwała w ustach jak by nie było towarzysza broni sprawiła, że nabrała respektu. Gdy wrócili do Babcinej kuchni, spojrzęła na niego innym wzrokiem.

– Wy się tu uganiacie po lasach, a w szkole afera – przerwała jej konstatację Joanna.

– Sołtys został wezwany przez dyrektorkę na dywanik.

– Z jakiego powodu? – Mironowi z trudem przyszło mentalne przerzucenie się pomiędzy dwiema aferami.

– Za strzelanie z gumki... Zuziu, zostaw te brudne talerze, potem się sprzątnię – a widząc pytające spojrzenie przyjaciół, Babcia kontynuowała. – Dzieci bardzo przejęły się opowiadaniem o kłáwcie i o jej odczynieniu. Wiecie, jak to z dziećmi, takie legendy, tajemnice, a do tego potrzeba walki ze złem o czystość własnego serduszka... To wszystko nałożyło się jeszcze na durne strachy katechetki, która rozwijała przed maluchami wizję taplania się w smole piekielnej, jeśli będą grzeszyć. No i niektórzy tak się przejęli walką z kłáwaniem, że trochę przesadzili. Najbardziej odbiło się to na Hubercie od Bartkowiaków. Ten malec jest jak zaprogramowany – kłáwie trzeba czy nie trzeba. Wszyscy go już z tej strony znają i do tej pory udawali, że wierzyli. Ale nastały nowe czasy walki z kłáwstwem i tępienia go w zarodku, więc przestali kiwać porozumiewawczo głowami, a zaczęli mu pstrykać przed nosem.

– Ale co sołtys ma z tym wspólnego? – Eulalia nie mogła tego powiązać.

– Tak naprawdę to niewiele. Odpowiada za wieś. Przynajmniej tak on uważa i tak uznała dyrektorka w szkole.

– I co? – Miron był ciekaw, jak sprawa kłáwstwa ma się do odpowiedzialności za wieś.

– I co Hubcio skłámał albo zmyślił, to dzieci mu palcami przed nosem „pstryk!”. A że huncwot ambitny, to on sobie gumką „pstryk”. Tyle tego było i tak sobie nią napstrykał, że miał cały nadgarstek siny. Jak tego siniaka zobaczyła nauczycielka na wuefie, to go za łapę zaprowadziła do pedagóžki. I rozpętała się afera na cały powiat.

– Ale z czego? – Eulalia jako specjalistka od psów nie rozumiała skomplikowanego świata dzieci.

– No wiesz – wyjaśniła Zuzia. – Kary cielesne, zero klapsa, przemoc domowa, samookaleczenie i te rzeczy.

– Ależ to metoda stosowana w psychoterapii do zwalczania nerwicy natręctw, owszem, kontrowersyjna, ale bardzo skuteczna. Zanim zdecydowałam się ją zaproponować, przeczytałam o tym trochę. Widocznie pani pedagog nie trafiła na książkę „Optymizmu można się nauczyć” Seligmana. A swoją drogą, żeby tyle kłámać i tak pstrykać, żeby aż siniaki były?!

– To jeszcze nie koniec. Natychmiast zadzwonili po Bartkowiaka, a że oni akurat z sołtysiem mieli jakieś wspólne sprawy, to pojechali obaj. Najpierw cztery nauczycielki: dyrektorka, wychowawczyni, ta od wuefu i pedagóžka naskoczyły na Bartkowiaka, że stosuje przemoc domową i zmusza dziecko do samobiczowania. Bartkowiakowi mowę odjęło, bo poczuł się złym ojcem, który pozwala, żeby jego synuś ukochany tak cierpiał. Przecież znacie naszego sołtysa. Byle baby nie będą mu rządziły we wsi. Nikt mu nie będzie zarzucał, że w JEGO wsi źle się dzieje. A że dotarło trochę plotek szkolnych do jego uszu, to nie zdzierzył i niewykluczone, że sprawa oprze się o kuratorium.

– Jak to? Dlaczego? – Eulalia dojadła resztki ciasteczek po gościach.

– Sołtys słuchał, słuchał, słuchał, aż wreszcie ponoć wstał, wziął się pod boki i im palnął gadkę. Że są niedouczzone, bo jeśli nauczyciel nic nie wie o treningu behawioralnym, to powinien sam siedzieć w szkolnej ławce, a nie uczyć jego dzieci... Swoją drogą, nie myślałam, że on ciebie wtedy tak uważnie słuchał i zapamiętał każde słowo... Że to szkoła powinna wychowywać, a nie zostawiać rodzicom naprawianie własnych zaniechań i jeszcze krytykować ich metody.

– I co one na to? – był ciekaw Miron.

– Zaczęły wydziewać na ciemnotę chłopów. Widocznie dzieciaki coś im wspomniały o kłątwie, bo wykrzykiwały o gusłach i zacofaniu. „Sama pani jest zacofana. Ja we wsi będę miał Wi-Fi do każdej chałupy, a w szkole jeszcze nie rozprowadzone” – wypalił jej sołtys i jeszcze dorzucił o oderwaniu szkoły od lokalnych tradycji, wywieraniu presji na rodzinę, dyskryminacji ze względu na wyznanie i tak je wszystkie zakrzyczał, że zmiękły. Basia, czyli siostra Huberta, którą tam na początku wezwali, żeby się dowiedzieć, czy są w domu bici, była świadkiem całego zajścia. Mówi, że jeszcze takiego naszego sołtysa w życiu nie widziała i nie spodziewałaby się po nim takiej reakcji. Bo to generalnie jest spokojny chłopina. Basia mówi, że tak się wkurzył, że zapowiedział, że zorganizują dowóz dzieci do szkoły w Woli, a im tę szkołę zamkną jako nikomu niepotrzebną. Basia mówi, że tam i tak jest mało uczniów, to jakby jeszcze zabrakło naszych, to całkiem prawdopodobne, że resztę przeniosą do trójki, a tych rozgonią na cztery światy strony.

– Ale na wszelki wypadek już dziś tu zrobiłam pogadankę, jak sobie poradzić z tym strzelaniem i, że tak mocno, żeby aż siniaki były, to nie o to chodzi – wtrąciła Zuzia.

– Nie mów przy mnie o żadnym strzelaniu! – Eulalia scenicznym gestem zatkała uszy.

Nadmiar emocji długo nie pozwalał zasnąć. Eulalia, leżąc w swojej sypialni, wciąż przeżywała dzisiejszą przygodę. Słyszała w uszach odgłosy wystrzałów i świst przelatującej koło głowy kuli. Nie potrafiła odtworzyć trasy, jaką pokonała do samochodu, ale pamięta swoją szaleńczą jazdę.

Miron, który zajął kanapę na dole w salonie, analizował poszczególne części układanki. Nijak mu się nie spinały. Najbardziej nurtowało go to, kto w tej chwili stanowi zagrożenie. Wierzył, że siatka została całkowicie rozbita, a jedyną osobą, która wiedziałaby coś o ukrytych fantach, jest Małgorzata Zatopek. Ale to był jej dom. Gdyby to ona liczyła na znalezienie precjozów, nie sprzedawałaby go. Albo wiedziała, że ich tu nie ma, albo nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. To ostatnie stwierdzenie zakolałało w głowie jakimś niesprecyzowanym skojarzeniem i uleciało.

Rysiek, który przysypiał na dywaniku tuż przy posłaniu Mirona, uniósł łeb. Męczyzna nastawił uszu, usiłując wyłowić jakiś odgłos świadczący o zagrożeniu, ale usłyszał jedynie skrzyknięcie schodów pod stopami Eulalii. Kierowała się do kuchni. Miron i tak nie mógł spać, więc wstał i podążył za nią. Kiedy wyjęła sok z lodówki, podał jej dwie szklanki.

– Ciągle mam w głowie ten odgłos – zwierzyła się ze swoich lęków.

Zauważył, że drżą jej ręce, gdy napełniała naczynia. Wyjął jej szklankę z dłoni i przyciągnął do siebie. Mocno otoczył ramionami. Nie tylko pozwoliła się przytulić, ale z ufnością zatopiła się w jego objęciach.

– Masz prawo się bać – szepnął.

– Ochronisz mnie – bardziej stwierdziła niż zapytała.

– Zrobię wszystko, żebyś była bezpieczna – zapewnił. – Ale sama też musisz bardzo uważać.

– Wiem, że mnie ochronisz. Innych też chroniłeś. Opowiesz mi? – uniosła głowę, żeby zajrzeć mu w oczy.

– Mówiąc szczerze, wołałbym o tym zapomnieć. Moja praca nie była przyjemna.

– Wiem – odparła krótko i przytuliła policzek do jego ramienia. – Nie chcę teraz być sama – szepnęła.

– Dobrze. – Miron pozwolił zaprowadzić się do sypialni.

Rysiek nie wyglądał na zadowolonego, kiedy ruszył za nimi po schodach i usłyszał kategoryczne:

– Zostań!

Wstali około ósmej. Eulalia w chińskim szlafroku szykowała obojgu kawę. Miron zdążył wziąć prysznic i właśnie z mokrymi włosami wyszedł z łazienki, kiedy ktoś niecierpliwie zaczął dobijać się do drzwi. Rysiek zaciekawiony, ale nie zaniepokojony usiadł przed nimi wyczekująco.

– Pani Kotecka, proszę otworzyć. Policja! – usłyszeli.

– Policja? – Eulalia odstawiła kubeczki i posłała Mironowi zdziwione spojrzenie.

Wzruszył ramionami, dając znać, że też nie wie, o co chodzi.

– Otworzę – zdecydował.

Na progu stał aspirant Ziółkowski. Czapkę miał zsuniętą na tył głowy a minę wiele niezadowoloną. Z respektem cofnął się przed psem, ale gdy zauważył, że nie przejawia wrogości, tylko psim zwyczajem zaznajamia się z nim przy pomocy węchu, odetchnął.

– W czym możemy pomóc? – grzecznie spytał Miron.

– A pan to kto? – w ustach policjanta to dla odmiany zabrzmiało grubiańsko.

Pies warknął. Dobry humor, który jak łatwo się domyślić, towarzyszył Mironowi od rana, w jednej chwili prysnął. Nie znosił arogancji funkcjonariuszy. Wychodził z założenia, że ich praca to służba, a służąc ludziom, powinni ich traktować z szacunkiem. Nie zamierzał dowartościowywać zakompleksionego wiejskiego krawężnika, bo właśnie tak postrzegał teraz kolegę po fachu.

– A pan kto? – odbił piłeczkę.

– Chyba widać! – brnął Ziółkowski.

– Chyba... – Miron odruchowo chciał mu coś do słuchu odpowiedzieć, ale nie miał chęci na dalsze utarczki. – Chyba ma pan dziś zły dzień. To zacznijmy od początku – i zamknął mu drzwi przed nosem.

Aspirant Ziółkowski doskonale orientował się, z kim ma do czynienia. Co prawda nie był wtajemniczony w dochodzenie dotyczące przestępstw zorganizowanych prowadzone przez inne służby, ale miejscowa policja otrzymywała strzępki informacji o toczącej się sprawie. Wystarczyło ich, żeby w tutejszej komendzie wiedziano o udziale i zasługach Mirona w rozwiązaniu śledztwa. Ziółkowski przełknął ślinę, odchrząknął i ponownie, tym razem delikatniej zapukał. Miron, który stał za nimi z założonymi rękoma i tylko na to czekał, ponownie otworzył.

– Słucham pana, czym mogę służyć? – zapytał.

– Aspirat Ziółkowski z komendy rejonowej w Miasteczku, czy zastałam panią Eulalię Kotecką? – spytał nie tyle grzecznie co służbiście.

– Owszem, pani Eulalia jest u siebie, może zechce pan wejść – cofnął się, żeby zrobić mu przejście.

Eulalia wychyliła się zza pleców Mirona.

– O co chodzi? – spytała bardziej wystraszona niż zaintrygowana.

– Czy może pani potwierdzić tożsamość zatrzymanego?

– Złapaliście tego, kto do mnie strzelał? – zdążyła się ucieszyć.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A ktoś do pani strzelał?

Widząc, że rozmowa zbacza na niewłaściwe tory, Miron się wtrącił.

– Tę sprawę prowadzą inne służby. A co pana sprowadza?

– Dokonano zatrzymania obywatelskiego podejrzanego, który kręcił się po okolicy.

– Podejrzanego o co? – spytał Miron.

– Właściwie, to on nie jest podejrzanym, ale obcy i nie posiada dokumentów – wyjaśnił Ziółkowski.

– To nie jest przestępstwem – padło stwierdzenie.

– W rzeczy samej. Jednak jako osoba nikomu nieznaną wzbudził zaniepokojenie tutejszych mieszkańców, a że nie chciał się wytłumaczyć, co tu robi, został zatrzymany i wezwano policję.

– Czyli pana.

– Czyli mnie – przytaknął.

– I gdzie ten zatrzymany teraz się znajduje? – dopytywał Miron.

– W radiowozie – padła odpowiedź.

– A radiowóz gdzie?

– Przed domem.

– Długo tak zamierzacie? – przerwała ich słowny ping-pong Eulalia. – Dlaczego niby ja mam go rozpoznać, skoro nawet dla was to obcy?

– Bo twierdzi, że panią zna.

Kobieta nie dociekała dalszych uzasadnień, bezceremonialnie odsunęła sobie aspiranta z drogi i ruszyła do ogrodu.

– To gdzie ten radiowóz? – spytała, bo nie zobaczyła auta w spodziewanym miejscu przed własną furtką.

– Stanęliśmy z boku, żeby pani nie kompromitować – wyjaśnił Ziółkowski.

– Sam pan się kompromituje, jeśli uważa pan, że obecność radiowozu przed domem może wpłynąć na moją reputację. Nie interesuje mnie, co ludzie o mnie pomyślą... Tata?! Co tu robisz?

Na tylnym siedzeniu policyjnego auta siedział elegancki starszy pan. Na widok Eulalii jego twarz się rozpromieniła.

– Elunia! Nareszcie! Co za niegościnna okolica! Może mnie pan w końcu wypuści? – zwrócił się tym razem do aspiranta. A kiedy został uwolniony, rzucił się w ramiona zdezorientowanej córki.

Zazdrosny Rysiek obwąchał nowo przybyłego, nie stwierdził wrogich zapachów i z lekceważeniem porzucił towarzystwo, żeby wykorzystać moment i umościć się na kanapie.

Eulalia pociągnęła ojca w stronę domu, zapominając o pozostałych uczestnikach zajścia. Pierwszy oprzytomniał Miron.

– Dziękujemy panu bardzo – uściśnął dłoń Ziółkowskiego. – Jak pan widzi, nieporozumienie zostało wyjaśnione, to nie żaden przestępca. Miłego i spokojnego dnia życzę.

– Dziękuję. Będę miał spokojny dzień, jak się jakoś ogarniecie w tej wsi albo sobie tu założycie komisariat. Do widzenia – zasalutował, wsiadł do auta i odjechał.

Miron wrócił do domu.

Powitania Koteckich jeszcze były w toku. Eulalia usiłowała wyjaśnić, co jej tata robi w Wiosce Małej i to o tak wczesnej porze.

– Bałem się, że jeśli przyjadę później, możesz być gdzieś w terenie.

– Tato, czy ty naprawdę myślisz, że po tak krótkim czasie od przeprowadzki od razu znajdę tu pacjentów?

– No wiesz, jeśli się jest dobrym lekarzem...

– Weterynarzem – poprawiła Eulalia. – I widać nie aż tak dobrym, bo w czwartek miałam niespodziewaną wizytę w lecznicy i okazało się, że nie potrafię wskrzesić martwego chomika. Porażka na całej linii.

– Może napije się pan z nami kawy? – wtrącił Miron, trochę już głodny.

– Chętnie. A kim pan jest i dlaczego nagi?

Miron prezentował się właściwie w spodniach, ale po wyjściu spod natrysku do tej pory nie zdążył jeszcze założyć koszuli.

– Taaatoo! – Eulalia przewróciła oczami.

– Skoro tak, to Leszek jestem – panowie uściśnęli sobie dłonie.

Po chwili cała trójka siedziała przy wspólnie przygotowanym śniadaniu.

– Jak to się stało, że przyjechałeś tak nagle i to bez dokumentów? – spytała Eulalia, poprawiając pomidora na kanapce.

– Kiedy się pakowałem, nie wiedziałem jeszcze, na jak długo się do ciebie wybieram, więc na wszelki wypadek musiałem zabrać wszystko, co mi może być potrzebne. A to dodatkową parę skarpet, a to płaszcz przeciwdeszczowy, bo prognozy straszą, a to książkę, gdyby się okazało, że będę musiał czekać na ciebie Bóg wie jak długo. W końcu pierwotnie szykowana torba okazała się za mała. Przerzuciłem wszystko do większej, ale piterek z dokumentami gdzieś tam się zatuchlił w tym bałaganie. Nawet nie zauważyłem, że go nie mam.

– A gdzie pana bagaż? – zainteresował się Miron.

– W samochodzie. Uprzedzając pana następne pytanie, dodam, że samochód stoi przed sklepem na początku wsi. Tam zostałem napadnięty i zniewolony.

– Mostowski i Drogowski – domyślił się Miron, na co Eulalia tylko przytaknęła.

– Po śniadaniu tam podjedziemy. A może przejdziemy się na spacer? Przy okazji obejrzysz sobie wieś – zaproponowała.

– Z miłą chęcią, tylko może odczekajmy, żeby ci dwaj nadgorliwi dżentelmeni oddalili się do swoich zajęć – wyraził swoje obawy ojciec.

– Panie Leszku...

– Leszku – poprawił go gość.

– Zatem, Leszku, może lepiej by było jeszcze ich tam zastać, moglibyśmy pana... znaczy ciebie, przedstawić, żeby na przyszłość uniknąć nieporozumień – Miron poddał pod rozwagę.

– Na jak długo przyjechałeś? – Eulalia chowała masło do lodówki i jej głos brzmiał jak ze studni.

– Dopóki mnie nie wygonisz. Zatkalo nam na ulicy studzienkę kanalizacyjną i po ostatniej ulewie zalało piwnice. Strażacy wypompowali już wodę, ale nadal niezbyt ładnie tam pachnie i musi wyschnąć. Ale może nie rozmawiajmy o tym przy panu.

– Miron – zrewanżował się Miron.

– Okej, to może nie przy Mironie.

– Obawiam się, tato, że teraz wszystko cokolwiek byśmy robili albo mówili, musi być przy Mironie. Ale jeszcze przyjdzie czas na opowieści. Ubiore się i pójdziemy po ten twój samochód.

– Łoj, pani doktor, pani doktor! – na widok Eulalii Czerwińska wybiegła na drogę. – Jak to dobrze, że pani tu jest. Już miałam po panią dzwonić, ale nie miałam telefonu. Znaczą telefon mamy, ino numeru do pani nie miałam. Pani idzie do nas i zobaczy. Bożymorska mieli rację, że to ptasia grypa. A teraz porażała całą wieś.

– Pani Czerwińska – Eulalia musiała bronić swojej renomy. – U Bożymorskich mieliśmy do czynienia z urazem fizycznym i nie miało to nic wspólnego z zarazą.

– Znaczą, że co? – nie zrozumiała kobieta.

– Znaczą kury... dwie kury pani Bożymorskiej miały wypadek – weterynarz, bo weterynarz, ale tajemnica lekarska Eulalię również obowiązywała. W każdym razie tak sobie narzuciła. Ani myślała demaskować młodych Bożymorskich i ich pomysłu na rosół. – Zmarły w sumie zdrowe – dodała.

– Znaczą padły? – sprecyzowała Czerwińska.

– Wolę myśleć, że odeszły, ale i tak to można określić – potwierdziła Eulalia.

– Pani to taki wrażliwy lekarz... – zachwyciła się rozmówczyni. – Ale my tu gadu-gadu, a u mnie na podwórku pomór. Pani zajdzie.

– Ale ja nie jestem przygotowana na wizytę – próbowała oponować, ale nie dano jej dojść do głosu.

– A co tu się trzeba gotować. Oczywiście pani ma, to i pani niemi zobaczy. Pani idzie – i dalejże ciągnąć opierającą się Eulalię za ramię.

– Zostańcie tutaj – zdążyła jeszcze krzyknąć do towarzyszących jej mężczyzn w obawie, że jeśli to faktycznie ptasie grypa, mogą być zagrożeni.

Podwórko Czerwińskich wyglądało osobliwie. Tu i ówdzie porozsiewane na nim było domowe ptactwo. Oprócz kur i kogutów były tu kaczki, gęsi, a nawet perliczki.

– Od zeszłego roku poszerzyłam kurnik o ptactwo wodne i takie tam różne... Jak pani widzi.

– Widzę – potwierdziła.

Ale to co widziała, nie napawało optymizmem. Ptaki albo leżały, często w nienaturalnych dla siebie pozycjach, albo próbowały się poruszać. Ich ruchy były nieskoordynowane. Te, które usiłowały chodzić, nie mogły zrobić więcej niż trzy–cztery kroki i upadały. A to im się noga podwinęła, a to głowa leciała do przodu. Jedna z kur, która wcześniej skoczyła na ławeczkę, właśnie z niej spadła. Drugiej głowa niebezpiecznie zwisała zupełnie bezwładna.

W pierwszym momencie, widząc zakres ptasich niedyspozycji, Eulalia przestraszyła się, że rzeczywiście może to być jakiś wirus albo zatrucie. Szukała w głowie rozwiązania, kiedy na podwórku pojawił się gospodarz.

– A co ty, stara, panią doktor tak o suchym pysku na progu trzymasz i gości do domu nie prosisz? Bo panowie z panią, prawda? Wejdzta, herbatką jaką poczęstujęm. Naleweczkę świeżą ledwie zlałem. Ale już się przegryzła, to po kielonku...

Wyszedł do mężczyzn aż przed bramę i szerokim gestem zapraszał do odwiedzin. Radzi nie radzi, przestąpili próg.

– Ale może ja najpierw te ptaki zbadam? – próbowała się wykręcić od poczęstunku Eulalia.

– Ptaki nie zające, a do tego, jak pani widzi, nieruchawe, nie uciekną, he, he – zadowolony z dowcipu Czerwiński nie dawał za wygraną i ciągnął ich do wnętrza.

Czerwińska zakręciła się koło kuchni. Z imbryczka nalała do szklanek naparstek esencji, załała wrzątkiem z czajnika elektrycznego i podała taką słomkę gościom, podsuwając malowaną w kwiaty pękata jak balon cukiernicę. Czerwiński już szykował kieliszki i odkręcał butelkę.

– Ale my właśnie idziemy po samochód – próbowała się wymigać od alkoholu przed południem Eulalia.

– Ja poprowadzę – zaoferował się Miron.

– Pani doktor, przecie pani nie odmówi kieliszeczka. Świeżutka naleweczka. Wczoraj zlalim. Jeszcze trochę i będą świeże wiśnie, a u nas jeszcze mrożonych była cała chłodnia. Tośmy przerobili dla pożytku. Po bożemu trzy miesiące stała na spirytusie...

Eulalię coś tknęło.

– Panie Czerwiński, a co pan zrobił z owocami z tej nalewki? – spytała.

– Aaaa... – oczy mu błysnęły. – Wiedziałem, że pani się zna na rzeczy. No, niestety, nie mogę wisienkami poczęstować, bośmy ze starą wczoraj przy telewizorku ostatnie zjedli. Kriepkie byli, że ach!

– A pestki? – dopytywała.

– Co pestki? – nie zrozumiał pytania Czerwiński.

– Co państwo zrobili z pestkami?

– A co mielim zrobić? Toż już do niczego się nie nadały. Na kompost wyrzucilim.

– Pani Czerwińska, pani mi pokaże ten kompost – Eulalia wstała od stołu.

Kobiety poszły za kurnik, gdzie znajdował się prawidłowo z dwóch komór zbudowany kompostownik. Lekarka przyjrzała się obu jego częściom i już miała gotową diagnozę.

– I gdzie te pestki? – spytała zdezorientowaną Czerwińską.

– No, tu byli – wskazała na roślinne odpady.

– Pytam, gdzie są teraz? – Eulalia wciąż dawała szansę kobiecie na wyciągnięcie logicznych wniosków.

– Przepadli – gospodyni podeszła bliżej, żeby mieć lepszy widok. – No, przepadli.
– Nie przepadli... znaczy, przepadły... tylko kury zjadły.
– Całkiem być może... I co? – Nadal nie rozumiała.
– I się spiły!
– Co pani mówi?! – Zdumienie, jakie odmalowało się na twarzy Czerwińskiej warto było uwiecznić. – Pestkami?
– Jadła pani wiśnie z tej nalewki?
– No jadłam – przyznała, wciąż zachodząc w głowę, jaki to ma związek.
– I jak się pani po nich czuła?
– No taki lekki rauszyk to mielim, bo dobre byli, to człowiek nie patrzył, tylko jadł.
– No i kury i kaczkę tak samo. Też im smakowało i jadły, aż zjadły.
– I co?
– I będą miały kaca. Miejmy nadzieję, że do jutra wytrzeźwieją.
– Znaczący nie ma zarazy?
– Znaczący nie ma.
– W imię Ojca i Syna! – przeżegnała się w locie i już gnała z powrotem do domu – Stary!!! Kury my popilim. Będą żyć! – oznajmiła radośnie.

– Nie wiedziałem, córciu, że ty tu masz takie wesołe życie – tata Eulalii, rozpakowując torbę podróżną, układał równiutko swoje rzeczy w komodzie pokoju gościnnego. – Spodziewałem się, że zastanę cię załamaną rozwodem, w depresji, a ja widzę, że już się pocieszyłaś i świetnie sobie radzisz.

– To nie tak. To znaczy, jeśli myślałeś, że ja tu wylewam łzy za moim dawnym życiem i siedzę pogrążona w żalobie po małżeństwie, to się mylisz.

– No ślepy nie jestem. Przystojny ten twój facet i nawet do rzeczy...

– Tato, przestań. Nie masz bladego pojęcia...

– Tu nie trzeba mieć ani bladego, ani nawet opalonego pojęcia. Przyjeżdżam z samego rana, a w domu mojej córki wita mnie prawie goły facet.

– Po pierwsze, bez względu na to, co sobie myślisz, to się mylisz. Po drugie, jeśli nie zauważyłeś, to jest moje życie i mogę robić, co chcę i z kim chcę. Mogę przyjmować tabuny gołych facetów, a tobie wypada się tylko cieszyć, jeśli mnie to uszczęśliwia.

– Eluniu, nie ułoń się. Ja nie w tym znaczeniu. Zaimponowałaś mi. Cieszę się, że się otrząsnęłaś, pozbyłaś i zaczynasz się na nowo urządzać. W trakcie rozwodu nie zapowiadało się, że będziesz taka silna i przedsiębiorcza.

– Zawsze byłam, tylko mój były robił wokół siebie tyle hałasu, że wszystkie moje starania przypisywał sobie jako sukces. A że przeżywałam rozwód, to chyba nie dziwota. Jak się czułeś, jak mama wróciła z Ciechocinka z narzeczonym?

– Nie odgrzebujemy tego – uciął Leszek.

Ich rozmowę przerwał telefon Eulalii.

– Pani doktor, czy pani ma papiery weterynarza urzędowego? – usłyszała pytanie, sądząc po głosie, sołtysa.

– Nie, panie Wąsowski, do tej pory nie miałam potrzeby zdobywania tego typu uprawnień.

– Szkoda. No to miłego dnia. – I się rozłączył.

– Dlaczego nie zrobiłaś sobie tych papierów? – spytał ojciec, który słyszał rozmówcę.

– Bo więcej z tym papierologią i grzebania się w mięsie z nosem przy mikroskopie niż kontaktu ze zwierzętami. Wiesz, że ja się do pilnowania dokumentów nie nadaję. Jak sama nazwa wskazuje, to

weterynarz URZĘDOWY, bardziej urzędnik niż weterynarz. Więcej ma do czynienia ze zwierzętami martwymi niż żywymi. Takim już nie pomoże.

– Ale zarabia więcej?

– Niby może więcej zarobić, bo z większymi uprawnieniami ma większy zakres działań, ale i bez tego będą tu miała pełne ręce roboty.

– A dlaczego on żałuje, że nie jesteś urzędowa?

– Nie wiem, może mają jakieś świniobicie albo komuś świnia padła i trzeba sprawdzić, czy można ją zjeść.

– Tylko świnie się bada?

– Najczęściej chodzi o włośnicę. Takie pasożyty trzody i dzików.

– Aha. Nie no, to masz rację. Kto by się chciał babrać w robalach – wstrząsnął się z obrzydzenia.

Do ich uszu dobiegł z dołu dzwonek telefonu Mirona.

– Ależ u was ruch – zareagował na ten dźwięk tata. – Tu telefon, tam telefon, na spacer nie możesz iść, żeby cię do roboty ktoś nie wezwał, ja myślałem, że sobie tu u ciebie posiedzę w ciszy i spokoju, odetchnę wiejskim powietrzem...

Zamilkł, bo w drzwiach ukazał się Miron. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– Co się stało? – spytała przeczulona Eulalia.

– Dzwonił Konrad.

– No to, tato, na pewno nie będzie spokojnie. Jedziemy tam, czy zapraszamy ich tu, bo reszta też będzie chciała wiedzieć?

– Jedźmy – zdecydował Miron. – Reszta ma bliżej do Nowaczek. Tylko Artur mieszka na drugim końcu, ale może jest u Jolki. Obdzwonię ich, a ty wyprowadź samochód.

– Dobrze, że dokupiliśmy tych składanych krzeseł – Zuzka taszczyła trzy z garażu – Weź to ode mnie – wręczyła dwa Jankowi.

– Czemu się z tym sama szarpiesz, trzeba było powiedzieć – Jaś już rozstawiał dla każdego siedzenie.

– Pokroiłam na mniejsze kawałki, żeby dla każdego starczyło – Babcia postawiła paterę z ciastem i wręczyła Joli łyżeczki.

– Usiądziecie wreszcie, czy będziecie tak latać wokół stołu? – Artur niecierpliwił się z powodu zamieszania.

– I tak ich jeszcze nie ma. A wam się tak spieszy do plotek, że nawet telefonu nie zdążyłam odłożyć, a już siedzicie jak sępy. O, Ryśka słyhać. Przyjechali.

W rzeczy samej, z samochodu na podjeździe wysypywało się towarzystwo.

– A to kto? – zdziwiła się Babcia na widok obcego mężczyzny.

– Widzę, że wszyscy w komplecie – zawołał na przywitanie Miron. – Cześć wam.

– Jola właśnie skończyła zajęcia z dziećmi, Artek jej pilnuje, jak zwykle, a Jasię... Też swój. Prawie tu mieszka.

Eulalia przepuściła ojca przodem.

– Państwo pozwolą, że przedstawię: to jest mój tata.

– Leszek jestem – skłonił się wszystkim.

– Hmmm... Leszek... – mruknęła Babcia. – Myślałam, że jakiś Symeon czy inny Wieńczysław.

Leszek zbity z tropu zrobił zdziwioną minę.

– Dlaczego tak? – spytał.

– Jeśli się córkę nazwało Eulalia, to samemu tak po prostu Leszek? Też się spodziewałam jakiegoś arystokratycznego imienia.

– Ależ moje takie jest. Jestem Lech, noszę imię królów. Czyż może być lepsze?

– No to, panie Leszku, zapraszamy do stołu. Kawa czy herbata? – Zuza dostawiała kolejne nakrycie.

– Skończcie już z tym zamieszaniem, bo nie przyszliliśmy tu, żeby objadać się ciastkami – poganiał Artur. – Miron, nie trzymaj nas w niepewności, tylko mów.

– Czy wprowadziłaś już tatę w nasze sprawy? – Miron zwrócił się do Eulalii.

– Żeby się o mnie zamartwiał? W życiu! Sami wiecie, że jak się jest daleko, to się dopisuje własne scenariusze i człowiek zaczyna z nerwów chodzić po ścianach. Im mniej wie, tym dla niego zdrowiej.

– To co tu się dzieje, że miałbym się o ciebie aż tak martwić? – Leszek jeszcze nic nie wiedział, a już się przestraszył.

– Nic takiego – lekceważąco machnęła ręką.

– Czyli tak... – zagaił Miron. – Dzwonił do mnie Konrad...

– To ten agent, co tu był i mnie przesłuchiwał na okoliczność strzelania – wyjaśniła wszystkim Eulalia.

– ...Z dwiema wiadomościami. Po pierwsze... nie wiem, od której zacząć. Dobra. Po pierwsze, Zatopek został dotkliwie pobity pod celą...

– Zatopek, tato, to ten weterynarz, na którego miejscu teraz jestem. Lecznica i ten jego dom to mój.

– Wygląda na to, że Zatopek w dalszym ciągu pary z gęby nie puścił i idzie w zaparte, bo już byśmy tu mieli wizytację jakichś jego koleś. W każdym razie możemy się takiej w najbliższym czasie spodziewać...

– To znaczy, tato, że trzeba uważać na obcych, szczególnie takich, którzy by się kręcili koło naszego domu, rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć?! To jasne. Tylko ja tu nikogo nie znam, to skąd będę wiedział, kto obcy, a kto swój?

– Szybko się pan orientuje – wyjaśniła Babcia. – Jak znam naszych sąsiadów, to teraz do pana córki zaczną się wycieczki z każdą papużką i myszami, bo będą chcieli pana zobaczyć. Czyli w ciągu dwóch dni pozna pan całą wieś. Reszta to obcy.

– Aha – potwierdził odruchowo.

– Druga sprawa – kontynuował Miron – to wyniki śledztwa dotyczącego strzelania... – zawiesił głos, potęgując napięcie.

– No! I co? – przynaglił go Artur.

– Ugrzęzło – padła krótka odpowiedź. Wszyscy przywiedli na swoich miejscach. – Był nieudany napad na bank... Ale to inna grupa, nie nasi – zastrzegł. – Z naszymi to nie ma żadnego powiązania. Sądząc po użytej broni, może mieć jakiś związek z wojskiem. Ale zanim oddadzą sprawę w ręce prokuratury wojskowej, muszą wykluczyć cywilów. W wyniku jakiegoś nieporozumienia między napastnikami strzelanina przeniosła się na ulicę. Padło tyle strzałów, że łuski można było zgarniać szuflą do odśnieżania... No dobra, trochę przesadzam, ale ucierpieli przypadkowi przechodnie. Ponieważ są ranni, to tamta sprawa ma pierwszeństwo przed naszą. Laboratorium balistyczne jest zawałone robotą, bo muszą ustalić, kto strzelał i do kogo.

– Znaczy z czyjej lufy kto oberwał? – dopytywała Jolka.

– Dokładnie – potwierdził Miron.

– Czyli skoro do Eulaśki strzelali, ale w nią nie wcelowali... – zaczęła Zuzka, ale nie dane jej było skończyć.

– Jak to? – zachłysnął się Leszek. – Ktoś do ciebie strzelał?! I nic mi o tym nie mówiłaś?!

– Kiedy ci miałam powiedzieć?

– Trzeba było zadzwonić – odparł z pretensją.

– I co byś wtedy zrobił? – trzeźwo spytała go córka.

– Przyjechałbym... – ale chyba sam stwierdził, że to żadna pomoc. – Albo zabrałbym cię do siebie.
– I mieszkałabym na stercie książek? Przecież u ciebie nie ma gdzie laptopa postawić, a co dopiero z tobą zamieszkać.

– No dobrze... – Leszek trochę ochłonął i chciał usystematyzować wszystkie rewelacje, o których się dowiedział. – Czyli teraz co?

Nad zgromadzonymi zawiśła cisza.

– Teraz czekamy, aż balistycy uporają się z zaległościami – orzekł Miron. – I mamy oczy na szypułkach.

Po chwili ogólnego zamyślenia znów odezwał się Leszek.

– Ale przepraszam, bo ja nie jestem zorientowany. Do czego wam ten cały pobity... jak mu tam... Utopek?

– Zatopek, tato – sprostowała Eulalia.

– No, niech mu i tak będzie. Co on tu robi w całej tej historii?

Eulalia uniosła ręce w geście poddania.

– Nie podejmuję się – oznajmiła.

– To może ja. – Zuzanna przesunęła krzesło, żeby mieć lepszy kontakt z Leszkiem. – A więc tak...

Leszek stał na środku kuchni w domu Zatopeków (czytaj: córki) i rozglądał się uważnie po kątach, ścianach i suficie.

– To mówicie, że gdzieś tu może być ukryty skarb? – zapytał.

– Możliwe – mruknął Miron, przykręcając naderwany zawias w szafce, pozostałość zniszczeń po wcześniejszych poszukiwaniach.

– Nie liczyłabym na to – Eulalia rozwiła nadzieje ojca.

– Ale niewykluczone? – dociekał.

– Pewności nie mamy – potwierdził zgodnie z prawdą Miron. – Gotowe – dodał, wstając z kucek i zbierając narzędzia do skrzyneczki.

– Hmm – zamyślił się Leszek.

Chwilę trwał w zadumie, ale w pewnym momencie oko mu błysnęło, co uszło uwadze zarówno córki, jak i jej przyjaciela.

– Elu – rzucił niby mimochodem. – Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zaproszę do ciebie na odpoczynek Bazylego? Może przyjechaliby z synem, rybki by połowili, odetchnęli od miejskiego smrodu.

– Miejsca jest dosyć, ale sam byś musiał koło nich chodzić, bo ja nie mam czegoś takiego jak urlop – usłyszał znad patelni, na której szykowała jajecznicę.

– Jakoś damy sobie radę, tylko... jak ty nas ułożysz?

Leszkowi nie zgadzały się miejsca do spania z liczbą osób.

– Normalnie – Eulalia nie widziała żadnego problemu. – Ty masz swój pokój. Bazylego z synem położymy na dole w salonie, tam jest kanapa i ta mała sofa też się rozkłada. A ja z Mironem.

Mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni. Mironowi aż wypadł wkrętak z ręki. Jednak po chwili zdziwienia obaj przyjęli jej odpowiedź jako rzecz naturalną. W końcu wszyscy są dorośli i nie ma co udawać, że jest jak nie jest.

– Ale może jeśli będziesz miała gości, to ja tu będę przeszkadzała? – Miron nadal myślał o konwenansach.

– A goście mnie obronią w razie czego? Dwóch starsuszków z trzecim wielkogłowym naukowcem? Mowy nie ma, jeśli ty się wyprowadzasz, to ja też.

– Ależ nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek się wyprowadzał, pomieścimy się. To ja pójde na górę zadzwonić do Bazylego.

– Tylko nie gadaj długo, bo jajecznicza wystygnie – rzuciła za nim Eulalia.

Bazyli z synem Jakubem przyjechali, kiedy akurat Eulalia z Mironem szykowali się do wyjazdu za las.

Eulalia musiała złożyć kolejną wizytę znajomym krowom, przy czym za nic nie chciała jechać sama odcinkiem drogi, na którym spotkała ją ostatnia przygoda. Miron doskonale to rozumiał i nawet nie musiała go prosić, tylko od razu sam z siebie wyprowadził samochód. Ustąpił miejsca na auto przyjezdnych i czekał na nią na drodze. Okazało się jednak, że musi wysiąść i pomóc gościom w przeniesieniu rzeczy. Panowie oprócz standardowych w takim przypadku toreb turystycznych i walizki mieli dwie podejrzanie wyglądające skrzynki. Ich wygląd przywodził Mironowi na myśl jakieś urządzenia optyczne albo części laboratorium. Mogły również zawierać skomplikowaną elektronicznie broń. Raczej nie przypuszczał, żeby panowie przywieźli w nich lakiery do włosów i paznokci. Oprócz ciekawości zrodziło się w nim zaniepokojenie, ale szybko je stłumił. W końcu to OJCIEC Eulalii i jego PRZYJACIELE, więc CHYBA nie stanowią zagrożenia. Bagaże pieczołowicie zostały złożone w kącie salonu i czas było ruszać, bo Eulalia już w progu przytupywała niecierpliwie. Powitanie odbyło się zatem w locie. Gospodyni przeprosiła nowo przybyłych i powierzyła ich opiece taty.

– Cieszę się, że przyjechali – stwierdziła już w drodze. – Co prawda będę musiała o nich trochę zadbać, ale ojciec nie będzie cały dzień za mną laził, patrzył mi na ręce i zadawał miliona pytań o wszystko.

– Chyba trochę przesadzasz – zaproponował Miron.

– Ani trochę. Siedziałby w lecznicy, kiedy przyjmują pacjentów i nie dość, że chciałby wiedzieć wszystko o każdym zwierzaku i o każdym moim ruchu, to jeszcze zagadywałby właścicieli. Czułabym się kontrolowana i pod presją.

– Każdy rodzic chyba ma podobnie.

– Ale mój jest pod tym względem wyjątkowy. A teraz jest szansa, że zajmie się kolegą, będzie go oprowadzał po okolicy, a ja będę miała trochę swobody.

– A JA... – jego „ja” było specjalnie zaakcentowane w opozycji do jej „ja” – cieszę się, że częściej będzie ktoś w domu i więcej osób będzie się po nim kręciło. To zawsze odstrasza.

– To ten dom za kasztanem – wskazała palcem Eulalia, a Miron zgodnie z jej instrukcją wjechał na posesję.

– Widzę, panie Górski, że krowy jeszcze nie na łące, tylko nadal w oborze. Czemu to?

– Z powodu dzików. Póki grasują, to nie puszczę krów na pastwisko, bo nie wiadomo, czy nie wściekle.

– Dzikie? Nie słyszałam, żeby ktoś z naszych sąsiadów widział tu jakieś.

– Wy jesteście za rzeką, to może do was nie przychodzą, ale tutaj to plaga. Wojnickiemu, temu co za młodu trenował rzut kulą, to tak buraki porały, że żal było patrzeć. Poturbowwały dzieciaka Szpakowskich, jak wracał ze szkoły. Dobrze że akurat listonosz jechał swoją motorynką, to je ten hałas wystraszył, ale małemu aż szwy zakładali. W biały dzień! To niepodobne, bo w dzień powinny siedzieć gdzieś po krzakach, a nie na dzieciska napadać. U mnie to tylko żonie wlażyły do kurnika i zdewastowały nowe ogrodzenie na łące. Ale mówię pani, plaga.

– Będę musiała o tym porozmawiać z naszym sołtysem, bo jeśli do tej pory do nas nie dotarły, to w każdej chwili mogą. Dziękuję za ostrzeżenie.

Mironowi przemknęła przez głowę myśl. Chwilę go to nurtowało, ale machnął ręką i odpuścił. Obejrzeni krowie kopyta, stwierdzili znaczną poprawę i mogli wracać.

– Ach, Eluniu! – egzaltowany tata wrócił zachwycony z wycieczki. Oprowadzał swoich gości po okolicy. – Jak wy tu macie pięknie! Zrobiliśmy sobie spacer. Ileż tu zachwycających rzeczy! Te cudne kapliczki przy drodze! Toż gratka dla etnografów. I jak pięknie zachowane!

– Poznałeś artystkę, która je restaurowała. To Jola, wczoraj była na naszym spotkaniu. Mój szylt to też jej robota.

– Cudowne. Ależ zdolna kobieta! Kapliczkom nawet konserwator zabytków nie miałby nic do zarzucenia, bardzo piękne wykonane, a jak wiesz, znam się na tym.

Miron z Eulalią wymienili spojrzenia.

– Nie przyszło mi do głowy, że powinniśmy powiadomić konserwatora w sprawie renowacji. Przecież niektóre z tych świątków mają ponad dwieście lat – zreflektował się Miron.

– Teraz to już przypadło. Będziemy udawać, że sprawy nie było – zdecydowała za całą wieś Eulalia.

– Ja jestem zachwycony przyrodą – podzielił się wrażeniami Bazyl. – W mieście drzew nawet się nie zauważa, chociaż rosną przy każdej ulicy. A tu? Te topole przy drodze, ten las za rzeką... I sama rzeka! Tak się srebrzyła, jak stanęliśmy na moście, jak potok rłęci, a kiedy słońce na chwilę zaszło, to jak olów.

– Przepraszam, że ci przerwę, Bazyl – ponownie wtrącił się Leszek. – Tak mi zaproszyliście w głowie tymi opowieściami mrozącymi krew w żyłach, że stałem się chorobliwie podejrzliwy. Wyobraź sobie, w trakcie naszej wędrówki spotkaliście jakichś obcych.

– Mówisz o tych dwóch na górze? – przypomniał sobie Bazyl.

– Tak. Przyszynaj, że dziwni jacyś byli. I specjalnie zwróciłem uwagę. Żaden z nich nie miał gumki.

– Gumki? – zdziwił się Kuba.

– Tak, gumki, takiej na nadgarstku. Gdyby to byli tutejsi, toby mieli, prawda?

Eulalia z Mironem wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– A jak wyglądali? – spytał Miron.

– Młodzi byli i takie oczka rozbiegane – określił ich Leszek.

– Młodych mężczyzn w tej wiosce to dwóch znasz: Janek i Artur – wyliczała Eulalia.

– Nie no, oczywiście że tych bym poznał, ale to byli inni.

– Może synowie Leona? Bracia budowlańcy? – snuł domysły Miron.

– Nie wyglądali na budowlańców, raczej rachityczni byli – zaprzeczył Bazyl.

– Jak rachityczni, to nie Bożymorscy – analizowali dalej.

– Wymoczki takie. Miastowe mięczaki... A wracając do wrażeń z wycieczki – przypomniał sobie Jakub. – Mnie najbardziej spodobaly się ruiny zamku na wzgórzu za pani domem. Takie romantyczne.

– To był kościół, nie zamek. I wiąże się z nim ciekawa historia...

I Miron opowiedział gościom legendę, która od wieków krąży po okolicy i wciąż ma wpływ na życie mieszkańców. Częścią tej legendy była przypowieść o zachłannym księdzu, który okłamał swoich parafian, że to sam Pan Bóg kazał dzielić się swoimi dobrami z kapłanami. A że było to w Dzień Prawdy, więc został pokarany ogniem. Nadeszła burza i kościół spłonął. Ruiny pozostały, bo nikt nie odważył się tknąć miejsca świętego, a dotkniętego kłatwą.

– Fascynujące! – zachwycił się Bazyl.

W nocy Eulalia ufnie wtuliła się w Mirona, czując się pod każdym względem bezpieczna. Dawno nie zaznała takiego błogostanu jak w tej chwili, więc wolna od trosk i lęków natychmiast zasnęła. Miron, odwykły od dzielenia łóżka, zasnąć nie mógł. Chłonał ziołowy zapach włosów Eulalii i zastanawiał się, czy kiedy minie niebezpieczeństwo, nadal będą razem spędzali noc.

Jego uszu doszedł szelest na schodach, a później skrzypnięcie. Po chwili na dole dały się słyszeć ciche odgłosy. Komuś coś upadło, coś cichutko zaszurało. Wreszcie wszystko ucichło. No cóż, goście mają prawo do nocnego życia. Może tata Eulalii zszedł do kuchni, żeby napić się wody? Może goście

potrzebowali wyjąć coś ze swojego bagażu? Może chcieli zamknąć lub otworzyć szerzej okno?... Jednak nie slychać było, żeby Leszek wracał do swojego pokoju. Miron mógł mieć pretensje jedynie do siebie, bo naoliwił zawiasy i żadne drzwi nie wydawały dźwięków przy otwieraniu. Dom ucichł. Za to po chwili odskoczyła klamka w ich pokoju i w szparze ukazał się nos, a za nim reszta psa. Rysiek przysiadł przy łóżku i wywalił język. Jego mina oscylowała między „fajna zabawa” a „coś jest nie tak”. Patrzył Mironowi wyczekująco w oczy, licząc na jego reakcję. Za oknem dały się słyszeć jakieś trzaski i szelesty. Miron uwolnił rękę spod ramienia Eulalii, czym ją obudził.

– Co jest? – odezwała się mało przytomnie.

– Ciii, jeszcze nie wiem.

Mężczyzna podszedł po cichutku do okna. W ogrodzie widać było jakiś ruch. Po zaroślach przesuwało się światło latarki. Niestety, ludzi, którzy nią operowali, skrywała ciemność.

– Co się dzieje? – Eulalia stanęła za plecami Mirona, a kiedy zobaczyła te nocne manewry, złapała go za ramię. – Dżyzys! Znowu? Dzwonimy po policję?! – spytała.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – opanowanym głosem oznajmił jej osobisty ochroniarz. – Wrzuc coś na siebie i chodźmy.

Sam wsunął spodnie i buty i już w drodze zakładał koszulę. Eulalia, niczego nie rozumiejąc, zarzuciła szlafrok i podążyła za nim.

Miron zdecydowanym krokiem, Eulalia skradając się, zbliżyli się do zamieszania. Dopiero kiedy byli całkiem blisko, mogli zorientować się, co się tu właściwie dzieje i zostali odkryci przez sprawców.

– Czy mogę wiedzieć, co panowie robią? – Miron splótł ręce na piersiach i przyjął wyczekującą postawę.

– Tata?! – Eulalia wysunęła się z za swego obrońcy. – Panowie?!

Dalszą wymianę zdań przerwał niespodziewany deszcz. Najpierw pojawiło się kilka pojedynczych kropli, a później zaczęło padać coraz intensywniej.

– Może z wyjaśnieniami przeniesiemy się do domu – zaproponował Miron i sam rozpoczął odwrót. Zanim dotarli do wejścia, lunęło.

– Okej, tato, wytłumacz nam, co robiliście w środku nocy w ogrodzie? – zapytała Eulalia i zaraz dodała: – Nie żeby to było zabronione, róbcie sobie, co chcecie, ale przynajmniej wytłumacz mi, po co ta cała konspiracja.

– Hmm... – Leszek nie wiedział, jak zacząć, a jego goście bynajmniej mu nie pomagali. – Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę – padło po zastanowieniu.

– Zrobiliście, bardzo się cieszę. Tylko dlaczego z jej powodu moknę po nocy?

– Oj, już nie przesadzaj – fuknął tata. – Dwie krople na krzyż i o co tyle krzyku.

– Nie odwracaj kota ogonem, bo zaraz się okaże, że to my z Mironem robimy zamieszanie po nocy.

– A nie?! My sobie cichutko przebywaliśmy w ogrodzie, a wy przyszliście i zrobiliście raban... Nikomu niepotrzebny – dodał.

– Panie Leszku... – zaczął Miron.

– Leszku – poprawił go główny winowajca.

– Przepraszam. Leszku... czy możesz nam na spokojnie i BEZ WYKRĘTÓW powiedzieć, co zamierzaliście... Oczywiście, oprócz zrobienia córce niespodzianki?

– Hmm...

– Bez wykrętów! – dodał Miron z naciskiem.

– To może ja naleję nam po koniaku. Łatwiej mi przyjdzie zrozumieć – Eulalia wstała od stołu, żeby przygotować trunki.

– Rozmawialiśmy u pani Joanny o tych mroźących krew w żyłach przygodach, które przeżywaliście... – zaczął Leszek.

– I nie przyszło ci do głowy, że już mamy dość takich przygód? I nie musimy się po nocy uganiać za kimś, kto nam łązi po ogrodzie? – padło oskarżycielsko z ust Eulalii.

– Dlatego właśnie nie chcieliśmy was w nic wtajemniczać... Znaczy ja nie chciałem, bo Bazyli i Kubuś nie mają z tym nic wspólnego.

– Poza tym, że biorą w tym udział – uzupełniła córka.

Pan Bazyli spuścił wzrok, a Kuba chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale dał spokój.

– Bo ja ich namówiłem – wziął na siebie całą winę Leszek.

– Moi drodzy, nie kłómy się. Zdrowie! – zaproponował Miron i uniósł kieliszek.

Towarzystwo odetchnęło.

– Z tego co mówiła Zuzanna i z tego, co sami potwierdziliście, zrozumiałem, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ten cały Utopek...

– ...Zatopek – odruchowo poprawiła Eulalia.

– No przecież tu mówię... Że ten cały Zatopek ukrył majątek mafii. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że właśnie tu... – Leszek zawiesił głowę, czekając na potwierdzenie.

– Leszku – Miron usiłował zachować spokój. – Zarówno dom, jak i ogród zostały już przeszukane.

– Ale czy dokładnie? – padło zaczepne pytanie.

Miron i Eulalia wymienili spojrzenia. Tak naprawdę, to nie mieli żadnej pewności, że przeszukiwanie domu i „prace ogrodnicze” na zewnątrz przyniosły jakikolwiek wynik. Nikt nie mógł zaręczyć, że szukano, ale nie znaleziono, bo nic nie było, czy dlatego, że źle szukano.

– Uważacie zatem, że ekipa, która coś więcej od nas wiedziała o ukryciu, nie zabrała tego, po co przyszła. I chcecie dopełnić ich dzieła? – Eulalia wyłożyła słone paluszki i orzeszki.

– Dokładnie taki mamy zamiar – przytaknął tata, wpychając sobie garść orzeszków w usta.

– I myślicie, że wam się uda, chociaż oni mieli o tym większe pojęcie?

– Może pojęcie mieli, ale narzędzi nie – Leszek aż uderzył w stół, żeby podkreślić swoje słowa.

– A nie możecie tych poszukiwań prowadzić tak normalnie, legalnie, za dnia?

– A jeśli oni tylko czekają na to, że znajdziemy?

– W nocy też mogą czekać.

– Hmmm... Fakt. Nie pomyślałem.

– Wspomniałeś coś o narzędziach – wtrącił się Miron. – O jakie narzędzia chodzi?

Jego wzrok padł na dziwne skrzynki złożone jedna na drugiej w kącie salonu.

– To może ja powiem – zaproponował Bazyli. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. – Otóż, nasza obecność tutaj z Kubusiem...

– Tato, nie jestem dzieckiem. Przystań mnie tak nazywać – zaprotestował Kuba. W rzeczy samej, sądząc po lekko siwiejących skroniach, zbliżał się do czterdziestki.

– Nie przerywaj! – zgromił go ojciec. – Przyjaźnimy się ze Leszkiem od czasów, kiedy pracowaliśmy jako lekarze wojskowi. Mam względem niego dług wdzięczności, bo w Albanii uratował mi życie. Pamiętacie z telewizji... Kosowo i te rzeczy. Jednym słowem, kocioł bałkański i tamtejsza wojna. Polska Misja Medyczna organizowała tam podwaliny normalnego życia, szpitale polowe, ambulatoria i takie tam... – Bazyli starał się bagatelizować ich wkład w przywracanie pokoju na tamtych terenach. – W dziewiędziesiątym dziewiątym wysłali nas do badań przesiewowych i szczepień ochronnych. Walczyliśmy z wszawicą, leczylimy rany postrzałowe, odmrożenia, bo jak uciekali przez góry, to różnie się to kończyło. Było mnóstwo zatruc pokarmowych, pasożyty, infekcje...

– Przyjacielu, trochę się zagalopowałeś – przerwał mu Leszek. – Wróćmy do tematu.

– Ależ to bardzo ciekawe – zaprotestował Miron. – Nie wiedziałem, że panowie też służyli.

– Ze skalpelem, nie z bronią – uściślił Bazyli. – No i któregoś dnia... a byliśmy tam od kwietnia do sierpnia... wysłali nas do jakiegoś obozu na północ, żebyśmy zajęli się uchodźcami z Kosowa. Lekarstw

jak na lekarstwo, samochód też wart pożądania, więc jacyś tamtejsi maruderzy nas ostrzelali, pewnie żeby okraść. Samochód się przewrócił. Zginął kierowca, a nas uratowało to, że w trakcie wypadku straciłmy przytomność i uznali nas za martwych. Lechu był ranny w rękę, ja dostałem w bok, kula przeszła na wylot, ale krwawiłem jak świnia i pewnie bym tego nie przeżył, gdyby Lesio, jak się ocknęliśmy, nie opatrzył mnie i nie pomógł się dowlec do obozu.

– Bazył, nie przesadzaj...

– Jak teraz do mnie zadzwonił – Bazyli kontynuował, nie zwracając uwagi na upomnienia. – To ja się bardzo ucieszyłem, że mogę się chociaż trochę zrewanżować za tamte czasy. Zresztą to żaden rewanz. Kiedy usłyszałam, o co chodzi, to poczułem zew przygody, a że Kubuś ma podobnie i do tego może być przydatny, to się nie zastanawialiśmy...

– No właśnie – Jakub wszedł mu w słowo. – Nie zastanawialiśmy się, a powinniśmy. Może najbardziej zainteresowani nie życzą sobie naszej pomocy?

Miron początkowo miał zamiar wygłosić jakąś pogadankę na temat wtrącania się, narażania i temu podobne, ale kiedy dotarło do niego, że nie ma do czynienia z przeciętnymi starszuchami, tylko z weteranami wojny w Kosowie, trochę zmiękł.

– Przepraszam, bo nie rozumiem, ale w jaki sposób panowie mogliby nam pomóc? – zapytał.

– To już może Kubuś wytłumaczy – Bazyli przekazał głos synowi. – Mogę jeszcze kapeczkę? – podstawił Mironowi kieliszek.

Miron połał kolejkę, a Kuba podwinął rękawy, jakby mu to miało pomóc w referowaniu sprawy i zaczął:

– Bo państwo tego jeszcze nie wiedzą, ale ja pracuję w firmie... a dokładniej, jestem jej współwłaścicielem... która prowadzi różne badania, głównie geodezyjne, ale nie tylko. Byliśmy już w Irlandii, gdzie odkopali jakieś pozostałości tamtejszej prakultury. Szukamy różnych złóż. Wzywają nas do każdej budowy autostrady... Tak na marginesie, to moja wina, że przesunęli przebieg A2 pod Poznaniem, bo znaleźliśmy tam cenne stanowisko archeologiczne. Jak trzeba, to szukamy podmyć gruntu, jeśli chodzi o kurzawkę. W zeszłym roku odkopywaliśmy zatopiony w wyschniętym już bagnie czołg. To znaczy, nie my kopaliśmy, ale na podstawie przekazów ustnych tamtejszej ludności określono, gdzie on mniej więcej może być i my pojechaliśmy tam ze sprzętem, żeby go pod ziemią odszukać.

– Tym sprzętem? – Miron wskazał na skrzynki.

– Podobnym. Tamten... Dużo by mówić, nieważne. W każdym razie zastosowanie GPR jest bardzo szerokie.

– Czego? – nie zrozumiał Leszek.

– GPR, Ground Penetrating Radar. To ta większa skrzynia. A ten drugi sprzęt mamy od miesiąca. Jest bardziej czuły i lepiej się nadaje do bardziej precyzyjnych poszukiwań. Bo pan Leszek wspominał coś o przeszukaniu również pomieszczeń. Więc zabrałem taki skaner, którym szukamy między innymi zbrojeń w ścianach. A ma taką częstotliwość, że znajdzie nawet szpilkę w betonie.

– Ale dlaczego po nocy? – nadal nie rozumiała Eulalia.

– Bo to wszystko, o czym opowiadaliście, wydawało się takie niesamowite i tajemnicze, że chcieliśmy się utrzymać w konwencji – wyjaśnił Leszek.

– Świta – zauważył Miron. – Może jutro wrócimy do rozmowy.

– ...I do poszukiwań – uzupełnił ojciec Eulalii.

Po przyjęciach w lecznicy, do której zaczynało się zgłaszać coraz więcej pacjentów, Eulalia miała w planach wyjazd w teren. Roczniak właściciela stacji benzynowej, ten, którego poród odbierał jeszcze Zatopek, stał osowiały w stajni i nie chciał jeść. Wyprowadzony na padok zamiast cieszyć się z ruchu po

kilku krokach stawał i zwieszał łeb. Wszystkiego tego Eulalia dowiedziała się od zaniepokojonego właściciela przez telefon.

– Wszystko wzięłaś? – Miron pomógł przyjaciółce załadować torbę do bagażnika.

– Na miejscu się okaże. Oby to tylko nie były zołzy – kobieta wsiadła do samochodu i przypinała się pasami.

– Że co? Znów jakieś guśla weterynaryjne? – Mironowi zołzy kojarzyły się z kilkoma znanymi mu z własnego towarzystwa kłótliwymi babami.

– Jakie guśla? – oburzyła się Eulalia. – To nie żadne guślarstwo, tylko medycyna akademicka. Zakażenie paciorkowcem. Bardzo niebezpieczne. Mam tylko nadzieję, że nie zwlekał za długo z wezwaniem do konia, bo może stracić wszystkie. To poważna zakaźna choroba... – A po chwili dodała: – Aż się boję zostawić ich samych.

– Właściciela z końmi? – Miron nie nadązał za przeskokiem myślowym przyjaciółki.

– Ojca i jego gości – sprostowała.

– Na twoim miejscu nie przejmowałbym się nimi. Najwyżej będziesz miała dogłębnie skopany ogródek.

– A jak coś znajdą?

– To same korzyści. Oczywiście nie będą mogli tego zatrzymać, bo to są dowody w sprawie, ale będą mieli satysfakcję.

– Nie mogliby siedzieć na dupie, grać w remika albo pisać pamiętniki?

– To są ludzie czynu. Weterani. Nie dla nich emeryckie zajęcia. Zrozum, oni czują się facetami... Zresztą nimi są. Potrzebują wyzwań, adrenaliny...

– To niechby sobie na karuzeli pojeździli – mruknęła zrezygnowana Eulalia.

– Czy gdybyś chciała przeżyć coś mocnego, po tym jak do ciebie strzelano, poszłabyś do wesołego miasteczka?

– Raczej na bungee.

– No to wiesz, o czym mówię.

Musieli przerwać rozmowę, bo zajęli na posesję właściciela stacji benzynowej.

Eulalia obejrzała nie tylko żrebaka, ale na wszelki wypadek również jego matkę, z którą stał w jednym boksie. Po wnikliwym badaniu, osłuchaniu, zjrzeniu w oczy, uszy i nozdrza, zmierzeniu temperatury uznała, że to tylko przeziębienie i wszyscy odetchnęli.

– Ale co zrobić, żeby jadł? – dopytywał właściciel. – Bo jak nie z choroby mi padnie, to z głodu.

– A jak pana gardło boli, to łatwo panu łykać? Proszę mu dawać mész, to mu ulży.

– Bałem się, że dziki nam tu jakąś chorobę przyniosły, bo podeszły pod sam dom. Możliwe, że częściej się tu kręciły, tylko nie zwracałem uwagi. Wie pani, jak to jest, psy ciągle szczekają bez powodu.

– Hmm... Dziki... Nie dają mi spokoju... – zastanawiał się Miron, kiedy wracali z wizyty.

Na podwórku Eulalii trwało radosne podniecenie.

Małe czerwone chorągiewki wyznaczały z wyleniałego trawnika pod orzechem powierzchnię metr na metr. Trzej mężczyźni pochyleni byli nad monitorem i z entuzjastycznym uniesieniem dyskutowali nad tym, co tam dojrzeliby. W końcu najmłodszy odstawił na taras urządzenie podobne do kosiarki i zaczął w nim czyścić kółka.

– Dobrze, że przyjechaliście! – Leszek ucieszył się na widok córki i jej przyjaciela. – Znaleźliśmy jakieś dobrze zapowiadające się anomalie.

– Możliwe, że to, czego szukamy – zacierał ręce Bazyli.

– Dużo różnych odbić na małej przestrzeni – wyjaśnił po swojemu Jakub.
– Tylko nie mogłem znaleźć szpadla – zapalił się do wykopania skarbu tata.
– Narzędzia są w garażu, ale może najpierw coś zjemy? – zaproponowała gospodyni.
– My już jesteśmy po kawie – uprzedził. – To ty szykuj obiadek, a my tu przez ten czas trochę podłubiemy... Nie patrz tak sceptycznie. Nie bój się, niczego nie zniszczymy. Miron nas dopilnuje. Lecę go szpadel.

Wrócił z dwoma. Jeden wręczył Kubie, drugim sam zaczął dźgać darń. Miron miał obawy, że to co znalazł georadar, nie jest związane z celem poszukiwań. Jeśli nawet Zatopek ukryłby coś pod ziemią, musiałby mieć do tego wygodny dostęp. Warstwa lichej bo lichej, ale jednak starej trawy i korzeni wskazywała raczej, że chodzi o coś, co leży w ziemi luzem. Biorąc pod uwagę, że od aresztowania minął prawie rok, to albo znalezisko nie dotyczyło Zatopek, albo pochodziło z wcześniejszych czasów. Nie mogąc z siebie wykrzesać entuzjazmu, Miron stał z boku, z rezerwą przyglądając się wysiłkom znajomych. Jego uwagę przykuł jakiś błysk na górcie za domem, ale nie dostrzegł tam żadnego ruchu, więc go zignorował.

– Panowie, ziemniaki się dogotowują, myjcie ręce i zapraszam do stołu – usłyszeli przez okno.

Z ociąganiem odłożyli narzędzia i usiedli do posiłku.

– Mogłaś zaczekać z tym obiadem – wyraził niezadowolony Leszek. – W takim momencie nam przerwać, to niehumanitarne.

– Nie mogłam czekać, bo za pół godziny mają przyjechać z Miasteczka ludzie z psem. Tamtejszy weterynarz znów jest „niedysponowany” i nie przyjmuje, a to pilny przypadek.

– Same pilne przypadki – sarknął Leszek. – Odkopanie skarbu też może okazać się pilne.

– Przecież wam sam spod ziemi nie ucieknie. Kuba, weź sobie więcej gulaszu. Nie zmieścił mi się w salaterce, ale jeszcze jest w garnku. Dołożę. Panie Bazylu, proszę bardzo...

– À propos psa. Dobrze, że Jasiak zabrał Ryśka, żeby się wybiegał, bo pewnie by nam wsadzał nos w wykopaliska – Leszek był ogromnie podekscytowany.

– Wstawię wodę, to napijemy się herbaty – zaofiarował się Miron.

– Herbatka-wypierdatka. Łykać i kopać – poganiał tata Eulalii.

Ciągle przynaglani nie mieli czasu na dokładne gryzienie, tylko nieomal lykali w całości każdy włożony do ust kęs, żeby jak najszybciej powrócić do kopania. Gospodyni zlekceważyła ich odkrycie i została w kuchni, a później zajęła się pacjentem.

– Tak się objadłem, że schylać się nie mogę – stękał Kuba.

– Nie marudź, tylko machaj tym szpadlem – dopingował go ojciec.

– Ciekawe, co znajdziemy? – nie mógł się doczekać Leszek.

– Sygnał był zróżnicowany – objaśniał wskazania skanera Jakub. – Wygląda na metal i może papiery... Zaraz zobaczymy.

Do uszu mężczyzn zgromadzonych nad dołem doszło głucho łupnięcie o coś szpadla. Kuba zdrapał warstwę ziemi, odsłaniając zbutwiałe deski.

– Brzmi jak skrzynia... I wygląda jak skrzynia – mruknął Bazylu.

Jakub kilkoma energicznymi ruchami odstąpił zawartość dołu.

– Skrzynia – orzekł.

– Czekaj, pomogę ci – Bazylu przykląkł nad wykopem i wspólnymi siłami wyciągnęli ją na powierzchnię.

– Bardzo panom dziękujemy za trud – usłyszeli niespodziewanie. – A teraz wypierdalać.

Zza sławki wysunęło się w ich kierunku dwóch mężczyzn. Jeden trzymał w dłoniach broń.

– Sami wypierdajcie – Leszek ani myślał dzielić się znaleziskiem.

– Panowie – pohamował znajomych Miron. – Z bronią się nie dyskutuje. Zachowajcie spokój.

Eulalia odprowadziła pacjenta i wyszła zza węgła, by dołączyć do poszukiwań. Natychmiast zrozumiała, że przed jej oczami rozgrywa się niebezpieczna scena. Zdołała zawrócić niezauważona. Dopadła torebki i roztrzęsionymi rękoma wyluskała z portfela wizytówkę Konrada. Kiedy tylko uzyskała połączenie, nie bawiła się w konwenanse.

– Trzymają Mirona na muszce. Przyjeżdżajcie natychmiast do mojego domu.

Imię kolegi jest na tyle rzadkie, że Konrad nie musiał się domyślać osób dramatu. Powiadomił posterunek najbliższy wydarzeniu, zgarnął współpracowników i na sygnale gnali na miejsce akcji.

Tymczasem w ogrodzie wszystko wskazywało, że poszukiwania pójdą na marne. Czwórka naszych znajomych, ulegając groźbie, cofnęła się i pozwoliła napastnikom przejść znalezisko.

– Dalej się odsuniecie. Do tyłu! – rozkazał ten uzbrojony.

Posłusznie postąpili kilka kroków w tył.

Chcąc chwycić skrzynię, bandyta musiał uwolnić ręce.

– Ani waście się ruszyć! – warknął i schował broń do kieszeni bluzy.

– Powinna się rozciągnąć – pomyślał Miron i już wiedział, że ma do czynienia z atrapą. Prawdziwy pistolet obciążyłby kieszeń, wyciągając tak obszerny i elastyczny polar do kolan. Ta broń musiała być plastikową zabawką.

– Kosowo na trzy – powiedział Miron w przestrzeń.

Jego kompani tylko przez chwilę byli skonsternowani. Spojrzeli po sobie i skinieniem głowy dali znać, że zrozumieli.

– Raz...

Zbiry uniosły skrzynię, ignorując odliczanie, chociaż wciąż kątem oka obserwowali ofiary.

– Dwa...

Dno odpadło i cała zawartość skrzyni z rumorem zwała się na stopy zbirów.

„O kurwa!” nałożyło się na „ja pierdolę!”. W jednej chwili się zakotłowało. Miron celnym kopniakiem powalił tego uzbrojonego, pozostali rzucili się na drugiego. Od Leszka dostał w szczękę, Bazyl już siedział mu na piersiach, a Kuba całym ciężarem ciała przytrzymał mu nogi. Miron sprawnym chwytem obezwładnił swojego podopiecznego. Eulalia z niepokojem śledząca z ukrycia zamieszanie rzuciła się do garażu po znaną już wszystkim linkę do pętania cielaków. Rabusie zostali spacyfikowani.

– Na waszym miejscu bym się nie ruszał – zasugerował Miron leżącym twarzą w dół rzezimieszkom.
– A teraz zobaczymy, co tu mamy.

Towarzystwo zgromadziło się nad stertą rozsypaną ze zniszczonej skrzyni. Coś w niej błyszczało, coś wyglądało jak skołtuniona wełna, jakiś sznurek, metalowa miska, pakunek zawinięty w koc, gumowe zabawki.

Leszek schylił się i z płataniny przedmiotów wyluskał migoczącą w słońcu obrożę wysadzaną kryształkami. Raczej nie wyglądały na cyrkonie, a tym bardziej na brylanty.

– Co to jest? – spytał Kuba.

Miron przykucnął przy znalezisku i pogrzebał w nim patykiem.

– Psia trumna – orzekł.

– Pies? – Bazyl nie mógł uwierzyć.

– Tu jest pies pogrzebany... – Kuba wygłosił frazes.

– Ale... Jak to? – na twarzy Leszka malowało się rozczarowanie.

– Normalnie... – stwierdziła Eulalia. – A właściwie nienormalnie. Bo normalnie normalny weterynarz martwego psa przekazuje do utylizacji, a nie zakopuje pod drzewkiem w ogrodzie.

– Chyba że ma żonę, która była bardzo przywiązana do swojego pupila – odparł Miron.

– Czyli to nie żaden skarb? – chciał mieć pewność Bazyl.

– To był skarb. Dla właścicielki – ze smutkiem stwierdziła Eulalia.

– Sprzętem za prawie trzysta tysięcy odkryliśmy psie truchło? – nie mógł uwierzyć Jakub.

– Ja pierdołę! – dało się słyszeć za ich plecami. Zaskoczony wpadką z tak niegodnego powodu zbiorczy się załamał i z bezsilności zaczął walić głową w ziemię.

Dalsze dywagacje na temat znaleziska przerwało pojawienie się radiowozów.

– Zaraz tu będzie Konrad – oznajmiła Eulalia. – Powiadomił tutejszą policję, bo to do niego dzwoniłam. Może go odwołajmy? Trochę głupio, żeby się tu tłukł dla psiej trumny.

– Dla psiej trumny to może i by się nie tłukł, ale ten pies jest powiązany ze sprawą, którą prowadzi. Trzeba wyjaśnić, co to za ludzie. Znasz ich? – zapytał Miron, wskazując związanych jak baleron sprawców napadu.

– Nie widziałam nigdy żadnego. Ale ten wydaje mi się do kogoś podobny. Nie mogę skojarzyć.

Gdy pojawił się zespół Konrada, pierwsze, co trzeba było rozstrzygnąć, to przydział sprawy. Zwykły rozbój podlegałby pod jurysdykcję tutejszych stróżów prawa. Jednak napad w celu odzyskania dowodów działalności mafii przekraczał ich kompetencje. Tak czy inaczej, dwaj pechowcy pojechali w osobnych radiowozach do aresztu. Policja i ekipa śledcza po dokonaniu oględzin miejsca przestępstwa odjechały, a na placu boju pozostał Konrad.

– A miałeś czytać romanse i hodować kwiatki – szydził z Mirona.

– I mógłbym to robić, gdybym nie musiał cię wyręczać – odgryzł się przyjacielowi. – Napijesz się czegoś?

– Nie piję. Wracam – odparł kategorycznie.

– Ręce opadają – sapnął Miron. – Herbatę ci proponuję, przyjacielu. HERBATE! No, może być i kawa. Co się w tej firmie porobiło?! – zżymał się.

Eulalia nastawiła czajnik, a panowie usiedli przy stole.

– Słuchaj, to jacyś partacze – podsumował wydarzenia Miron.

– Nie tacy partacze, skoro dałeś się im zaskoczyć – Konrad nie lekcewał napastników.

– Musieli nas obserwować, zapewne z tamtych zarośli na wzgórzu. I w czasie gdy jedliśmy obiad, ukryli się za budką. Odczekali, aż wykopiemy znalezisko i wtedy wyszli.

– Sprytnie jak na partaczy – podsumował gość.

– Daj spokój. Widziałeś, z czym przyszli? Gdyby mieli jakieś powiązania, mieliby prawdziwą broń, nie z kiosku Ruchu.

– Sprawdźmy ich.

– Mam nadzieję, że nie poprzestaniecie na sprawdzaniu. Wołałabym, żebyście ich raz na zawsze wsadzili – wyraziła swoje zdanie Eulalia.

– Posiedzą... albo i nie – Konrad nie był przekonany. – Wszystko zależy od kwalifikacji czynu.

– Czyli co? – dopytywała.

– Trochę to skomplikowane. Ja bym to uznał za „usiłowanie nieudolne rozboju kwalifikowanego”. Artykuł 280 § 1 kk. Dwa do dwunastu lat wczasów na koszt podatnika. Ale czy prokurator uzna przedmiot czynu za padlinę, czy za dowody zbrodni grupy przestępczej? Sami wiecie... – Konrad rozłożył ręce.

– Okej. Mnie bardziej interesuje, czy to już koniec naszych przygód, bo przyznam, że mi trochę zbrzydły.

– Jaki koniec?! – wtrącił się do rozmowy Leszek, który z pozostałymi panami przez ten czas zabezpieczali sprzęt. – Jeszcze nie przeszukaliśmy domu – oznajmił.

– Tato, wystarczy tych poszukiwań. Ponoć twoi przyjaciele przyjechali łowić rybki i spacerować.

– Mowy nie ma – zaprotestował ojciec. – Żadnych rybek ani spacerów, dopóki nie wykluczymy tutaj skarbu. Obecność tych dwóch dżentelmenów potwierdza tylko nasze przypuszczenia. Coś tu jest.

– Obawiam się, że pan może mieć rację – przyznał Konrad.

– Lesiu, to Kubuś niech tu lata ze swoimi skanerami, a my możemy połowić rybki. Przecież to nie przeszkadza – nieśmiało wtrącił Bazyl.

– Ja się zadowolę! – Eulalia cisnęła ścierką i złapała się za głowę. – Chryste! Cierpliwości!

Aresztowanie dwóch napastników rozpoczęło okres częściowego rozprężenia nie tylko dla Eulalii i Mirona, ale również dla wszystkich przyjaciół, którzy im sekundowali. Po wysłuchaniu opowieści o ostatnich przygodach u Koteckiej Jasiek miał wątpliwości, czy Rysiek jest tu jeszcze potrzebny. Ustalono, że chwilowo może wrócić do siebie. W domu Eulalii cały czas ktoś się kręci, a tata Jaśka, chociaż zajęty własnymi amorami, też się stęsknił za psem. Poza tym spacerzy z Ryśkiem stanowiły wspaniałą rehabilitację. Dla taty Jaśka po złamaniu nogi i dla mamy Jolki po operacji bioder. Starsi państwo ramię w ramię krążyli po polach i łąkach, a po spacerze wpadali do Nowaczek na kaweczkę, gdzie Rysiek też dostawał swoje łakocie.

Równie beztrudnie czas spędzali starsi panowie. Kiedy po pierwszych nieudanych próbach przeskanowania domu i gabinetu okazało się, że w ścianach nie ma żadnych schowków, zwątpili w istnienie skarbu i skupili się na przyjemnościach. Pożyczyli od Jolki i Zuzanny rowery. Przy czym wcale nie przeszkadzało im, że to damki. Bazyl stwierdził wręcz, że bez ramy łatwiej mu wsiadać. Jeździli po całej okolicy, ustalając sobie za cel odwiedzenie sklepiku w każdej napotkanej wsi. Tam robili postój, wypijali po piwku i wracali.

Ponieważ zaczął się sezon prawdziwków i kurek, więc razem z Kubą, w towarzystwie Janka i Artura przemierzali lasy w poszukiwaniu runa. Miron z beczki i przypadkowo znalezionych na dzikim wysypisku rur zbudował im w kącie ogrodu suszarnię, która po niewielkich przeróbkach mogła też służyć za wędzarnię. Przydała się nie raz, gdyż w końcu i wędki doczekały się swoich pięciu minut.

Wiązało się to z kolejnym powodem do zawału Eulalii. Mało nie padła trafiona apopleksją, kiedy wracając z chlewni za lasem, gdzie szczepiła lochy przeciwko parwowirowie, przejeżdżała koło stawu Marcinkowskich. Może nie zwróciła by uwagi na dwie sylwetki siedzące nad wodą, gdyby jej kogoś nie przypominały. A gdy rozpoznała ojca i Bazylego i zobaczyła, jak beztrudnie zarzucają wędki, zapomniała o rozmarzającej w bagażniku łódźce turystycznej ze szczepionkami. Wyskoczyła z samochodu i gotowa do awantury wkroczyła na pomost. Miron ledwie za nią nadążył.

– Co wy tu robicie? – napadła na zdziwionych jej pojawieniem się mężczyzn.

– Jak to, co? Łowimy rybki. Zobacz, jak biorą – ojciec wyciągnął sadyk na powierzchnię.

– Tu?! – wzięła się pod boki.

– A gdzie niby? Świetne łowisko – tata był dumny ze zdobyczy.

– Łowisko to wy macie za tamtym zagajnikiem. Specjalnie dla takich jak wy zarybiane. A tu jest staw hodowlany. Dobrze, że wam właściciel tyłków nie odstrzelił albo nie kazał aresztować. Boże, z oczu was spuścić nie można! Wypuście natychmiast te ryby.

– Eluniu, ale niektóre już usnęły – z niewyraźną miną przyjrzał się zawartości sadyka.

– Może nas Marcinkowski nie zlincuje. Ale ja za ciebie oczami świecić nie będę. Sam do niego pójdziesz, przeprosisz i zapłacisz za te karasie.

Biedny Bazyl też czuł się winny, więc towarzyszył Lechowi w naprawianiu szkody. Wzięli z barku Eulalii butelkę burgunda, solennie obiecując odkupić, i poszli do Marcinkowskiego kajać się za popełnioną zbrodnię. Przed północą Kuba z Mironem wyszli ich szukać. Dobrze zrobili, bo nasi winowajcy tak się zapamiętali w pokucie, że mogli mieć problem z trafieniem do domu. W każdym razie, halując przez całą szerokość drogi, wyśpiewywali patriotyczne pieśni.

– Masz tu rzekę i oficjalne łowisko, na którym rzadko kto bywa. To nie, że wszystkich możliwości wybrałeś najgorszą – sarknęła Eulalia jeszcze rano.

– Ciszej mów, proszę – błagał ojciec. – Pan Marcinkowski to bardzo miły człowiek, powiedział, że nic się nie stało. Nie wziął od nas pieniędzy i jeszcze nas poczęstował swoim winkiem.

– I chcesz mi powiedzieć, że tak się strąbiliście jego sikaczem?
– Też – Leszek czknął. – Z wdzięcznością przyjęli z Bazylim kawę podaną przez Mirona. – Ale chyba bardziej się strąbiliśmy śliwowicą.
– Mnie to chyba ta becherowka zaszkodziła. Jeszcze teraz czuję te ziółka – narzekał Bazyli.
– Tato, wstyd mi przynosisz – mruknął Kuba znad kubka kawy.
– Przykro mi, synu. Ale jestem na urlopie, więc może mi wybaczysz odrobinę zapomnienia.
– Nic się nie stało – posumował Miron. – Babcia Joanna zasugerowałaby żurek albo ogórkową.
– Już lecę, żeby im teraz zupy na kaca gotować. Alka-zelcer i pod zimny prysznic – zaordynowała gospodyni.
Jednak skruszone miny zmiękczyły jej serce i wystarała się u Rafalskiej o zsiadłe mleko.

Eulalia nie miała okazji za długo rozpamiętywać ani przewinień ojca, ani własnych traumatycznych przeżyć, bo miała pełne ręce roboty. Wciąż przybywało jej pacjentów. Odwiedzali ją nie tylko mieszkańcy Wioski Małej i sąsiedzi zza lasu. Opinia o niej dotarła również do Miasteczka, gdzie wywołała spore zamieszanie. Tamtejszy weterynarz stracił wielu klientów, gdy ludzie dowiedzieli się, że w pobliżu jest ktoś oddany zwierzętom, dyspozycyjny, kompetentny i do tego zawsze trzeźwy. Jeden po drugim rezygnowali z jego usług. Dla pani doktor uznanie wiązało się z coraz większym tłokiem w gabinecie i coraz częstszymi wyjazdami w teren. Nadal uczestniczył w nich osobisty ochroniarz. Zdarzały się drobne nieporozumienia, kiedy razem zajeżdżali do pacjenta, a wzywający nie wiedział, kto jest kim i do kogo ma się zwracać w sprawie leczenia. Miron wciąż czujny ani razu nie odnotował żadnego sygnału, świadczącego choćby o cieniu zagrożenia.

Do czasu.

Minał prawie tydzień idealnego spokoju. Wychodzili z apteki, gdzie zakupili maść z antybiotykiem i środki opatrunkowe, których już brakowało w lecznicy, gdy zobaczyli, że auto Eulalii ma poprzecinane wszystkie opony. Zaparkowali na skraju placu, w cieniu, by uchronić wóz przed nagraniem. Trudno więc było spodziewać się świadków.

Miron uważnie rozejrzał się po okolicy i sięgnął po telefon. Konrad nie czekał na szczegóły.

– I tak chciałem z wami porozmawiać, bo mam świeże informacje. Będę wieczorem i, jeśli nie masz jakichś planów, to mogę zostać na weekend.

Ponieważ Konrad miał przenoćować w dotychczasowym pokoju Mirona, całe towarzystwo, złaknione nowych wieści, zgromadziło się u Nowaczek. Trochę się zdziwił, widząc audytorium, ale doskonale znał udział wszystkich uczestników spotkania w rozpracowaniu przestępców, więc nie miał obiekcji, żeby usłyszeli nowiny.

– Ta wieś przyciąga zbiorów wszelkiej maści – orzekł.

– Ta wieś ma też inne zmartwienia. Cztery wieki trwają – oznajmiła na to Babcia.

– Niech się pan nie przejmuj – lekceważąco o sytuacji wyraziła się Zuzka. – Jakoś to przeżyjemy. Jedynie moi rodzice nie dali rady stawić czoła rzeczywistości, więc i tym razem nie będziemy ich niepokoić.

– Wolałabym, żeby nie przybywało poszkodowanych, bo ten salon nie jest z gumy – zauważyła Babcia.

Wszyscy rozejrzeli się po salonie Nowaczek. Zgromadziło się tu tego wieczora 11 osób, a i tak nie byli to wszyscy zainteresowani. Tata Janka z mamą Jolki wybrali oglądanie ulubionego serialu, odmawiając udziału w zebraniu. I bez nich towarzystwo nie zmieściło się przy kuchennym stole, który do tej pory był centrum prywatnych spotkań domowników.

– Streszczaj, chłopcze – Babcia zachęciła Konrada do opowiadania. – Tylko bez cenzury. My wszystko zniesiemy.

– Mów – potwierdził Miron.

– Od czego by tu...

– Zacznij w dowolnym punkcie, potem samo pójdzie – przynagliła Eulalia.

– To może zaczniemy od dzisiejszego zdarzenia. Jak należało się tego spodziewać, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Kamery monitoringu do tego miejsca nie sięgają, ale przejrzymy sąsiedzkie. Trochę to potrwa, bo teraz każdy czuje się prawnikiem i zamiast od razu pomagać, pyta o nakaz. Czyli potrzebna cierpliwość.

– I figę znajdziecie – Eulalia miała wyrobione zdanie o skuteczności służb.

– A ta druga sprawa? Ten napad? – Miron poruszył inną kwestię.

– Najważniejsze w tym wszystkim, że wiemy, kto wam te wszystkie przygody zafundował – wreszcie ruszył z referowaniem Konrad.

– Mafia? Jakieś niedobitki? – dopytywał Artur.

– Nie...

– No i całe szczęście – odetchnęła Jolka. – Już się bałam, że jeszcze jacyś łażą na wolności.

– Wiedziałem – zatarł ręce Artur.

– No co wy, przecież wiadomo było, że wszyscy siedzą – dorzuciła Zuzka.

– Nie przeszkadzajcie – wtrącił się Jasiek. – Dajcie w końcu człowiekowi coś powiedzieć.

– Dziękuję – skłonił się Konrad i kontynuował. – O tę grupę przestępczą, w której zatrzymaniu mieli państwo swój udział, możecie być całkiem spokojni. Jedyną osobą z nimi związaną, która jest na wolności, jest niejaka Małgorzata Zatopek.

– Ale przecież to nie ona tu grasowała. Nasłała kogoś? – Babcia nazbyt szybko wyciągała wnioski.

– Poniekąd...

– A to wredna suka – wyrwało się Jolce.

– Zatopkowa wiedziała o udziale męża w działalności organizacji i mogła się spodziewać, że prędzej czy później ktoś się zgłosi po depozyt.

– Znaczy, jakiś jest?! – bardziej stwierdził niż spytał Leszek.

– W rzeczy samej – przytaknął Konrad. – Tylko pani Małgorzata nie ma bladego pojęcia, gdzie. Mąż uznał, że im mniej wie, tym zdrowiej dla niej i nie wtajemniczał jej w większość swoich interesów. A już na pewno, znając plotkarskie zapędy żony, nie powierzyłby jej takiej informacji jak miejsce przechowywania mafijnych fantów. Do dziś nie wiemy, czy amnezję symuluje, czy ma. Chyba wymyślił sobie, że jeśli wszyscy uwierzą, że stracił pamięć, będzie bezpieczny. Przed kim? Może przed tymi, którzy wyjdą na wolność przed nim.

– Cholera, to fakt, w końcu wyjdą – zadumał się Janek.

– Tego samego przestraszyła się Zatopkowa. A że miała ograniczone pojęcie o strukturze organizacji, więc nie była pewna, czy ktoś nie złoży jej wizyty już teraz. Bardziej zależało jej na własnej skórze niż na ewentualnym bogactwie, do którego nie miała dostępu.

– Też bym miała w dupie skarby, gdyby mi mafia wisiała na karku – podzieliła się swoimi spostrzeżeniami Jolka.

– I co? – przynaglił niecierpliwy Artur.

– Postanowiła sprzedać dom i uciec najdalej, jak się da.

– A Zatopek jej na to pozwolił? – zdziwił się Miron. – Przecież u notariusza miała jego pełnomocnictwo do sprzedaży. To znaczy... – dodał po namyśle – że albo tego depozytu nie ma w domu, albo nie istnieje.

– W domu nie ma – odezwał się dotąd skromnie siedzący Kuba. – Nie przeskanowałem tylko poddasza, ale mówiliście, że tam pozrywali deski i nic nie ma. Jakby co, to jeszcze do końca weekendu tu jesteśmy, mogę się przelecieć po ścianach. I żeby nie było, garaż też sprawdziłem.

– Kiedy ty to wszystko zdążyłeś przebadać? – Leszek był pełen podziwu.

– W czasie waszych wycieczek. Z samych nudów się bawiłem. Pani Eulalia, może pani mieć kłopoty z elektryką, bo jakieś brakoroby kładły kable. Rozrysuję pani, jak przebiegają.

– Kubuś – uciszył go ojciec. – Daj spokój. Nie teraz.

– Czyli dom czysty? – zastanowiła się Eulalia. – Ale mimo to szukają. Czyli kto?

– Właśnie do tego dochodzę – przebił się do głosu Konrad. – Zatopkowej zależało, żeby jak najszybciej spieniężyć dom, bo miała już przemyślaną ucieczkę za granicę...

– To nie miała nadzoru? – wtrąciła Babcia.

– Miała, ale również miała go w poważaniu. Bardziej od policji bała się... Sama nie wiedziała, kogo ma się bać, ale się bała. Nikomu nie mogła zaufać, a zależało jej na pośpiechu. Szczególnie po pobiciu jej męża.

– To jak ktoś ma nadzór, to nie zatrzymują mu paszportu? – spytała Zuzka.

– Paszport nie był jej potrzebny, bo planowała ucieczkę do Włoch. W obrębie Europy mamy wolny przepływ ludzi i pieniędzy.

– I co? Uciekła? – Była ciekawa Jolka.

– Tak, ale nie na długo. Już ją tu mamy z powrotem. Interpol ją ściągnął.

– Ale co z tą sprzedają domu? – wróciła do tematu Babcia.

– Ano właśnie. Tu leży, że tak powiem, pies. – Wszyscy zastygli w niemym oczekiwaniu. – Gdyby po prostu dała ogłoszenie, to miałyby na głowie wszystkich chętnych świata. Przynajmniej tak wtedy myślała. Więc zwierzyła się swojemu dalszemu kuzynowi, który nie dość, że ma różne powiązania, to sam czka forszą. I, pani Eulalia, proszę zgadnąć, o kogo chodzi?

Wszystkie oczy skierowały się na panią weterynarz.

– Ja? – spytała zdziwiona. – A niby skąd miałabym wiedzieć?

– Bo to przyszły teść pani byłego męża.

– Wiedziałam, że on ma z tym coś wspólnego. Bandyta!

– No, nie całkiem ma pani rację – pohamował jej zapędy w oskarżaniu. – Całą jego winą było to, że dał się namówić córce na kupno pani domu.

– Nie rozumiem – Miron głębiej usiadł na krześle.

– Ich rozmowa toczyła się, kiedy cała rodzina była w domu. Dom duży, każdy w innym kącie i nie wiadomo, gdzie i skąd co słycać. Jeden z synów teścia podслуchał zwierzenia weterynarzowej. Zatopkowa wylała wiadro łez i błagała o pomoc.

– To ilu synów ma ten teść? – Nie wiedzieć czemu akurat tym zainteresowała się Babcia.

– Dwóch synów i córkę. I to właśnie dzieci... Hmm... ładne mi dzieci. W każdym razie młodzi wymyślili sobie, że przejmą majątek mafii.

– Ale ich było więcej niż dwóch – zauważył Miron. – I żadnej kobiety – dodał.

– Zgadza się – potwierdziła Eulalia. – Jednych dwóch było, jak mi ogródek kopali, a drugich dwóch było, jak grozili nam bronią.

– Spokojnie, wszystko wytłumaczę – Konrad uniósł ręce. – Jak masz na oku niezły interes albo łatwą forszę, to o współników nietrudno. Braciszkiwie przygruchali sobie kolesiów. Ale najpierw córca wyciągnęła od ojca klucze od tego mieszkania, że niby zrobi porządek po kuzynce. Przekazała je braciom, którzy mieli przeszukać chałupę. Możliwe, że zdążyliby posprzątać po demolce, tylko trochę się pospieszyła z tą kłótnią, dzięki której pani Eulalia przejęła przedwcześnie dom. O ile w środku z grubsza przewąchali, to nie wyrobili się z ogrodem. Pierwszych dwóch, pozostając przy tym określeniu, to jeden brat ze swoim kumplem. Drugich dwóch, to drugi ze swoim.

– I spokojnie mogli tu łązić, pokazując gęby – wtrąciła Eulalia – bo ja ich nigdy wcześniej nie wiedziałam. W ogóle nikogo z nich... Poza Zatopkową. Tylko ona była ze mną u notariusza, a cała

transakcja z opłaceniem domu odbyła się przez telefon. Znaczy ona dzwoniła. Ja właściwie miałam tylko złożyć podpis pod aktem kupna.

– Też bym tak chciała – mruknęła Jolka.

– Chyba nie całkiem tak – zasugerował Artur.

– No nie. Jeśli chodzi o konsekwencje, to oczywiście, że nie. Ale żeby mi tak ktoś dom sprezentował, to też bym nie pogardziła.

– Też się ucieszyłam. Głupia! – sarknęła Eulalia.

– No dobrze, ale jak dotarliście do tych pierwszych? – zainteresował się Jasiek.

– To było łatwe. W każdym razie tego kumpla namierzaliśmy już na drugi dzień. Przecież idiota zjedził własnym autem i do tego zostawił w szpitalu dokumenty. Trochę trwało, zanim go znaleźliśmy, bo nie przebywał pod adresem zameldowania. Zgarnęli go u nowej dziewczyny. Kolegę wydał dopiero, jak drudzy wpadli.

– A narzeczona? Znaczy córka? – spytała Eulalia.

– Jej udział był raczej nikły. Zwietrzyła okazję, żeby pozbyć się rywalki i dać zarobić braciom. Sama rączek nie brudziła.

– Ale jak oni to zrobili, że w takiej wsi jak nasza nikt nic nie widział? – zastanawiał się Jasiek.

– Wszystko odbywało się wczesną wiosną. Dzień krótki. Przyjeżdżali po zmroku, szczerlnie zasłonili okna. A że ogrodzenie wysokie i ogród zarośnięty, a poza tym nikt się pustym domem nie interesował... dwie noce im wystarczyły.

– A który z nich do mnie strzelał?

Wszyscy zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Hmm... no cóż. Nikt się nie przyznał. Przeszukaliśmy mieszkania i samochody, ale broni nie znaleźliśmy.

– No przecież żaden się nie przyzna – zawyrokował Miron. – Co innego przeszukiwać dom, podszycać się pod ogrodników czy przelażyć przez płot, kopać, węszyć, nawet grozić atrapą broni, a co innego usiłowanie zabójstwa. Nie wymagajcie od nich, żeby któryś zgłosił się na ochotnika.

– Panie Mironie – odezwał się cichy dotychczas Bazyl. – Ale czy gdyby oni mieli ostrą broń, z której strzelali do pani Eulalii, to czy przyszliby zabrać psią trumnę... znaczy to znalezisko, co wszyscy myśleliśmy, że to skarb... z plastikowym pistoletem? Przecież ten pistolecik musieli gdzieś zdobyć przed akcją. Po co, jeśli mieliby dostęp do prawdziwego?

Miron wymienił spojrzenia z Konradem. Faktycznie.

– Czyli kto strzelał?

Życie musiało się toczyć, chociaż zagadki nie wyjaśniono.

Kuba nie mógł sobie pozwolić na przedłużenie urlopu i wraz z Bazylim niepokieszeni wrócili do Stolicy. Leszek zachwycony okolicą, zauroczony gościnnością córki i, do czego by się za nic nie przyznał, również Babcia, postanowił zostać. Sprawa pociętych opon i zamachu na Eulię wciąż wisiała nad ich głowami. Nikt nie spodziewał się zadowalających wyników przeglądu monitoringu, bo w miasteczku było niewiele kamer. Miejscowi sklepikarze i rzemieślnicy oszczędzali na takich rozwiązaniach. Nikt się temu nie dziwił, bo zazwyczaj spokojne uliczki z wszystkich przestępstw całego świata widziały jedynie udział w bójce. Krewkość mieszkańców objawiała się szczególnie, kiedy kalendarz wskazywał święta albo popularne imieniny. Od czasu do czasu ktoś przeszedł przez jezdnię nie po pasach albo kierowca zaparkował na zakazie. Pocięcie opon w aucie Eulalii było czymś niebywałym i potraktowano je jako groźbę. Miron zatem nadal nie mógł zrezygnować z funkcji ochroniarza.

Pojechali więc razem do żrebnej klaczy. W przepiękne miejsce. Właściciele konia prowadzili gospodarstwo agroturystyczne i utrzymywali małe zoo jako atrakcję dla dzieciaków z miasta.

Cudownie i estetycznie zagospodarowane obejście. Kwiaty w oknach i na werandzie, trawka wykoszona, zwierzęta zadbane, gospodarze uśmiechnięci i serdeczni. Nic dziwnego, że na otoczonym zeribą miniparkingu stało kilka aut dobrych marek.

Żeby nie wzbudzać zainteresowania gości, Eulalia z Mironem dyskretnie przemknęli do stajni.

– Nie wypuszczałam jej dzisiaj, wiedząc, że państwo przyjadą.

– Zobaczmy panienkę – Eulalia przystąpiła do oględzin.

– To już nie panienka – sprostowała właścicielka.

Zwierzę, jak to kobieta w ciąży, na widok obcych zrobiło się nerwowe. Mimo uspokajającego głosu i gestów Eulalii wciąż nie okazywała zaufania. W nerwach wciąż się kręciła, aż w końcu niechcący nastąpiła weterynarce na stopę. Ból przysłonił Eulalii świat. Nawet nie mogła mieć do klaczki pretensji, bo doskonale rozumiała, że ciężarne zwierzę chroni siebie i potomstwo. Opanowując cisnące się łzy, lekarka dokończyła badanie, przekazała gospodyni swoje zalecenia i kuśtykając, wróciła do samochodu.

– Może złamana? – zaniepokoił się Miron.

– Raczej nie, ale porządnie stłuczona.

– To chyba koniec wizyt na dziś?

– I tak ta była ostatnia.

Zanim zajechali do domu, noga spuchła jak balon, aż nie mieściła się w tenisówce.

– Cholera, powinnam chodzić w spawalniczych butach, a nie w szmaciakach. Sama sobie jestem winna.

Miron doprowadził Eulalię do kanapy i zatroszczył się o zabezpieczenie lekarskich narzędzi z samochodu.

– Muszę sobie zrobić jakiś kompres.

Opatrzona i znieczulona usiadła z nogą na podwyższeniu.

– A rodzony ojciec zamiast zajmować się córką, ugania się po wsi za spółniczkami.

– Joanna chodzi w spodniach – sprostował Miron. – Nie bądź psem ogrodnika. Przecież ja tu jestem. Powiedz, czego ci potrzeba, to załatwię. Tata nie jest ci teraz do niczego potrzebny.

– Jest tu ktoś? – od progu dało się słyszeć głos Konrada.

– Cześć, bracie – powitał go Miron. – Stęskniłeś się za nami? Co cię sprowadza?

– Przyprowadziłem wam kogoś – za Konradem stał jakiś obcy mężczyzna. – Miałem po drodze i postanowiłem przedstawić tego pana Eulalii.

– Wejdźcie, proszę. Eulalia miała dziś mały wypadek – Miron przepuścił gości w przejściu.

– Znowu? – zdziwił się obcy.

– Jak to, znowu? – Eulalia podała rękę na powitanie. – Generalnie nie jestem jakąś łamagą.

– Chciałem panią bardzo serdecznie przeprosić – bąknął nieznajomy i wyciągnął w stronę Joanny ogromny bukiet, skrywany do tej pory za plecami.

– Mnie? Za co?

– Bo to ja do pani strzelałem... To znaczy nie do pani. No właśnie... Bo to był wypadek. Potknąłem się i broń mi wypadła.

– Jaka broń, o co chodzi? – Eulalia była zdezorientowana. Niewykluczone, że przyczyniły się do tego środki przeciwbólowe, którymi się nafażerowała.

– Tam, w lesie, jakiś czas temu. Dokładnie...

– Chce pan powiedzieć, że to była zbłąkana kula i Eulalii nic nie grozi? – odetchnął Miron.

– Oczywiście, że nie grozi... Jak to, nic nie grozi? To znaczy, obiecuję, że nie będzie więcej zbłąkanych kul. Przecież ja nie specjalnie... Wyobrażam sobie, jak bardzo musiała się pani

przestraszyć. Mam nadzieję, że pani mi wybaczy.

– Czyli pan strzelał... Niechący... I nikt nie dybie na moje życie? – upewniała się Eulalia.

– W każdym razie ja na pewno nie – zaręczył nieznajomy.

– Słyszeliście? Jestem bezpieczna! – Uśmiech zagościł na jej twarzy... i zaraz zgasł. – A samochód?

– Nie rozumiem – gość przechylił głowę, jakby mu to miało pomóc w przyswojeniu sensu pytania.

– Czy samochód też pan mi zniszczył?

– Ależ broń Boże! Ja jestem porządnym, kulturalnym człowiekiem. W życiu nie dopuściłbym się takiego występku.

– Ale pan do mnie strzelał.

– Już tłumaczyłem. Przecież nie do pani. Jak jeszcze mogę się wytłumaczyć i błagać o wybaczenie? Jak odpokutować?

– Ależ nie trzeba – zapewnił go Miron. – Rozumiemy, że wypadki czasami się zdarzają. Czy napije się pan z nami herbaty?

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale przyjechałem tylko wyjaśnić sytuację i bardzo przeprosić. Moja żona wybiera się do teściowej i zobowiązałem się ją zawieźć. Czy mogę liczyć na pani wielkoduszność?

– Nie ma sprawy – machnęła ręką Eulalia. – Przeprosiny przyjęte.

Jeszcze pozwoliła ucałować swoją dłoń i za nieznajomym zamknęły się drzwi.

– Weź ode mnie ten wiecheć – podała Mironowi kwiaty.

– Piękny bukiet – orzekł.

Po chwili zamieszania związanego z szukaniem wazonu i napełnianiem go wodą Miron wreszcie mógł zająć się przyjaciелеm.

– To jak to było z tym strzelaniem? – spytał.

– Długo by mówić... Masz jakąś wodę, bo ja naprawdę po drodze z akcji. Dość dynamicznie dziś było. Nabiegałem się za małolatami. Gdyby chodziło o dorosłych, to już bym strzelał. Za stary jestem na maratony. Dzięki – przyjął z rąk Mirona szklankę mineralnej. – Bieg z przeszkodami nam zafundowali. Najgorsze, że smarkacze dają się wkręcać w przestępstwa dorosłych i marnują sobie życie. Co tak patrzysz? Antynarkotykowych wyręczałem.

– Pewnie jesteś głodny – Eulalia miała odruch, żeby wstać i przygotować gościowi coś do jedzenia, ale Miron ją powstrzymał.

– Siedź. Poradzimy sobie. A ty – zwrócił się do kolegi – chodź do kuchni, powiesz mi, na co masz ochotę i dokończysz relacje.

– Tylko mówcie głośno, bo ja też chcę słyszeć – zastrzegła Eulalia.

W czasie kiedy Miron odgrzewał Konradowi młodą kapustę na żeberkach, ten opowiadał, co go tu przynęcało.

– Trochę nam zeszło z tymi badaniami balistycznymi. Wyobraźcie sobie, nie dość, że zasypało laboratorium robotą, bo to i ten napad na bank, i zrobili sobie ostre strzelanie w ramach porachunków na osiedlu... mogę tu umyć ręce?... to jeszcze mieliśmy mały pożar. Upał za oknem, więc wentylatory pracowały na pełnych obrotach, a że wszystkie na jednym rozgałęziaczu, to się sfajczył. Coś tam łatwopalnego, nie wnikałem co, stało obok i się zajęło. Wpadł do pomieszczenia taki nasz twardogłowy informatyk, co to najpierw robi, potem myśli, złapał gaśnicę i tak po wsium. Potraktował pianą gaśniczą wszystko, co było na wierzchu. Oberwało się i jemu, i balistykom, bo zostawili dowody bez nadzoru. Jeden twierdził, że go przypiliło i nie zdążył zamknąć drzwi. Nowe odczynniki całkiem do wyrzucenia, część dokumentacji nie do odtworzenia, część badań trzeba powtarzać, a nie zawsze jest to możliwe. Jednym słowem armagedon.

– Eulalia, tobie też nałożyć? – usłyszała z kuchni.

– Ale troszeczkę.

– Wolisz z chlebem czy z bułką?

– Jedną kromeczkę tylko! – zastrzegła.

Miron wniósł talerze i zasiedli w salonie do stołu. Pomiędzy kęsami przyjacieli referował dalej.

– Ale ten wasz pocisk udało się w końcu zbadać. Damian miał oko, że półpłaszczowy i potwierdzono, że pochodził ze sztucera. Broń rejestrowana, legalna, należąca do niejakiego Andrzeja Wojnickiego. Znacze?

– Skąd mielibyśmy go znać? Nie przypominam sobie – Eulalia szukała w pamięci nazwiska.

– No to już go znać – Konrad uśmiechnął się zadowolony. – Poniekąd to wasz sąsiad – wyjaśnił zagadkowo, sięgając po kolejny kawałek chleba. – To ten – wskazał wzrokiem zamknięte drzwi. – Mieszka za lasem. Taki charakterystyczny zielony dom z czarną dachówką. Myśliwy. Wszystkie pozwolenia w porządku, badania aktualne, broń po bożemu rokrocznie przestrzelana dla porównania i właśnie się przydało.

– Ale dlaczego do mnie strzelał? – Eulalia nie mogła uwierzyć, że obcy człowiek czyhał na jej życie.

– No przecież ci wytłumaczył. Strzelił, ale nie do ciebie – stwierdził Konrad. – A właściwie nie strzelił, tylko broń „sama strzeliła”. Sprawdziliśmy.

– Jak można sprawdzić, że nie do mnie strzelał, jeśli to ja bym zarobiła?

– Gdyby chodziło o żołnierza, to odpowiadałby za nieostrożne obchodzenie się z bronią. Ale o cywilach w kodeksie karnym nic nie ma. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało.

– Ale było o włos.

– Fakt. Miałaś szczęście – przytaknął Konrad.

– I jak to? Tak można sobie chodzić luzem po lesie i strzelać na oślep i nic?

– Nie do końca. W każdym razie nie było to „chodzenie luzem”, tylko zwykłe polowanie.

– Jakie zwykłe polowanie? Polowanie o tej porze? Przecież to było w okresie, kiedy wszystkie dzikie zwierzęta mają małe.

– Dzikie nie mają okresu ochronnego. Ze względu na rozprzestrzenianie się ASF od dłuższego już czasu jest możliwy całoroczny odstrzał.

– Dziiiiikiiii... – westchnął Miron. – Cały czas coś mi w głowie w związku z nimi świtało i nie mogłem skojarzyć. Jasne! Ale sprawdziłeś tego faceta dokładnie?

– Nie ja osobiście, bo przydzielili mnie do czegoś innego, ale go przetrzepali. Pełen legal. Wpisał wszystko co trzeba w tak zwaną „Księgę ewidencji pobytu myśliwych na polowaniu indywidualnym” – wyrecytował tę nazwę z pamięci. – Data, miejsce, znaczy obszar polowania, numer zezwolenia, a po powrocie liczba oddanych strzałów. Łącznie z tym twoim – wymownie spojrzął na Eulalię. – I uprzedzając pytanie, zezwolenie też miał w porządku. Wydane na pół roku i ważne do września. Sprawdziliśmy w Okręgowym Związku Łowieckim. Ich koło łowieckie przykłada dużą wagę do formalności.

– Dzięki. Widocznie nie tak dużą, skoro chcieli mnie zabić.

– Eulalia, NIE CHCIELI – podkreślił Miron. – JESTEŚ BEZPIECZNA.

– A samochód?

Eulalia obolała i oszołomiona lekami znieczulającymi zdecydowała się wcześniej położyć. Noga rwała ją nie do zniesienia i nie zapowiadało się, że opuchlizna od razu zacznie schodzić. Miron pomógł jej przygotować łóżko i troskliwie ułożył do snu.

– Będę musiała dorobić wam klucze – mruknęła spod kołdry. – Nie można zamknąć drzwi, póki ojciec nie wróci, a przy otwartych to ja się boję.

– Spokojnie, jestem tutaj i obiecuję, że jak tata wróci, wszystko pozamykamy. – Cmoknął ją w czoło i zostawił samą.

Zszedł na dół i włączył telewizor. Co chwilę powtarzające się reklamy były tak nudne, że go uśpiły.

Obudziło go trzaśnięcie drzwiami, gdy wrócił Leszek. Wszedł, starając się zachować jak najciszej. Zobaczył Mirona siedzącego na kanapie i zdziwił się jego obecnością.

– Myślałem, że już śpisz – stwierdził.

– Czekam, żeby za tobą zamknąć drzwi – Miron stłumił ziewanie.

– Przecież sam mógłbym to zrobić. Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu nie możesz spać.

– Właściwie to mogę. Właśnie zasnąłem. Tylko nie mów Eulalii, bo straci do mnie zaufanie.

– Żeby ona do ciebie straciła zaufanie, to musiałbyś ją okraść, wykorzystała, a na koniec zamordować. Powiedz mi, chłopcze, czym sobie na to zasłużyłeś?

– Hmm... – nie zdążył zastanowić się Miron.

– Bo odkąd po raz pierwszy zobaczyłem Joasię, staram się jej nadskakiwać, krążyć i krążyć, pyłki spod nóg usuwam, ale jakoś nie widzę postępów na drodze po jej względy. Chyba wyszedłem z wprawy. No cóż, zestarzała się maszyna. Zardzewiałem.

– Nie ty zardzewiałeś, tylko Babcia Joanna to twarda sztuka.

– Nie napiłbyś się piwka? – Leszek przeszedł do kuchni i zajął do lodówki. – Cały dzień miałem ochotę, tylko nie chciałem, żeby wyczuła. Wiesz, co innego wypić do kawy kieliszek koniaku, a co innego roztaćzać przy kobiecie wonie browaru.

Miron wyjął z serwantki pokale. Panowie wzniesli toast.

– Za kobiety. Żeby nas kochały – wygłosił życzenie Lech.

– I żeby zdrowe były – dodał Miron.

– Czy Joannie coś dolega? – zaniepokoił się adorator.

– Z tego co wiem, odpukać, jest zdrowa. W zeszłym roku miała jakiś epizod z utratą przytomności, ale myślę, że to wrażliwość, a nie choroba. To było wtedy, kiedy mafia włamała się do ich domu i narobili bałaganu. Podłóg nie zrywali, ale i bez tego wyglądało to ponoć strasznie.

– Dzielna kobieta – wyraził zachwyt Leszek.

– Mówiąc o zdrowiu, miałem na myśli Eulalię – przyznał Miron.

– Eulalię? A co z nią? Zawsze była zdrowa jak koń.

– Ano, dopóki jej kobyła nie stanęła na nodze. Nie chce się do tego przyznać, ale może być źle.

– Z czego to wnioskujesz?

– Po pierwsze, widziałem nogę. Pękata jak gąsior na wino. Po drugie tabletki, które zażyła, powalilyby słonia. Ale oczywiście „nic mi nie jest” – przedrzeźniał.

– Może rzeczywiście nic jej nie jest?

– To dlaczego śpi o tej porze?

– Hmm... Tak wcześniej to już nie jest – zauważył Lech. – Zmyj szklanki i też się kładę.

– Zostaw, ja się tym zajmę.

Miron spędził noc na kanapie w salonie. Rano okazało się, że opuchlizna tylko nieznacznie zeszła, za to zaczynała ujawniać się wylew.

– Tu potrzebny jest lekarz – zdecydował Lech.

– Jeśli nie zauważyłeś w tym pokoju dwóch lekarzy, to zmień okulary – zżymała się Eulalia.

– Ja ci mogę najwyżej poród odebrać – mruknął Leszek.

– Bądź rozsądna – próbował załagodzić konflikt Miron. – Przecież trzeba to prześwietlić i niewykłuczone, że wsadzić w gips.

– Zajrzyj do lokalu za ścianą. Masz tam rentgen, a jak trzeba to i gips.

– Lekarzu, wylecz się sam – Lech miał dosyć uporu córki. – A nie pomyślałaś, że to może wymagać zoperowania? Co to, stan wojenny, żeby weterynarze ludzi leczyli? Myślałem, że moja córka ma więcej rozsądku. Ubieraj się – zabrzmiało to kategorycznie. – Możesz zdecydować tylko, kto cię zawiezie. Wybieraj.

Padło na Mirona. Na ostrym dyżurze okazało się, że Leszek miał rację, naciskając.

– Złamanie kości łódkowatej – obwieścił ortopeda po obejrzeniu prześwietlenia.

– Proszę pokazać – Eulalia chciała mu wyrwać kliszę, ale na to nie pozwolił. Pokazał jej obraz pod światło.

– Widzi pani? Tu i tu. Ma pani szczęście, bez odprysków. To co? Gipsik?

– Tylko nie beton. Jeśli można, to syntetyczny – poprosiła zrezygnowana.

– Pod warunkiem że pani obieca, że nie będzie obciążała nogi. A pan tego dopilnuje – zwrócił się do Mirona.

Miron uniósł dwa palce.

– Obiecuję solennie.

Z niebieskim gipsem, podobnym do tego, który zakładała zwierzakom, Eulalia kuśtykała na jednej nodze wsparta na ramieniu Mirona. Kiedy przechodzili przez parking, zatrzymała się.

– Chcesz odpocząć? – spytał.

– Nie, tylko oprócz tego, że mam złamaną nogę, porobiło mi się coś z głową. Ile razy teraz podchodzę do samochodu, sprawdzam, czy ma całe opony.

Miron westchnął.

– Ostatnio dużo na ciebie spadło. Chyba trzeba oderwać się trochę od tego stresu. Może pomyśl o jakimś wyjeździe?

– I zostawię lecznicę, zwierzaki, dom i niedokończone sprawy?

– Zawsze będą jakieś chore zwierzęta, a ty nie możesz uzależniać swojego życia i zdrowia od kaczek i koni.

– Jeśli nie zauważyłeś, to ja z nich żyję, a to właśnie znaczy, że moje życie ZALEŻY od kaczek i koni, kotów, świń i kanarków.

Wsiadli do samochodu. Miron zaczął, aż Eulalia upora się z pasami i ruszył.

– Gdyby nie ty, tobym całkiem zwariowała. Staram się trzymać w kupie i udaję przed ojcem beztroskę, ale przyznam ci się, że od pierwszego dnia w wiosce żyję w ciągłym napięciu. Do tego częstotliwość odczuwania strachu przerasta moje umiejętności opanowania go. Proponowaliście mi psychologa i zaczynam coraz poważniej myśleć, że przydałby się.

– Świetnie sobie radzisz. Poza tym okazuje się, że wszystkie twoje przygody mają pozytywne zakończenie. Jeśli aresztowano synów twojego teścia... Zaraz, jak to było z tymi koligacjami? Synów...

– Synów przyszłego teścia mojego byłego męża? – Eulalia mimo woli się roześmiała. – Widzisz, nawet w takiej sytuacji potrafisz rozładować atmosferę. Jesteś w tym lepszy niż wszyscy psychologowie świata razem wzięci. I pewnie też bym się śmiała, gdyby nie to, że została nam jeszcze nierozwikłana sprawa dewastacji samochodu.

– Pewnie okaże się, że to jakieś szukające wrażeń małolaty...

Miron nie zdążył skończyć zdania, bo dojechali przed dom. Już z daleka widać było na drzwiach lecznicy spływający farbą koślawy napis:

SUKO ODDAWAJ CO NIE TWOJE

– Małolaty, mówisz?...

– Nie było mnie może z godzinę – sumitował się Leszek. – No, może dwie.

– Nie rób sobie wyrzutów – uspokajał go Miron. – Może dobrze, że cię nie było, bo nie wiadomo, kto i z jakimi zamiarami tu przyszedł. Wyżył się na drzwiach. I to wystarczy. Trzeba to zamalować. Niech Eulalia na to nie patrzy. Może Artur będzie miał jakąś resztkę farby. A jak nie, to pojedę zaraz z powrotem do Miasteczka.

– Ja pojedę. Jeśli tu jest jakieś zagrożenie, to ty się bardziej przydasz na miejscu. Ja już jestem pacyfistą, chyba nie potrafiłbym walczyć. Chociaż nie wiem, co bym draniowi zrobił, gdyby skrzywdził moją córkę.

Okazało się, że nie ma potrzeby jechać do miasta. Artur, gdy tylko usłyszał, co się stało, w ciągu pół godziny pojawił się z koniecznym wyposażeniem i niezłą zadyszka.

– Musiałem zabezpieczyć robotę, bo jakby komuś na głowę spadło, to byłoby nieszczęście. Trochę mi zeszło. Sorry – usprawiedliwiał się w biegu. – Kurwa, niezły gips! – gwizdnął na widok malowidła. – Jak ona to przyjęła?

– Nie pytaj. Wywiozłem ją do Nowaczek, byle dalej od tego bałaganu. Dzieciaków nie ma w świetlicy, bo woła w taki upał tapłać się w stawie Marcinkowskiego, czyli będzie tam miała spokój i dziewczyny się nią zajmą.

– Co za...! Miałem się nie wyrażać. Chyba sobie jeszcze jedną gumkę założę na drugą rękę, żeby się odzwyczajając od przeklinania. Z progę to się tę farbę zeszkrobie, drzwi zamalujemy, ale z kłamki to by trzeba było rozpuszczalnikiem. Niedużo tego, to kilka kropli wystarczy.

– Powinno się coś znaleźć. Zaczekaj.

Kiedy Miron wrócił z buteleczką zmywacza do paznokci, zastał Artura ze skupioną miną rozmazującego między palcami nie do końca zastygłą grudką farby z napisu.

– Nad czym tak dumasz? – spytał.

– Gdzieś już taki kolor widziałem.

– Zielony jak zielony. Pełno wszędzie takiego koloru.

– Ale ten mi się jakoś... Może sobie przypomnę. No dobra – zmienił temat. – To jakie mają być, brązowe, jak były, czy dajemy ten zielony?

– Chyba lepiej, żeby były jak poprzednio, zmiana koloru będzie jej się źle kojarzyła – zdecydował Leszek.

– Zobaczcie, prawie ten sam odcień. Może nie zauważy różnicy.

Tę noc Eulalia spędziła u Nowaczek. Tak dokładniej, to spędziła ją zapłakana, wtulona w objęcia Mirona na kanapie w jego pokoju. Leszek dzielnie postanowił zostać na posterunku. Żeby mu było raźniej, Jasiak przyprowadził mu Ryśka. Zaproponował, że sam też zostanie, ale Lech postanowił wykazać się odwagą. Długo nie musiał być odważny, bo ledwie pozamykał wszystko na cztery spusty, zasiadł z książką w swoim fotelu, a zaczęły mu się kleić oczy.

– Tylko na chwileczkę – usprawiedliwił się przed psem i przyłożył głowę do poduszki. Po chwili na drodze słychać było jego chrapanie.

– Słuchajta, ludzie! Sołtys chcą coś powiedzieć! – uciszał wszystkich zgromadzonych Mostowski.

Zbliżał się kolejny dzień świętego Nikodema, dla Wioski Małej znacząca data – Dzień Prawdy. Kilka miesięcy wszyscy mieszkańcy trenowali uczciwie, żeby oduczyć się kłamania. Jeden drugiego pilnował i nawet w oficjalnych okolicznościach zdarzało się, że sąsiad sąsiadowi mówił „pstryk!”. Starano się wychwytywać z wypowiedzi najdrobniejsze nawet przejęzyczenia, które chociaż ciut przypominały kłamstwo. W szkole wymówka „zapomniałem zeszytu” w obliczu nieodrobionej pracy domowej padała tylko na początku podjętych ćwiczeń. W sklepie „nie mam drobnych, oddam przy okazji” równie szybko zostało wytepięne. Nawet potoczne „nie mam czasu” i „zadzwoń jutro” zasługiwało na

„pstryk!”. Skończyło się „bateria mi padła” i „nic nie było zadane”, a także „będę za pięć minut” i „ja tego nie ruszałem”.

Dzieci bardzo zyskały na kilkumiesięcznej akcji, nie tylko ucząc się prawdopodobności. Dzięki tym ćwiczeniom ich świat stał się bardziej uporządkowany. Od dorosłych zyskały więcej wiedzy, lepiej rozumiały ich decyzje, intencje i postępowanie. Wystarczyło tylko zapytać „dlaczego?” i zaraz dodać „tylko nie kłam!”, żeby dorośli skupili się na rzetelnej odpowiedzi w miejsce dotychczasowego zbywania. Zaowocowało to zwiększeniem wzajemnego zaufania.

Czy jednak kłamstwo zostało całkowicie i trwale wyeliminowane? Czy wszyscy członkowie społeczności opanowali trudną sztukę posługiwania się wyłącznie prawdą? Właśnie zbliżał się czas próby. Trochę strach się jej poddać. Szczególnie że od wyniku tego testu zależy 400 lat starań, nie licząc tego ostatniego roku, a dokładniej ostatnich miesięcy pełnych skupienia, wzajemnej troski i bólu.

– No mówię, cichajta! Leon, później se ustalita, co na kolację. Dajta dojść do głosu sołtysowi.

– Dziękuję państwu bardzo – gdy wszyscy ucichli, sołtys zabrał głos. – Poprosiłem, żebyśmy się tu dziś wszyscy zebrali, bo do świętego Nikodema zostało raptem kilka dni i trzeba ustalić, co z tym dniem robimy.

– A co mamy robić? Trza się pilnować i tyle – jednym zdaniem podsumował Drogowski.

– To oczywiście – potwierdził sołtys Wąsowski. – Tylko co innego PILNOWAĆ, a co innego U-PILNOWAĆ. Jak chłopy myślicie, uda się?

– Toć jak dołożym starań, to co ma się nie udać – zapewnił Czerwiński.

– Ja już ze dwa tygodnie nie skłamałam – pochwaliła się Gołębiwska. – Nawet mnie kobity w pracy pilnują i ostatnio mnie pochwałyły, że mnie od dawna nie wypstrykały.

– A mąż cię, Gołębiwska, wypstrykał? – rzucił niewybredny żarcik Kacper.

Bractwo ryknęło śmiechem.

– Nie czas na śmichy-chichy. Tu poważna sprawa jest. Nie tylko o kłatwę chodzi, ale i o honor wioski – zgromił wszystkich sołtys. – Kto to słyszał, żeby nie dać rady takiemu głupstwu przez tyle lat.

– Dobrze, Wąsowski, mówicie – poparł go Bartkowiak. – Niby się pilnowaliśmy i przodkowie nasi też, ale gównu z takiego pilnowania było. Dopiero obce musiały przyjechać, żeby nas zawstydzić i do roboty zagonić.

– Ależ nie było naszą intencją nikogo zawstydząć – sumitowała się Zuzanna.

– Jasne, że chcieliście dobrze. Dla nas dobrze. To teraz patrzajta ludzie, obcym kobitom chciało się tyle trudu zadać, żeby nas od kłatwy uwolnić. I sponsora latoś załatwiły, żeby wszystkich ze wsi wywiózł na pielgrzymkę do Częstochowy, coby tu kłamstwo nie padło. I o gadzinę naszą się zatroszczyły na czas wyjazdu. I człowiek, co tu został, życie narażał, żeby naszego mienia bronić. Dla nas się narażał. A my mamy w ten jeden dzień udowodnić, że warto było.

– Wišta wio! – powątpiewał Martyniak. – Może nam ta kara nieodroczone i co dała, ale czy wystarczająco? Cztery wieki przyzwyczajęń wytepiłim w... ile? Dwa miesiące?

– No dobra, jesteście pewni, że wytrzymata? – Wrońska postawiła konkretne pytanie.

Po sali przeszedł szum. Można było z niego wywnioskować, że nie wszyscy mają zaufanie do siebie samych.

– Niby ćwiczyliśmy – Chojnacki drapał się po łysinie w zamyśleniu.

– No. Ale czy wyćwiczyliśmy? – Kryśka, żona Leona miała wątpliwości.

– Proszę państwa – przerwał dywagację sołtys. – No przecież nie może być tak, że znów obcy ludzie będą się za nas starać, a my nic. Przecież nie możemy liczyć na to, że podobnie jak w zeszłym roku znajdzie się jakiś sponsor, który wszystkich wywiezie ze wsi, żeby nie było komu tutaj skłamać. Opamiętajcie się, przecież to kosztowało, a i tak zdało się psu na budę.

– Trzeba uczciwie powiedzieć – przyznał Miron – że to nie państwo zawinili, tylko bandyci, którzy teraz siedzą.

– Nie my, nie my... Ale gdybyśmy tu byli, to pewnie my byśmy dali ciała.

Zuzanna z Babcią porozumiały się wzrokiem. Nie musiały użyć słów, żeby ustalić wspólną decyzję.

– Kochani – wtrąciła się Zuzanna. – Jeśli ustalą państwo, że istnieje taka potrzeba... Że ktoś nie jest pewien, czy da radę, to ja mogę porozmawiać z tym zeszlorocznym sponsorem, żeby nam pomógł i w tym roku.

– Możemy go zaprosić, pokazać wieś, ugościć. Niechby nas poznał i zobaczył, komu tak pomaga – zaproponował pan Stanisław.

– Wykluczone – trochę nazbyt energicznie zaprotestowała Zuzanna. Aż Miron uważniej na nią spojrział. – To znaczy – zreflektowała się – on na pewno nie przyjmie zaproszenia, bo zależy mu na anonimowości.

– Ja bym zaryzykował zostanie – zadeklarował się Gołębiewski.

Kilka innych głosów odezwało się:

– Ja też.

– Okej – odezwała się siedząca do tej pory spokojnie Babcia. – Dajcie nam chwilę. Zaraz wrócimy.

I kiwnęła na wnuczkę, Mirona i Eulalię. Za nimi ruszył Jasek, Artur i Jolka. Leszek zerwał się z krzesła, ale kuśtykająca Eulalia go przystopowała.

– Tato, a ty tam po co?

– Nie bądź niemila – zgromiła ją Babcia. – Chodź, Leszku, może pomożesz nam coś urządzić.

Skierowali się do kuchni, ale Babcia zorientowała się, że to pomieszczenie jest przecież otwarte na salon, więc wszyscy będą słyszeć ich naradę. Dokonała więc odwrotu i pociągnęła wszystkich do pokoju Mirona. Nie mieli na czym usiąść, bo kanapa i dwa krzesła to trochę za mało, więc oprócz Eulalii z gipsem solidarnie stali.

– No i co wy na to? – Babcia dała pole do wyrażenia swojego zdania.

Zapadła cisza. Nikt nie miał pomysłu na rozwiązanie sytuacji.

– Nie wytrzymają – twardo ocenił Jasek.

– W każdym razie nie wszyscy – poparł go Artur.

– A jak myślicie – zastanawiała się Eulalia. – Czy ci, którzy nie dadzą rady się opanować, wiedzą o tym? Będą potrafili ocenić swoje siły?

– Trudno wyczuć – Artur nie miał jednoznacznej odpowiedzi.

– Ja proponuję znów ich wywieźć – rzuciła Zuzka.

– Wszystkich? – zdumiał się Leszek.

– A trzeba wszystkich? – myślała na głos Jolka.

– Zuziu, a masz tyle forsy? – zadał konkretne pytanie Miron.

Zuzka tylko lekkim skinieniem głowy potwierdziła jego domysły. Inni nie zauważyli ich niemego porozumienia, biorąc je za wymianę zdań o anonimowym sponsorze. Do tej pory jedynie rodzina wiedziała, że Zuzanna jest posiadaczką fortuny z wygranej. I niechby tak zostało. A Miron? Wiadomo, że na nim można polegać.

– A może szkoda pieniędzy – wyraził sceptycyzm.

– Przecież nie o pieniądze chodzi, tylko o bezpieczeństwo mieszkańców wsi. Jeśli Napoleon o mało nie spłonął, kościół jest zrujnowany, ludzie ciągle jakiejś krzywdy doznają, to któregoś dnia może z głupiego gadania dojść tu do tragedii.

– Jeśli można temu zapobiec... – rozważał Leszek.

– Czyli kto się nie czuje na siłach, to wypad z baru – podsumowała Zuzka. – Tylko dokąd tym razem ich wywieźć?

– Ja bym nie przesadzała – oznajmiła Babcia. – Wystarczy gdzieś blisko. Może nawet sami by pojechali, to nie trzeba by było wynajmować autokarów.

– Na granicy powiatów jest taki ośrodek – myślał na głos Jasiek. – Dawniej jakaś fabryka miała go na wczasy dla swoich pracowników.

– Ten koło Wólki? – spytał Artur.

– Ten sam – potwierdził Jasiek.

– Byłem tam kiedyś z dziewczyną – wygadał się Artek i spojrział spłoszony na Jolkę.

– Hmm... To teraz będziesz musiał pojechać z drugą – Jolka udała obrażoną, ale dała się przekupić buziakiem.

– Teraz zmienił się tam właściciel – kontynuował Janek. – Podpisywaliśmy mu zgodę na prowadzenie działalności. Komendant zabrał mnie na inspekcję, zanim dopuścimy obiekt do użytku. To jest blisko i chyba na razie tanio, bo to pierwszy sezon. I jak tam byłem w sprawie gaśnic, to nie było obłożenia, chociaż wakacje w pełni. Dopiero zaczyna i jeszcze klientów jest mało.

– Będzie miał tyle miejsc? – Eulalia szacowała liczbę potencjalnych gości.

– Jeśli założymy, że część zostanie, to chyba tak – Janek był dobrej myśli.

– To co? Idziemy im powiedzieć? – Babcia popatrzyła na przyjaciół.

Zamiast odpowiedzieć, wszyscy ruszyli do drzwi.

– Przepraszamy państwa, że to tak długo trwało – zaczęła Zuzia po powrocie. – Proponujemy takie rozwiązanie: jeśli ktoś z państwa nie ma do siebie zaufania, to podobnie jak w ubiegłym roku na koszt sponsora będzie można ten dzień przeczekać w ośrodku wypoczynkowym. To niedaleko. Natomiast ci z was, którzy są pewni, że potrafią się kontrolować, ale tak na sto procent, mogą zostać we wsi. I rozumiem, że solidarnie zadbają o gospodarstwa sąsiadów.

– To jak to tak? Nie dość, że nie potrafią nie kłamać, to se będą na wczasach i jeszcze za nich robotę w gospodarstwie mamy robić? – Mostowskiemu nie podobał się taki pomysł.

– A może byście tak pomyśleli, że jeśli obcy ludzie tyle kasy wydają, żeby wam pomóc, to może warto jeden dzień dla sąsiada poświęcić – soltys aż poczerwieniał ze złości na taką małostkowość. – Zresztą tej roboty to tak dużo nie będzie. W zeszłym roku nikogo we wsi nie było i dało radę. Co, Mostowski, krowiny Rafalskiemu nie wydoiszę? I to nie żadne wczasy, tylko banicja.

– Pewnie, że nie na wczasy tam jedziem, tylko odpokutować – Czerwińska przeżegnała się pobożnie.

– A można zabrać narzeczoną? – spytał Dominik, na co wszyscy zareagowali śmiechem.

Zuzanna odpowiedziała mu, zachowując pełną powagę.

– Nie wiadomo, jak ta kłątwa działa. Czy dotyczy wsi, czy jej mieszkańców. Może się okazać... i z tym trzeba się liczyć, że jeśli mieszkaniec Wioski Małej skłamię również poza nią, to kłątwa się utrzyma. Czyli, Dominik, na twoim miejscu nie brałabym panny ze sobą.

– A to czemu?

– Bo jak ją będziesz chciał zbajerować i zaczniesz dziewczynie ciemnotę wciskać, to do końca świata i jeden dzień dłużej tej kłątwy nie zdejmujemy.

– Kochani – głos zabrała Babcia. – Żeby nie przedłużać... Macie kilka dni na zastanowienie się, czy dacie radę twardo utrzymać prawdę, czy wolicie nie ryzykować. I nikt do nikogo nie będzie miał żadnych pretensji za decyzję. Od jutra zbieramy chętnych do wyjazdu. Proszę się do nas zgłaszać.

– Tych, co kłamią, wygnąć ze wsi – odezwał się Drogowski.

– Na wczasy! – poparł go jego kumpel.

– Chyba się, chłopcy, pierwsi zgłosicie? – soltys spojrzął na nich z politowaniem.

– Ja tam ryzykować nie będę – przyznał Mostowski. – Mogę nie strzymać. Jak można nie być we wsi, to ja odpowiedzialności za własną głębę nie wezmę. Jeszcze mi się co wymysknie...

– Byłe nie śmierdziało – z kolejnym niewybrednym żartem wyrwał się Dominik.

Miron wystawił Eulalii fotel na taras, obstawił ją smakołykami, przyniósł kryminał i laptop, a sam wzięty się do koszenia trawnika. Leszek długo krążył pozornie bez celu, aż w końcu zebrał się na odwagę i zapytał:

– Córeczko, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że ja cię tu samą zostawię z Mironem?

Eulalia oderwana od lektury nie od razu zrozumiała, o co chodzi.

– Samą? Czy z Mironem?

– Oj, Eluniu, nie czepiaj się słówek. Pytam, czy mogę was tu samych zostawić, czy będę wam do czegoś potrzebny?

– Do czego na przykład?

– No nie wiem, do pilnowania przed wandalami na przykład.

– Nie przypominaj mi! – obruszyła się. – Przed wandalami to sami się upilnujemy.

– To mogę zniknąć na trochę?

– Znikaj. Przecież duży już jesteś, nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

Leszek chciał jeszcze coś dodać, ale tylko machnął ręką, poszedł na kilka chwil do swojego pokoju, po czym usłyszeli:

– To do zobaczenia!

A później odgłos jego samochodu.

Jasiek odespał dwudziestoczworgodzinną służbę i miał wolny dzień. Siedzieli z Zuzką na leżakach i pluli pestkami z arbuza, kto dalej.

– Ciekawe, czy w przyszłym roku jakiś wyrośnie? – zastanawiała się Zuzanna.

Dotychczas przebywająca w swoich rewirach Babcia pojawiła się znienucka na tarasie.

– Gdzie masz tę granatową torbę turystyczną? – stanęła przed wnuczką.

– A na co ci? – Dziewczyna uniosła głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Nie twój interes – akcentując każdą zgłoskę, oznajmiła Babcia.

– Tośmy sobie pogadały – zaśmiała się Zuza. – Powinna być w pralni, tam gdzie narty. Poszukać?

– Dam radę, nie przeszkadzajcie sobie.

I Babcia z wyniosłą miną opuściła taras.

Jasiek z Zuzą wymienili zdziwione spojrzenia.

– No cóż, każdy może mieć swoje tajemnice – podsumowała dziewczyna.

Zdążyli posprzątać łupiny z arbuza i zetrzeć zaplamiony sokiem stół, kiedy na podjeździe pojawił się samochód Leszka. Kierowca nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi, gdy z domu wyszła Babcia z wypchaną granatową torbą podróżną. Zapakowali ją do bagażnika, wsiedli, pomachali młodym i odjechali.

– Dokąd się wybierają? – spytał Jasiek.

– Nie wiem. Rano Babcia oznajmiła, że dzieciaków dziś raczej w świetlicy nie będzie, a jeśli ktoś dorosły wpadnie na kawę, to umiem obsłużyć ekspres i dam sobie radę. Nie przypuszczałam, że to może oznaczać zapowiedź Babcinych wagarów.

– To nie mówiła, dokąd jadą? – zdziwił się Jaś.

– Strasznie się ostatnio zrobiła tajemnicza. Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że to randka.

– Randka?

– Że co? Że za starzy? Miłość nie patrzy w metrykę.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić.

– Jasiek, obudź się! Przejrzyj na oczy! Myślisz, że twój tata z mamą Jolki to dwuosobowe kółko różańcowe założyli? Jak ty tu jesteś, to oni tam pacierze klepią?

- Mój tata? – Do Jaśka nie docierała rzeczywistość.
 - Gaszenie pożarów mózg ci zagotowało albo zaczadziłeś na służbie. Ocknij się. Jak psa na spacer wyprowadzają, to muszą zawsze razem? Czy to tylko pretekst, żeby pobyc z sobą?
 - I myślisz....?
 - Ja nie myślę, ja to wiem.
 - I twoja Babcia?
 - Z panem Leszkiem.
- Jasiek kręcił głową z niedowierzaniem.
- Jak to w starym piecu... – mruknął z uznaniem.
 - ...Diabeł pali – dokończyła za niego Zuzanna.

Od kogo zaczął się łańcuszek telefonów? Chyba od Eulalii.

Nie mogła wytrzymać. Zaniepokojona długą nieobecnością ojca mimo protestów Mirona zadzwoniła do Zuzki.

- Tu Eulalia. Nie ma u was przypadkiem mojego taty?
- Ani przypadkiem, ani bez przypadku. Wyjechali z Babcią kilka godzin temu i jeszcze nie wrócili.
- A nie wiesz, dokąd się wybierali?
- Błatego pojęcia nie mam, ale sądząc po przygotowaniach, to może trochę potrwać.
- Po jakich przygotowaniach? – dopytywała Eulalia.
- No wiesz, Babcia miała kapelusz, makijaż i wypchaną walizkę.
- Torbę – sprostował Jasiek.
- Nie podsłuchuj – ofuknęła go Zuzka.
- I nic ci nie mówili? Kiedy wrócą, gdzie są?
- Nie będą mi się opowiadać. A tobie mówili?
- Nie.
- No widzisz, chcieli nam zniknąć – Zuzkę najwyraźniej bawiła ta sytuacja.
- Ale tak długo ich nie ma, może coś się stało? – denerwowała się Eulalia.
- Gdyby coś się stało, to już by nas powiadomili albo wręcz wzywaliby nas na ratunek. Spokojnie. Znajdą się.

– Tylko kiedy – zwątpiła Eulaśka.

– Jak im się znudzi.

– Oby prędko, bo trochę się martwię.

I Eulalia się rozłączyła.

– A ty się nie martwisz o Babcię? – spytał Janek.

– Hmm... Jest dorosła i odpowiedzialna. Mam też zaufanie do Leszka, chociaż fircyk w zalotach może stracić głowę. Przecież to nie są smarkacze. A nawet, jeśli zechcą zrobić jakieś głupstwo, to im się należy.

– Podziwiam twój spokój. Może chociaż do nich zadzwoń.

– Okej. Dla twojego świętego spokoju.

Zuzanna wybrała numer Babci, a kiedy uzyskała połączenie, rzuciła do słuchawki:

– Żyjesz?

– Żyję, żyję. Nawet nieźle.

– A gdzie jesteś?

– Na inspekcji.

– O której wrócić?

– Gdzieś tak na kolację.

– To za godzinę?

– Nie. Jutro. Jutro pod wieczór. Kończę, bo mi telefon zamoknie.

– Telefon jej zamoknie? Przecież nie pada. To gdzie oni są? – A po chwili dotarła do niej inna część wiadomości. – Słyszałeś? Wrócą jutro.

Zuzka spojrzała wymownie na Jaśka. W pierwszej chwili nie załapał, ale po sekundzie go oświeciło.

– To ja dzwonię do ojca.

Tym razem Jasiak złapał telefon. Z emocji chodził z nim po całym parterze.

– Tata? Jestem u Zuzi... Trochę tu posiedzimy, więc na mnie nie czekaj.

– Z kolacją czy ze śniadaniem?

– No, nie wiem, jak nam się tu...

Dalszej części rozmowy Zuzka już nie usłyszała.

– I co powiedział? – spytała, gdy Janek się rozłączył.

– Żebym się zabezpieczył.

Oboje parsknęli śmiechem.

Tata Janka odebrał telefon, kiedy z mamą Jolki szykowali brzoskwinie na dżem. Dopiero wyjęli garnek i przygotowali noże. Kiedy skończył rozmawiać z synem, oko mu błysnęło.

– Jasiak nie wróci na noc – obwieścił i unosząc brew, spojrzał wyczekująco na reakcję mamy Jolki.

Kobieta splonęła rumieńcem. Nie musiała nic mówić.

– Pieprzyć konfitury! – Tata Jaśka wrzucił nożyk do zlewu. – Mamy cały dom dla siebie.

– Jola będzie się martwić. Czekaj, Stasiu. Tylko do niej zadzwonię. Daj mi minutkę.

Kolejne połączenie w łańcuszku zostało odebrane.

– Córciu, nie martw się o mnie. Ja jestem tu u pana Stasia i... Jakby ci tu powiedzieć? Zostanę tu... No tak... Nie wrócę... Na pewno... No to buziaczki. Pa. – Rozłączyła się. – Łatwo poszło – stwierdziła ze zdziwieniem.

Oboje się uśmiechnęli.

...

– Artur? Tu Jolka. Mam lecco i dwa piwa. Możesz wziąć coś z barku. Aha, postaw samochód za komórką, bo jak rano ktoś go zobaczy, to nas wezmą na języki. I weź szczoteczkę do zębów. Hi, hi, hi!

W nocy zaczęło padać. Krople deszczu uśpiły wszystkich swoim miarowym monotonnym stukotem. Zuzia wtulona w Janka spała jak kamień, kiedy na podjazd wtoczył się samochód Leszka. Czujnego strażaka zbudził odgłos silnika.

– Zuzka, wrócili – skonsternowany poruszył jej ramię. – Obudź się. Cholera jasna, ale pospaliśmy. Pół do jedenastej. Wstawaj.

– Że co? – Zuza powoli wracała do rzeczywistości.

– Babcia z Leszkiem przyjechali.

– Mieli wrócić wieczorem.

– Im to powiedz, bo już są.

– O cholera!

Oboje wyskoczyli z łóżka. Janek nawykły do szybkiego reagowania po kilku sekundach był już w ubraniu. Zuzka miotła się w poszukiwaniu części garderoby. Wrzuciła na siebie wczorajszy podkoszulek i naszykowane do prania spodnie dresowe. Na dole dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi i podśpiewywanie Babcy.

– Hmm... Gotowy? – rzuciła okiem na Jaśka.

– Ja tak. Możemy schodzić.

Na schodach jeszcze upychała koszulkę w spodnie.

– Cześć, Babciu, wcześniej wróciłaś – powitała Joannę.

– Deszcz nas wygonił – odparła, rzucając kapelusz na blat kuchennego stołu. – Nie było co dalej siedzieć, bo prognozy na cały dzień zapowiadają intensywne opady. Sprawdziliśmy na trzech aplikacjach.

Dopiero teraz spojrziała na wnuczkę.

– Wyglądasz na zdewastowaną. Uczesz się.

Zuzka przegarnęła włosy palcami i próbowała je przygładzić.

– To co, śniadanko? – zaproponowała Joanna. – Nie ma to jak po dobrym seksie dobra jajeczniczka. Też zgłodniałam.

– Baabciu! – Zuzanna próbowała zachowywać pozory.

– No co? – rzuciła Babcia zaczepnie. – Nie mówcie mi, że graliście w bierki. Wyjmij patelnię. Gdyby tak było, to pamiętałibyście o schowaniu leżaków, bo mokną. I przygotujcie pieczywo. Ja zaraz do was dołączę, bo muszę powiesić kostium. Jeszcze mi w torbie zgniję.

– Kostium? – Zuzanna nie rozumiała, o czym Babcia mówi.

– No, kostium. I ręcznik. – Joanna odszukała w torbie wszystko, co wymagało suszenia i poszła z tym do łazienki, skąd kontynuowała opowiadanie. – Zanim zaczęło padać, zdążyliśmy popływać. Cudna woda. I jakie widoki! „Gwiazdy nad tobą, gwiazdy pod tobą i dwa obaczysz księżycze” – zacytowała Mickiewicza. – Tylko potem pogoda się popsowała i nie było co tam siedzieć. Jasiu, kawa, herbata czy kakao?

– Kakao proszę. To gdzie wy byliście? – zainteresował się Janek.

– Już wam wczoraj mówiłam. Na inspekcji. I przyznam, że wypadła bardzo dobrze. – A po chwili dodała: – Tylko room service tam nie istnieje. Mają restaurację. Pyszne sznycelki i Leszkowi też bardzo smakował placek po zbójnicku... Czy po węgiersku? Jeden diabeł. Ale jedzenia do pokoi nie przynoszą. Gdyby nam dali śniadanie do łóżka, to pewnie byśmy tam jeszcze zostali. No cóż, i bez tego dostają ode mnie pierwszą gwiazdkę. Na więcej będą musieli zapracować, jak reszta wsi tam pojedzie.

– Nic nie rozumiem – Zuzka odłożyła widelec. – Nie opowiadaj nam o jedzeniu, tylko powiedz wreszcie, gdzie wy w końcu byliście?

– Pojechaliśmy sprawdzić, jak wygląda ten ośrodek, o którym Jaś wspominał na zebraniu mieszkańców. Nie żebyśmy nie miała zaufania do twojej opinii – zastrzegła. – Ale inaczej to wygląda, jak właściciel czy zarządca przyjmuje komisję albo wizytację, a inaczej, kiedy się tam pojedzie jako gość.

– I wy tam pojechaliście jako goście? – Zuzanna wreszcie mogła wrócić do jedzenia jajecznicy.

– Tak. I powiem wam, że Jasiek miał rację. Ośrodek jest super. Mają plac zabaw dla dzieciaków. Nad jeziorem aż dwóch ratowników. Można wypożyczyć łódkę albo rower. Poza tym jest przygotowane miejsce na ognisko, palenisko z grillem, ławki dookoła. W razie deszczu jest świetlica, a w niej bilard, piłkarzyki, wygodne fotele i bar. No ale przecież my z Leszką nie będziemy grali w piłkarzyki jak pada, więc wróciliśmy.

– Trzeba było zagrać w bilard – mruknęła Zuzka znad kubka kakao.

– Wczoraj cały wieczór graliśmy. Ograłam właściciela. Nie mógł się odegrać, chociaż trzy razy próbował, więc w geście uznania postawił nam martini. Oszukane było, bo nie mieli oliwek.

– Widzę, że świetnie się bawiliście – podsumował Jasiek.

– Wy, jak sądzę, też. Z tego wszystkiego nie zamknęliście bramy. O włączeniu alarmu nie wspomnę.

– A może był włączony, tylko wyłączyliśmy? – zripostowała Zuzka.

– Wątpię – Babcia ze spokojem wycierała bułką resztkę jajecznicy z miseczki. – Gdyby brama była zamknięta, a alarm włączony, to by nam dziki nie zryły całego trawnika. Mam tylko nadzieję, że nie uszkodziły spryskiwaczy. Podaż mi pomidorki? Jasiu, jeszcze kakao?

Zanim odpowiedzieli, rzucili się do okna. Faktycznie, trawnik w znacznym stopniu był zniszczony.

– O cholera – zareagował na ten widok Janek.

Zuzka aż zęby zacisnęła.

– Jak by to powiedział Artur, ja pierdołę! – zacytowała przyjaciela.

– Nie przejmujcie się, naprawimy – uspokajała ich Joanna, mimo wszystko zachowując świetny humor.

– Tato, na miłość boską, gdzieś ty się całą noc podziewał? – Eulalia przywitała ojca wymówkami. – Martwiliśmy się o was.

– Córciu, przecież sama powiedziałaś, że ja duży chłopczyk jestem. A zresztą nie będę się opowiadał z każdego kroku.

– Pojechali i przepadli – wyrzekła.

– Pytałem, czy mogę was zostawić i czy jestem do czegoś potrzebny.

– No dobrze – nie dawała za wygraną. – Rozumiem spotkać się, pojechać na spacer, zjeść kolację, iść do kina, ale żeby nie wrócić na noc do domu!

– Córciu, nie pomyliły ci się role? Co to ja dziecko jestem? Zwiedzaliśmy ośrodek, do którego mają wszyscy jechać w Dniu Prawdy.

– Całą noc?!

– Dogłębnie go zwiedzaliśmy.

Miron, który był świadkiem tej rozmowy, parsknął śmiechem, ale zgromiony wzrokiem Eulalii udał, że kaszle.

– Poza tym potrafię o siebie zadbać. I o kobietę, z którą jestem, też – fuknął niezadowolony z przesłuchania Leszek.

– Zachciało się dziadkom amatorów – sarknęła nieprzekonana Eulalia.

– Gdzie ty tu dziadka widzisz? – Leszek się zezłościł. – Żebym ja został dziadkiem, to najpierw sama musiałabyś się do tego przyłożyć. Gdybyś ty miała w sobie tyle życia co Joanna, to pewnie już dawno mogłabyś mnie nazywać dziadkiem. Nie przysługuje ci takie tytułowanie ani mnie, ani Asi. Smarkata!

Lech był bliski obrażenia się na córkę.

– Najważniejsze, że wszyscy są cali i zdrowi. Kto zje lody? Mogą być waniliowe i czekoladowe. Komu, komu? – zmienił temat Miron, a kiedy wszyscy się określili i poszedł z Leszkiem szykować deser, spytał: – Jak było?

Mina Lecha mówiła za wszystko, jednak dodał:

– Dżentelmeni nie rozmawiają o takich sprawach – i puścił oko. – W każdym razie lepiej niż u was.

Tym razem odwołano brydża. Pewnie nikomu nie chciało się łączyć po deszczu, bo jak zawiśł nad głowami, tak trwał już drugą dobę. Nowaczki nikogo się nie spodziewały, więc zdziwiła ich wizyta sołtysa. Przyszedł sam i wyglądał bardzo poważnie.

– Szczeńś Boże – pozdrowił gospodynie od progu i strząsnął wodę ze sztermiaka.

– A Bóg zapłać – odpowiedziała Joanna, zapraszając gościa do środka.

Zuzanna zakręciła się wokół jakiegoś poczęstunku.

– Przyszedłem w imieniu wszystkich mieszkańców. Bo tak być nie może! – Brzmiało to oficjalnie i kategorycznie, więc porzuciła rozkładanie talerzyków do ciasta i przysiadła na brzegu krzesła.

– Czy coś się stało? Czymś państwu uchybiłyśmy?

– Ależ co pani! Takie sąsiadki jak panie obie to dla nas skarb. Przyszłem, bo ustaliliśmy z chłopami, że nie może być tak, że wieś przez cztery wieki języków upilnować nie potrafi, a ktoś obcy ponosi tego koszty.

Babcię aż korciło, żeby mu zwrócić uwagę na to „przyszłem”, ale się powstrzymała.

– Nie rozumiem – Zuza odłożyła ścierkę, którą przecierała talerzyki.

– A co tu do rozumienia? Może i my słabe ludzie jesteśmy, że kłótnie nie potrafimy dać rady, chociaż tak z boku patrząc, to nie powinien być żaden wysiłek. Może nie potrafiliśmy się przez te wieki zmobilizować. Może nie wszystkich było stać na wycieczkę do Częstochowy. Ale swój honor mamy i nie możemy pozwolić na to, że my tu językowi folgujem, a ktoś obcy funduje nam wczasy.

– W dalszym ciągu nie wiem, do czego pan zmierza – Babcia nic nie wynioskowała z przemowy sołtysa.

– W zeszłym roku to tak trochę daliśmy się zaskoczyć tą waszą propozycją. Zanim się zastanowiliśmy, przystaliśmy na pomysł. Owszem, było fajnie. Wesoło, kiedy trzeba, a poważnie, kiedy wymagała tego wizyta na Jasnej Górze. Ale znów nie wyszło i znów jesteśmy w tym samym miejscu. I co? I ten cały sponsor... Kto to jest w ogóle, że nas nie zna i nam aż tak dobrze życzy? – Nie czekał na odpowiedź, tylko brnął. – I będzie tak rok po roku nas woził po świecie, żebyśmy we własnym domu nie grzeszyli? Przecież to nie uchodzi. Człowiek przez nas z torbami pójdzie. A jak znów nam nie wyjdzie?

– Może tym razem wyjdzie – wyraziła nadzieję Babcia.

– Może wyjdzie, może nie wyjdzie. Postaramy się. Możecie nam kobity wierzyć albo nie, ale w ludziach pojawiło się dzięki wam tyle zaparcia, że jeśli się nie uda, to będzie straszny pech. Taką nam dałyście nadzieję i siłę, że naprawdę każdy się przykładą. Od takiego siusmajtką po mojego starego teścia, który chyba najstarszy w całej wsi, bo trzy lata przed babką Zygmunta się urodził.

– No dobrze – przerwała wywód Zuzanna. – Ale do czego pan zmierza?

– Ano do tego, że jak wspominałem, swoją ambicję mamy i tym razem sami zapłacimy za wyjazd. Przeszedłem się po chałupach i to już postanowione.

– Panie Wąsowski, ale może nie wszystkich stać na taki wydatek? – poddała pod rozagę Joanna.

– Co ma nie być stać? To raptem dwie doby hotelowe i jak tyle ludzi pojedzie, to może jaką zniżkę dostaniemy.

– Cena już wynegocjowana. I trzeba przyznać, że ten właściciel ośrodka to uczciwy przedsiębiorca, a do tego zna się na interesach. Dał nam duży upust.

– No widzi pani – sołtys się ucieszył.

– To zróbmy tak – zaproponowała Zuzanna. – Dorośli niech za siebie zapłacą, skoro to dla państwa takie ważne...

– Bardzo! – podchwycił Wąsowski.

– ...A my porozmawiamy ze sponsorem, żeby zafundował pobyt dzieciom. Wie pan, panie sołtysie, jak jakaś rodzina ma liczne potomstwo na utrzymaniu, to im ich więcej, tym ciężiej. A tak nie będą się musieli martwić. Oczywiście, jeśli ktoś z dorosłych też uzna, że go nie stać, ale chce opuścić wieś w tym czasie, to proszę komuś takiemu nie robić żadnych przykrości. Wyjedzie na nasz koszt... Znaczy – szybko się poprawiła – na koszt sponsora.

– I żeby nie było! – zastrzegł sołtys. – Nie wszyscy chcą jechać. Dużo jest takich, co twierdzą, że nie po to sobie zadawali pokutę tą gumką, żeby teraz nie spróbować stawić czoła wyzwaniu.

– Panie sołtysie – rzekła uroczyście Joanna. – Proszę przekazać sąsiadom nasze słowa szacunku. Jesteśmy dumne, że należymy do tak solidarnej i honorowej społeczności. To dla nas prawdziwą przyjemnością móc dzielić z wami ten krzyż.

Sołtys aż pokraśniał z zadowolenia. Ucałował Babcię w rękę, dłonią Zuzki długo potrząsał i usatysfakcjonowany wynikiem rozmowy, objedzony domowymi ptysiami, założył sztormiak i zniknął w ulewie.

– Ambitne chłopcy – uznała z dumą Babcia.

– Ano – przytaknęła Zuza. – Muszę przyznać, że mnie wzruszyli. Nie wiem, co tam wynegocjowałaś na tej swojej seksywiczce, ale ja spróbuję jeszcze coś wycisnąć.

– Małaaa! – Głos Babci zabrzmiał groźnie. – Nie pozwalaj sobie!

Zuzka tylko machnęła ręką.

– Zaslugują ci nasi sąsiedzi na coś ekstra – kontynuowała. – Oplacimy im łódki, bo u nas nie mają, i ognisko. Kielbasy i karkówka. Jeśli nam ośrodek nie da, to kupimy sami. Może kolega Janka będzie miał czas, to podrzuciliby się go wieczorkiem, niechby sobie pośpiewali przy ognisku.

– Jak będą jeść i śpiewać, to nie będą kłamać, bo będą mieli zajęte gęby – zauważyła Babcia. – Dobrze pomyślane.

– Tylko dobrze by było, żeby też była jakaś atrakcja dla tych, co zostają.

I Zuza wypowiedziała w złą godzinę. Bo ci, którzy zostali, mieli atrakcji za trzy pokolenia.

– Nachodziliśmy się na próżno. To co zebrałem, to oddałem Joannie, bo była tego ledwie garstka. Może wystarczy na zupę – narzekał Leszek po powrocie z grzybobrania, na którym byli z Babcją. – Niby w lesie mokro, noce jeszcze ciepło, to powinniśmy nabierać całe kosze.

– Może nie trzeba było patrzeć w oczy Joannie, tylko sobie pod nogi. Więcej byś znalazł – Eulalia, wciąż uwięziona w gipsie, sama chętnie wybrałaby się na grzyby, więc była w złym humorze.

– Jak będziesz taka złośliwa, to zbrzydniesz i cię Miron rzuci – odgryzł się ojciec i dodał: – Nie wiecie, czemu tak pusto we wsi? Ani jednego człowieka nie spotkałem. Przecież nie wszyscy w polu.

– Akurat w polu to nie ma nikogo, bo wszyscy pojechali do Miasteczka – odpowiedziała Eulalia znad klawiatury laptopa.

– Zespołowe zakupy czy inna wycieczka?

– Pojechali do kościoła – wyjaśnił Miron, nie przerywając krojenia cebuli. – Sołtys zamówił mszę w intencji wytrwania w prawdzie. Zjesz kaszankę? Eulalia dostała od pacjenta. Domowej roboty.

– Kaszanka z pacjenta? No, nie wiem... – zażartował.

– Akurat tego świniaka nie leczyłam.

– A kto badał mięso?

– Ten, kto ma uprawnienia lekarza urzędowego. Pewnie ten z Miasteczka. Od jutra drożeje benzyna – dodała bez związku.

– Zamknij już ten laptop i przesiądź się do stołu – zarządził Miron.

– Już ci pomagam nakrywać, tylko umyję ręce – Leszek odstawił koszyk w kąt kuchni i w zlewie szorował ręce ludwikiem. – Słuchajcie, tak się zastanawiam, czy to faktycznie takie ważne dla wszystkich, żeby tego dnia nie kłamać? Naprawdę w dwudziestym pierwszym wieku jeszcze ktoś wierzy w klątwy? Rozumiem taki lokalny koloryt, legenda miejscowa, żeby dzieciom do snu opowiadać. Ale żeby cała wieś, a przecież to nie są głupi ludzie, niektórzy to nawet mają wyższe wykształcenie... Żeby cała wieś dała się tak omotać bajkom?

– Lechu, gdybyś tu pobyl dłużej, tobyś sam się dał omotać – Miron rozkładał serwetki na stole.

– Twierdzisz, że jak się tu dłużej posiedzi, to się zgłupieje? – Leszek wciąż bagatelizował zagrożenie.

– Nie zgłupieje się, tylko na własnej skórze można się przekonać, jak to działa. Siadajcie, póki ciepło.

– Miron wniósł parujący półmisek.

– Czyli jak działa? Jakiś przykład poproszę... Dobry ten pacjent, tylko trochę mało słony. – Leszek sięgnął po solniczkę.

– Przykład? Proszę bardzo – Miron chwilę zastanawiał się nad jakimś twardym dowodem. – Artur mi opowiadał, jak bodaj trzy lata temu umawiał się z jakąś dziewczyną z Miasteczka. Zależało mu, żeby obejrzeć mecz do końca i spóźnił się na spotkanie. Ale przecież nie powie pannie, że mecz ważniejszy

od niej, więc zadzwonił, żeby uprzedzić, że będzie później, bo mu niby PKS uciekł. Spotkali się. Jakiś tam spacer, kawa, te rzeczy, no i późno się zrobiło. Odprowadził pannę pod dom i popędził na przystanek. Zdążył jeszcze zobaczyć światła odjeżdżającego autobusu. Nie muszę dodawać, że to był ostatni. Obdzwonił wszystkich, którzy mogliby go podwieźć, ale każdy miał jakąś wymówkę. Wiecie, ile kilometrów jest stąd do Miasteczka? Na szczęście ma tam jakąś ciotkę, która go przenocowała, bo nie uśmiechało mu się drałować taki kawał.

– I to ma być dowód? – Leszkowi taki przykład nie wystarczył.

– To może przykład Jolki? Wiecie, że póki Nowakowie nie załatwili jej tych zleceń w Grecji, to się tam u niej nie przelewało. Wybierała się na balety do koleżanki i zamarzyły jej się na tę okazję jakieś ekstra buty. Skłamała matce, że potrzebuje nowych, bo w starych jej się obcas urwał. I wracała z domówki boso.

– W nowych się urwał czy w starych? – ciekawa była Eulalia.

– W nowych. Później musiała drugi raz kłamać, że stare szewc naprawił. Ale to już było po Dniu Prawdy, to jej nie pokarało.

– To dwa nic nieznaczące przypadki – upierał się Lech.

– Chcesz znaczący? – Miron zmarszczył czoło. – To może z dawniejszych czasów... To było, jeszcze zanim zrobili nowe mosty na rzece. Poprzednie były drewniane. Aaa! I pewnie właśnie dlatego zrobili nowe. Bo wyobraźcie sobie dwóch gospodarzy miało jakiś interes z lasem... Sołtys opowiadał, o co chodziło, ale nie pamiętam. Wrócili przez ten most... A jeden był kochankiem żony tego drugiego. No i mąż mówi temu kochankowi, że mu gębę obje, bo się dowiedział, że mu uwodzi żonę... Odsmażyć jeszcze kaszanki? – Gdy zaprzeczyli, kontynuował. – Przecież żaden facet się nie przyzna do takich rzeczy. Choćbyś go złapał na gorącym uczynku, to zawsze będzie „to nie tak, jak myślisz”.

– I co? – przynaglał Leszek.

– I ten kochanek mu na to, że „niech się ziemia pode mną zapadnie, jak to prawda”. No i się zapadła. Tylko nie ziemia, a spróchniała deska w moście. Facet wpadł do rzeki i gdyby nie „szwagier”, toby było po chłopie. Ponoć trzeba było kochasia reanimować.

– To który to taki miłośny? – Leszkowi błysnęło oko.

– Tego to mi już sołtys nie powiedział. W każdym razie niechący całej wsi to kłamstwo wyszło na dobre, bo mosty teraz są tu porządne.

– No widzisz. Co to za kłątwa, która na dobre wychodzi?

– Taka, która karze winowajcę. Tylko kłamcy cierpią z jej powodu.

– Masz jeszcze jakieś przykłady? – Leszkowi spodobały się te opowieści.

– To może najpierw pozmywamy, a później opowiem – Miron zaczęła zbierać brudne naczynia ze stołu.

– Czy faktycznie te kary są tak dotkliwe, że ludzie tyle wysiłku wkładają, żeby się od nich wyzwolić? Bo jak widzę, ile to zachodu, to aż podziw bierze. Dziś msza, w zeszłym roku wyjechali, w tym roku też się szykują, do tego to biczowanie. I to wszyscy!!! – Leszek był pełen uznania.

– Po pierwsze, to jest dokuczliwe. Po drugie, to chyba jest taka tradycja, żeby z tym walczyć. Rozumiesz? Walka z kłątwą jest częścią legendy. Jakby dopełnieniem Dnia Prawdy jest walka z kłamstwem.

– Chodzi o to, by gonić króliczka – wyjaśnił Lech po swoimemu. – A co będzie, jak go złapią?

– Legenda zostanie wyłącznie legendą – westchnął Miron.

– Albo będą bardzo nieszczęśliwi, bo stracą swój cel – podsumowała Eulalia, moszcząc się na kanapie z laptopem na kolanach.

Gdyby ktoś spytał mieszkańców Wioski Małej, jakie mieliby życzenie związane z tegorocznym trzecim sierpnia, zapewne większość odpowiedziałaby, że chcieliby zasnąć drugiego i obudzić się

dopiero czwartego. Wszyscy bardzo się denerwowali. Wnuczce Chojnackiego aż było niedobrze z emocji, a Wrońska musiała wziąć relanium.

Właściciel ośrodka dwoił się i troił, żeby obsłużyć tak dużą grupę. Chociaż nie wszyscy opuścili wieś, to i tak liczba gości przerosła jego oczekiwania. Postawił na baczność cały personel – od recepcji przez kelnerki po sprzątaczkę. Uwijali się jak w ukropie, żeby sprawnie i bez przestojów ogarnąć zakwaterowanie i wyżywienie. Żona właściciela osobiście pomagała w kuchni, bo brakowało tam rąk do pracy. Dużym ułatwieniem dla obsługi było to, że goście nie byli wymagający. Gdyby mogli, to wszystko wokół siebie zrobiliby sami.

Dzień mijał wszystkim przyjemnie i prawie beztrudnie. PRAWIE, bo pomimo oddalenia od Wioski, wciąż się pilnowali. Ani ci, którzy opuścili Wioskę, ani ci, którzy w niej zostali, nie byli pewni, czy sprostają wyzwaniu. Jedni i drudzy walczyli dzielnie. Polegało to głównie na tym, że przestali się do siebie odzywać. Co mogli, pokazywali na migi, porozumiewali się półsłówkami, pomrukami i mimiką. Nie po raz pierwszy okazało się, że mowa to tylko jeden ze środków wyrazu. Jednak jakoś to szło i pomimo pewnych utrudnień miło spędzali czas.

We wsi życie toczyło się leniwie. Pozostali na włościach nie mieli wiele roboty z oporządzaniem dobytku nieobecnych, bo każdy miał ambicję zostawić w gospodarstwie wszystko nastawione na perpetuum mobile. Rafalski postanowił zostać, więc nikt nie musiał zajmować się jego krowami ani kozą. Trzeba było tylko przejść się po podwórkach i skontrolować, czy wszystkie zwierzaki mają wodę. Po zagrodach kręciło się niewiele osób i Wioska wyglądała na uśpioną.

Babcia z Leszkiem siedzieli na tarasie, zajądając się morelami i wspominając lata młodości, kiedy pojawiła się u nich Basia Bartkowiakówna.

– Dzień dobry – ukloniła się grzecznie. – Babciu, czy nie było u was naszego Huberta?

– Nikogo dziś nie było w świetlicy, bo większość dzieci wyjechała – zaniepokoiła się Joanna.

– Bo jak rano pokłócił się z rodzicami i wyszedł, to do tej pory nie ma go w domu. Mama go wołała na obiad, ale nawet się nie odezwał. Myśleliśmy, że może przyszedł się do was pobawić.

– Nie, kochanie – Babcia zachodziła w głowę, co mogło być ważniejsze niż obiad dla Huberta, znanego łakomczucha. – Może obraził się i schował gdzieś w obejściu?

– Szukaliśmy w domu i w zagrodzie, ale albo dobrze się schował, albo go tam nie ma. Jeszcze zajdę do Karolka, może siedzi u niego. To przepraszam, że zakłóciłam spokój. Do widzenia.

– Basiu – zawołała za nią Babcia. – Ale jeśli go nie było u Karolka, to niech rodzice do mnie zadzwonią. Pomożemy go szukać.

– Dziękuję, przekażę – odpowiedziała dziewczyna już zza furtki.

Dobry nastrój prysnął. I zmienił się w wielki niepokój, bo po kilkudziesięciu minutach zadzwonili z prośbą o pomoc w poszukiwaniach.

W pierwszym odruchu Babcia zadzwoniła do Mirona.

– Hubcio gdzie się zawieruszył. Nie ma go w domu ani u kolegi, od rana nie pokazał się rodzinie na oczy. Ponoć pokłócił się z nimi i przepadł.

– Może wyjechał z którymś z sąsiadów do ośrodka?

– Zadzwonię do Zuzki, bo pojechała nadzorować przebieg imprezy. Niech się zorientuje.

Zuzia przepytowała wszystkich ziomków, ale nikt nie zabrał ze sobą chłopca, nawet nie widzieli go od wczoraj. Zaczęła zastanawiać się, gdzie mógłby pójść. Ustaliła z sołtysem, żeby teraz przejął nadzór nad grupą, a sama wróciła do Wioski Małej, prosto do Bartkowiaków. Na podwórku natknęła się na Basię.

– Dureń i małpa – ciskała się siostra Huberta. – Rodzice chcieli go zawieźć do ciotki, bo nie wierzyli, że głupek może upilnować jezora. No i po pierwsze, on tej ciotki nie znosi. Wcale mu się nie dziwię, bo ona uważa, że szarpanie za policzki to miła pieszczota i ciągle nas obślinia przy całowaniu. Po drugie,

jak mu wszyscy wmawiali, że taki kłamczuch jak on nie wytrzyma, to on się tak zaciął, że się poryczał, że wcale nie jest kłamczuchem i da radę. Zaklinał się na wszystkie świętości, przysięgał i błagał, żeby go zostawić. Rodziców tym nie przekonał, tata poszedł po kluczyki do samochodu, a on w tym czasie zwiął. Myśleliśmy, że podąsa się trochę i wróci, ale jak nie przyszedł na obiad, to zaczęliśmy go szukać.

– Może jest u jakiegoś kolegi?

– Wszyscy tak myśleli, ale naszych kolegów nie ma. Większość jest na banicji. A poza tym są wakacje, to niektórzy wyjechali.

– Basiu, a czy on ma jakiegoś kolegę spoza wsi?

– Gutka, ale on jest z rodzicami nad morzem. I może jeszcze jakiegoś z klasy, ale to już nie wiem.

Zuzce przeszło przez głowę, że o kolegach z klasy powinna wiedzieć wychowawczyni Huberta. Oby i ona nie wyjechała na urlop.

Do rozmowy dołączyła Bartkowiakowa.

– Nie wyjechała, bo jej mąż pracuje w magistracie i brali urlop, jak był remont ratusza, to teraz siedzą w domu.

– Spróbuję skontaktować się ze szkołą – zapewniła Zuzka i zaczęła działać.

Wyguglowała numer telefonu i natychmiast go wybrała, nie zastanawiając się nad sensownością dzwonienia w wakacyjne popołudnie do szkoły. Miała więcej szczęścia, niż mogła się spodziewać. Właśnie dozorca wszedł do sekretariatu po klucze do sali komputerowej, bo można zostawiła otwarte okno. Irytujący głos dzwonka zmusił go do odebrania połączenia.

– Halo – rzucił w słuchawkę.

Zuzka grzecznie się przedstawiła i niezbyt składnie wyluszczyła, o co jej chodzi.

– Generalnie potrzebuję numer telefonu do pani Łobodzińskiej.

– Pani Łobodzińska telefonu do siebie na prawo i lewo nie rozdaje. Ja ni mom – ale że szkolnych woźnych RODO nie obowiązuje, od razu dodał: – Moja stara pracuje u fryzjera tego na rynku i mówili, że dziś pani Łobodzińska się umówiła do niej na bylejaże, czy inne coś tam. To jak coś pilne, to może pani tam spróbuje.

Zuzka nie czekała na dalsze wyjaśnienia, podziękowała za cenną informację, wskoczyła do samochodu i łamiąc wszelkie przepisy, pognąła do Miasteczka. Z piskiem opon zatrzymała się przed zakładem fryzjerskim. Stała w progu i próbowała oszacować, która spośród trzech klientek jest nauczycielką. Siedziały w pelerynkach i z różnymi fazami zabiegów fryzjerskich na głowach, więc trudno było to wywnioskować.

– Szukam pani Łobodzińskiej – oznajmiła.

– To ja – dało się słyszeć podejrzliwe spod infrazonu, czy też jak niektórzy mówią, klimazonu.

– Jestem z Wioski Małej. Szukamy Huberta. Czy wie pani, u którego kolegi mógłby przebywać?

– Hubcio zginął? Znowu gdzieś wlaź i nie można go znaleźć? – Zuzanna potaknęła. – A pani to kto? – padło zaczepnie.

– Nikt ważny. Nazywam się Zuzanna Nowak. Pomagam rodzicom w poszukiwaniach.

– Ach! Pani Zuzia! Od razu tak trzeba było mówić – spod lamp wysunęła się nalokowana głowa nauczycielki. – No, jeśli pani go szuka, to musi być poważna sprawa. Ale nie wiem, u kogo może być Hubcio.

– Szukamy jego kolegów spoza wioski – drążyła Zuzka.

– To tylko Brajan z Wólki. W tamtejszej szkole nie mogli z nim sobie poradzić, to go do nas zapisali. I że to dwa diabelfki, to zwąchali się z Hubciem i razem rozrabiają. Co za zwyczaj jakiegoś, co za nieudolność. Jak tylko jakiś problem się pojawia, to byle na człowieka zepchnąć. Teraz mam na głowie i tego Brajana, i Hubcia, z którego też niezły numer, i jeszcze dwoje z ADHD. Jakie tam ADHD?! Ten Ziółkowski to jak sama nazwa wskazuje. Opanować go nie można...

– Pani profesor – Zuza użyła tytułu, który nauczycielom podstawówek w społeczności szkolnej nie przysługuje. – Na pani miejscu nie rozmawiałbym o szkolnych sprawach tak publicznie – wskazała na słuchające z rozdziawionymi buziami klientki. – Jutro całe Miasteczko będzie wiedziało, że nie potrafi pani sobie poradzić z kilkoma uczniami. Czy ma pani może telefon do rodziców Brajana?

– Mam, ale nie dam. Wie pani, ochrona danych...

– Rozumiem. Ale czy w takim razie mogłaby pani sama zadzwonić? – Cierpliwość Zuzy została wystawiona na próbę.

– Nie mogłabym, bo mi jeszcze lakier na paznokciach schnie.

– Chce pani przez to powiedzieć, że zaginał pani uczeń, a dla pani ważniejszy jest lakier na paznokciach? – Zuzka aż poczerwieniała. – Cóż za empatia i poczucie troski. W takim razie poszukam dyrektora szkoły, żeby odnalazł dane Brajana w dokumentacji. Dziękuję pani za zaangażowanie – i dziewczyna odwróciła się do wyjścia.

– Czemu się pani tak unosi? Przecież nie powiedziałam, że nie zadzwonię, tylko że w tej chwili nie mogę.

– Really? – Zuza uniosła brew. – To kiedy pani będzie mogła? W nocy, jak dziecko gdzieś umrze z wychłodzenia?

– Lato mamy – mruknęła Łobodzińska.

Tego było już za wiele nie tylko dla Zuzki, ale i dla pozostałych świadków rozmowy.

– Poprawię pani ten manicure, pani dzwoni – zaofiarowała się manikiurzystka.

– Całe szczęście, że mój dzieciak do Wólki do szkoły chodzi, bo jakby mnie się taka wychowawczyni trafiła, to kozy pasać, a nie dziećmi się zajmować! – opierniczyła Łobodzińską klientka czekająca na zdjęcie farby.

– No czego? Czego? Przecież już dzwonię. W piekle człowieka znajdują, jak potrzebują. Urlop mam, dzień wolny... – broniła się jeszcze nauczycielka.

– Od rozumu chyba – prychnęła właścicielka zakładu.

– Więcej tu nie przyjdę – odgrażała się Łobodzińska.

– Lepiej dla pani, bo jak się tu pani pojawi, to ostrzygę na lyso.

Awantura nie rozwiązała problemu. Huberta u Brajana nie było. Zuzka wróciła do Wioski.

Zespół antykrzysowy ukonstytuował się telefonicznie. Miron z Leszkiem i Arturem podzielili się na trzy sektory i jeszcze raz przeszli każdy rejon, nawołując. Bez skutku. Obeszli stawy, zajrzeli pod mosty, sprawdzili na polach i w części obejść. Nigdzie nawet śladu po chłopcu.

W ośrodku „banicyjnym” wszyscy szykowali się na ognisko.

Zwykle wyznaczony pracownik ciął drewno piłą spalinową, specjalnym wózkiem przewoził do paleniska i cały wieczór pilnował ognia, żeby goście mogli się bawić. Kielbaski i marynowane mięsa czekały w kuchni, a kelner obsługiwał grill, odwracając mięsiwa na ruszcie i serwując je na talerzykach wprost do rąk. Tym razem zanim obsługa zdążyła się zorientować, już Kacper wyciągnął z ojcowego bagażnika siekiere, druga znalazła się u Czerwińskiego i w czterech chłopów narąbali w drewni klocków na rozpałkę. Przy okazji naprawili siekiere należącą do ośrodka. Dzieciaki przyniosły naręcz szczap. Sołtys z Leonem dostarczyli z kuchni michy jedzenia. Kryśka, żona Leona, nie czekała na sałatkę, tylko pożyczonym od Dominika szczyrykiem nakroiła dla wszystkich pomidorów. Kolega Janka, ten który przygrywa w czasie śpiewanek, kiedy usłyszał o akcji, sam zadeklarował się, że przyjedzie. Ucieszył się, gdy Zuzanna zaproponowała, żeby zabrał rodzinę na te dwa dni. Właśnie wyciągnął z futerału gitarę i zaczął ją stroić, kiedy sołtys odebrał telefon od Mirona.

– Cicho, chłopcy – machnęła na ziomków, bo w ogólnym rejewachu nic nie słyszał.

Sąsiedzi zastygli w oczekiwaniu na koniec połączenia. Jednak patrząc, jak zmienia się twarz Wąsowskiego, zaniechali rozmów i czekali na relację.

Wąsowski rozłączył się i chwilę trwał w bezruchu.

– No – zachęciła go Czerwińska, by podzielił się wiadomościami. – Mówcie, sołtys.

– Hubcio zaginął. Szukają go po całej wsi od rana i do tej pory nie znaleźli.

– Toż zaraz wieczór – zauważyła Wrońska.

– Właśnie – podkreślił.

Ogólna wesołość, która towarzyszyła wszystkim od początku pobytu, gdzieś się ulotniła. Sąsiedzi w niemym niepokoju popatrzyli po sobie bezradnie. W końcu Dominik odrzucił w stronę pociętych szczap siekiere, z którą do tej pory się nie rozstawał.

– Chuj tam z ogniskiem! Jadziem szukać dzieciaka.

I wszyscy ruszyli albo po kluczyki, albo od razu w stronę parkingu.

– Proszę państwa, a co z tym wszystkim – pracownik ośrodka oddelegowany do pomocy przy imprezie rozłożył ręce, wskazując na porzucone dobra.

– Słyszał pan, chuj z ogniskiem. Dzieciaka trza szukać. – Mostowski nawet nie spojrzął na schabowe i kielbasy. – Waldek – zwrócił się do sąsiada – zabierz nas z Drogowskim, bo już dalim se po kielonku i nie możemy prowadzić.

– Chodźcie, tylko zaczekajmy na moją żonę, bo poszła po torebkę.

Zaczęło zmierzchać, kiedy przez most przy Nowaczkach wiała się do wsi kawalkada samochodów. Sołtys, który jechał na czele, widząc rozświetlony cały dom, zatrzymał się, by zasięgnąć języka. Za nim ze swoich aut zaczęli wysypywać się pozostali.

– Zaczekajcie, sąsiedzi – powstrzymała ich Babcia. – Zadzwoń do Mirona, niech nam powie, jak najlepiej działać.

– Nie trzeba – usłyszeli za swoimi plecami głos agenta. – Dobrze, że jesteście. Obeszliśmy prawdopodobne miejsca, ale niestety... Proponuję, żeby po pierwsze każdy przeszukał swoje obejście. Tylko porządnie. Bo jeśli usnął albo nie chce się odezwać, to trzeba samemu wszędzie zajrzeć.

– Chłopy, tylko porządnie, do każdej psiej budy – zastrzegł sołtys.

– Na strychy i w każdy kącik każdego zabudowania. Stodoły, komórki, ziemianki, chlewy i obory.

– Kurniki i stajnie też – dodała Gąsowska.

– Żadnej stajni we wsi nie ma – sprostował Kacper.

– To garaże – zripostowała poczmistrzyni.

– Nie czas na przepychanki słowne, rozejdźmy się szukać – wtrącił Leszek.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. W zgromadzonych jakby granat rzucił, rozpierzchli się do aut, a później do swoich obejść.

– Zdam relację Eulalii, bo ona gotowa z tym gipsem po wsi latać i szukać z innymi. A tu będzie sztab. Zostańcie i w razie czego to i tak wszyscy do was będą przychodzić, opowiadać o postępach poszukiwań i wypytywać o rozwój sytuacji.

– Jednak zadzwonię do tego dyrektora szkoły, niech mi poda numery telefonów do dzieciaków z klasy – zaofiarowała się Zuzka.

– Dobry pomysł, a my jeszcze przejdziemy tamtym brzegiem rzeki – odparł Miron – Oby nie skończyło się jakimś nieszcześnie.

– Ja nie usiedzę beczynninie – Babcia gotowa była do działania.

– Joasiu, to może byśmy zbadali to wzgórze za domem mojej Eluni, bo w tamtej okolicy z panami jeszcze nie byliśmy – zaproponował Leszek. – A tam sporo zarośli i to gruzowisko po kościele, i stare kopce do sprawdzenia.

– Świetnie! – ucieszyła się Babcia. – Tylko robi się chłodno, a on pewnie nie ubrany, bo w dzień słonko grzało... I na głodniaka. Weźmy ten polarowy kocyk... On jest lekki. I może coś ciepłego

w termos? I kanapeczkę jakąś, to zanim dotrze do domu, niechby coś zjadł...

Babcia nie byłaby babcią, gdyby nie myślała o takich drobiazgach. Leszek wziął pod jedną pachę kocyk, pod drugą Joannę i ruszyli na poszukiwania.

Zmrok coraz bardziej się pogłębiał. Sąsiedzi niestrudzenie przetrząsali wszystkie kąty. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył we wsi dwóch obcych aut zaparkowanych dyskretnie w różnych punktach.

Eulalia nie mogła znaleźć sobie miejsca i czuła się zupełnie bezużyteczna, zabrała się więc do inwentaryzacji apteczki. Musiała zająć czymś myśli, bo beczynne siedzenie kłóciło się z jej charakterem. Jednocześnie nie była w stanie skupić się nad książką ani nad żadną bardziej odpowiedzialną czynnością. Jej myśli biegły do zagubionego Huberta. Gdzieś w tym gęstniejącym mroku siedział samotny... Bo nie dopuszczała możliwości, że stało się coś złego. Wyłączyła telewizor, bo denerwowały ją kolejne tragiczne wiadomości, o których donoszono z całego świata. W domu panowała cisza. Noga pod usztywnieniem śwędziała niemiłosiernie, upały w ciągu dnia powodowały lekkie odparzenia. Eulalia schyliła się, by długopisem podrapać się pod gipsem, gdy usłyszała głośny brzęk, a nad jej głową przeleciał sporych rozmiarów kamień. Wzdłuż linii jego lotu na podłogę posypało się szkło. W jednej chwili padła na podłogę. Była wystraszona i zdeorientowana. Gdyby noga nie zaswędziała, kamień trafiłby prosto w nią.

– Ty suko miastowa! – usłyszała gdzieś zza wybitego okna. – Kurwo! Złodziejko! Zabrałaś mi wszystko, dziuro! Ukradłaś! Życie mi ukradłaś, fładro.

Nie czuła się złodziejką. Nie rozumiała powodu wyzwisk. Głosu nie знаła, ale zorientowała się, że zapijaczony. Drugiego ataku kamieniem nie było, więc odważyła się wstać i chyłkiem zbliżyć do okna. Przed jej domem, chwiejąc się i przytrzymując plotu, stał obcy mężczyzna.

– Dziwko, oddawaj mi, co nie twoje! – darł się.

Eulalia zachodziła w głowę, kim może być ten człowiek i dlaczego oskarża ją o kradzież. Czyżby to jeden z poszukiwaczy skarbów, dotąd nikomu nieznanym, uważał, że pozbawiła go bogactwa? Mężczyzna chwycił oburącz furtkę i chociaż nie była zamknięta na zamek, szarpał nią tak gwałtownie, że aż grzechotała.

– Przybłędno pieprzona! Wracaj, skąd cię piekło przyznało. Wywłoko pazerna!

Wystraszona Eulalia obawiała się, że pijany agresor w końcu zorientuje się, że wystarczy nacisnąć klamkę. Rozejrzała się za czymś do obrony. Jedynie stary świecznik stojący na komodzie mógł jej się przydać. Chwyciła go w obie ręce i przycisnęła do siebie, oczekując ataku. Jednak miała szczęście.

Zwabieni hałasem i wyklinaniami zjawili się przed jej domem Rafalski z Martyniakiem, którzy skończyli inspekcję swoich obejsć i szli zbadać okolice wyrobiska. Widząc rozszedzonego napastnika, przystąpili do interwencji. Eulalia ze swojego punktu obserwacyjnego za firanką nie słyszała, co do niego mówili, ale sądząc po tym, jak wymachiwał rękoma i opędzał się, ani myślał zrezygnować.

– Nie będzie mi tu, miastowa Barbie mojej krwawicy zabierać! – bełkotał. – Odpieprzcie się, bo i wam dołożę, zdrajcy!

A że szarpanina zaczęła przybierać na sile, Eulalia zadzwoniła po policję. Zanim z powrotem odwróciła wzrok w stronę zajścia, zdołała tylko zobaczyć, jak Rafalski (kto by pomyślał, to przecież taki grzeczny człowiek!) prawym sierpowym przygrzmocił napastnikowi w szczękę. Tamten z trudem złapał równowagę i usiłował oddać cios. Nim zdążył się zamachnąć, zarobił z drugiej strony od Martyniaka. Dostał jeszcze kopa w krocze i padł na kolana. Rafalski złapał go za kołnierz i posadził na rowie. Z jego gestów wynikało, że kazał mu siedzieć grzecznie. Wymierzył mu jeszcze z liścia w głowę i wyjął telefon. Coś powiedział, kogoś wysłuchał i schował aparat do tylnej kieszeni spodni. Spacyfikowany napastnik próbował jeszcze wstać, coś mamrotał, czego Eulalia nie słyszała. W końcu kiedy Martyniak podniósł go za kłapy i posadził z powrotem, ten dla porządku jeszcze moment się odgrażał, a potem dał za wygraną. Po kilku minutach na drodze pojawił się radiowóz. Dwaj policjanci

zapakowali delikwenta na tylne siedzenie, porozmawiali dłuższą chwilę z sąsiadami, prawdopodobnie wyjaśniając sytuację, popatrzyli w okna Eulalii, coś ustalili i odjechali, nie wchodząc nawet do domu.

Eulalia odetchnęła. Mogła teraz odłożyć świecznik na miejsce i kuśtykając, zabrać się do sprzątanía pobojozwiska.

Po bezskutecznych poszukiwaniach w swoich obejściach mężczyźni zaczęli wylegać na drogę, natomiast kobiety instynktem stadnym kierowały się do „gawry”. Jedna po drugiej zjawiały się w domu Nowaczków. Swoją frustrację i bezsilność objawiały wzajemnymi ciepłymi gestami i słowami pocieszenia. Wreszcie, same nie wiedząc skąd taki odruch i kto zainicjował, zaczęły się wspólnie modlić w intencji odnalezienia Huberta.

– Kaplicę mi z domu zrobiły – sarkają półgłosem Zuzka, usiłując z pomocą Jolki dodzwonić się do dyrektora szkoły.

– Widocznie tutaj widzą więcej Opatrzności. Spróbuj jeszcze raz – Jolka zachęciła Zuzannę do ponownego wybrania numeru.

Tym razem udało się uzyskać połączenie. Przynęła się do Jolki, żeby obie mogły słyszeć rozmówcę.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – Zuzka odetchnęła, słysząc w słuchawce głos. W kilku słowach wytłumaczyła, w jakim celu dzwoni.

– Nie mogę pani podać żadnych danych. Mamy ustawę...

Jolka wyszarpnęła aparat z ręki Zuzy.

– W dupie mam ustawę razem z pana durnymi skrupułami. Dziecko zginęło. Chce pan mieć je na sumieniu? Nie zastawiaj się durniu ustawą, bo to stan wyższej konieczności, więc nie pierdol głupot, tylko dawaj te numery.

– Jolka! Uspokój się – usiłowała załagodzić sytuację Zuza.

– Jakie uspokój się? Jak mam się uspokoić, kiedy słyszę takie bzdury?! Ja się uspokoję, jak dziecko będzie w ramionach matki. Słyszysz, durniu?!

Słyszał i durniem nie był.

– Czy skan albo zdjęcie dokumentu wystarczy?

– Aż nadto. Dawaj pan!

– To za jakieś dziesięć minut prześlę MMS-em. Muszę dojść do sekretariatu.

– Okej, czekamy – i Jolka się rozłączyła. – Czy on mieszka w szkole?

– Zdaje się, że przez plot. Trochę przesadziłaś – Zuza odebrała z rąk przyjaciółki telefon. – Zadrapałaś mnie.

– Przepraszam, ale ty byś się z nim pieprzyła dwa dni i nic byś nie wskórała. Za bardzo praworządna jesteś. Z takimi, co mają kawałek władzy, trzeba po męsku.

W tym momencie piknął telefon Zuzy.

– Mamy numery – ucieszyła się. – Prześlę do ciebie i podzielimy się robotą. – Przyjrzała się dokumentowi. Oprócz rubryk z imionami, nazwiskami i numerami telefonów, reszta była zakryta.

– Dobra, to ty bierzesz początek, a ja od piętnastego. Hej, kobity – Jolka zwróciła się do zgromadzonych w świetlicy – ciszej te zdrowaśki, bo dzwonimy po ludziach.

Babcia z Leszkiem byli w pobliżu, ale zasłonięci bryłą domu Eulalii nie słyszeli awantury pod jej płotem. Skupieni na poszukiwaniach nawoływali i wsłuchiwali się, by wyłonić potencjalną odpowiedź dziecka. Zignorowali więc pijackie wyklinańia jakiegoś oberwańca gdzieś daleko. Przetrzęsając zarośla, dotarli wreszcie do ruin kościoła. Leszek przyświecił pod nogi latarką z telefonu, żeby mogli wspiąć się na wzniesienie usypane z osiemnastowiecznego gruzu. Znaleźli się na czymś w rodzaju tarasu, gdzie spomiędzy cegieł wyrastały kępy trawy, a w rogu rosło młode drzewko. Wszędzie przyroda brała górę nad zapomnianym zwaliskiem.

– Zobacz, jak tu romantycznie! – zachwycona widokiem Babcia wciągnęła w płuca rześkie powietrze. Rzeczywiście, przed nimi rozciągał się urokliwy widok na rozgwieżdżone niebo, światła wsi w dole i unoszące się nad stawami mgły.

– Noc i słowiki, gwiazdy jak byki... – zacytował.

– Ach, wszystko potrafisz obrócić w żart – fuknęła zirytowana. – Zobacz, jak pięknie.

I Joanna niebezpiecznie zbliżyła się do brzegu zwaliska.

– Uważaj! – zdążył krzyknąć, kiedy spod stóp Joanny osunął się kamień. W geście rozpaczliwej chwyciła rękaw koszuli Leszka i pociągnęła go za sobą. Oboje zjechali po omszałych kamieniach dobre dwa piętra niżej w rozpadlinę. Po rumorze, który wywołał upadkiem, nagle w ciemnościach zaległa absolutna cisza.

– O, ja piernicze – stęknęła Babcia, kiedy już wrócił jej oddech. – Żyjesz?

– Nie jestem pewien. Chyba złamałem nogę – jęknął. – Do tego wypadł mi telefon i nie mogę go znaleźć.

– Mój został podłączony pod ładowarkę. Ani nie zadzwonię z informacją, że żyjemy, ani nie przyświecę sprawdzić, czy da się stąd wyjść.

– Nawet nie próbuj. Dwoje kulasów wystarczy. Strasznie tu wysoko – zauważył.

– Chyba głęboko – poprawiła go Joanna.

– Kwestia punktu odniesienia. Tak czy inaczej, ugrzęźliśmy. Nie dam rady wyjść i tobie też nie radzę robić żadnych doświadczeń w tym kierunku.

– Wszyscy szukają Huberta, nikt nie będzie szukał nas – z filozoficznym spokojem zauważyła Joanna.

– Może znajdziemy jakąś drogę wyjścia, jak się rozwidni. Czekaj, spróbuję się ruszyć.

I Leszek powolutku dźwignął się, by usiąść. Pomacał obolałą nogę, delikatnie nią poruszył.

– Chyba tylko stłuczona. Ale nieźle rąbnąłem. A tobie nic nie jest?

– Poza utratą godności, kiedy jechałam na tyłku? Chyba nic. Najwyżej portki ucierpiał... Jaki człowiek głupi – dodała. – Zjeżdżałam taki kawał i ani mi przez myśl nie przeszło puścić torbę z termosem. Ciekawe, czy ocalał?

Chroniony w locie termos okazał się cały.

– Zostawmy tę herbatę na później, bo robi się coraz chłodniej – zaproponowała. – Jeśli nas do tej pory nie znajdą, to nad ranem będzie jak znalazł na rozgrzanie.

– Od świętej Anki... – Leszek przywołał przysłowie. – Szkoda, że nie wlałaś do środka trochę rumu.

– Przecież to miało być dla dziecka.

– Ale mamy koc. Też go nie puściłem.

I w tym momencie całe ich napięcie pierzchno. Zaczęli się śmiać.

– Jesteśmy w czarnej dupie – oznajmił Leszek.

– Jasne – przytaknęła. – Zatem zacznijmy się tu urządzać.

Leszek znalazł wygodniejszą pozycję.

– Chodź – rozpostarł koc, dając znać, że oboje się nim okryją.

Opatulili się polarem, rezygnując do rana z walki o uwolnienie i trwali przytuleni w oczekiwaniu świtu.

Mężczyźni na drodze przekazywali sobie wieść: nie znalazł się.

Sołtys podszedł do zatroskanego Mirona.

– Nie ma go. Co teraz robimy?

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

– Rozmawiał pan z panią Zuzią? Udało jej się złapać dyrektora szkoły i podzwonić po uczniach z tej klasy?

– Nie przyniosło to skutków. Sprawdziliśmy oba brzegi rzeki, przetrząsnęliśmy gospodarstwa i wszelkie zakamarki. Kamień w wodę. Może pies coś by pomógł, ale Jasiak ma dziś służbę i zabrał go ze sobą – Miron wyglądał na zmęczonego, ale wciąż miał nadzieję.

– Czyli co dalej? – sołtysowi również skończyły się pomysły.

– Wyczerpaliśmy nasze możliwości. Za dużo czasu minęło od zaginięcia. Chyba czas najwyższy ogłosić Child Alert.

– Nie chciałbym być w jego skórze, jeśli okaże się, że siedzi w jakiejś dziurze i dobrze się bawi, widząc, jak go szukamy.

– Nie podejrzewam go o taką perfidię. Za bardzo się starał przygotować do tego dnia, za bardzo to przeżywał, żeby teraz stroić sobie takie żarty.

– Jednym słowem 112? – Wąsowski czekał na potwierdzenie.

– Tak, ale to muszą zgłosić rodzice. Chodźmy do nich.

Bartkowiakowie siedzieli na schodach do domu. Zgarbieni i przygaszeni. Ojciec Huberta, który nigdy nie był zbyt wylewny ani w słowach, ani w gestach, tym razem pociesząco obejmował żonę. Basia przysiadła kilka stopni niżej i za wszelką cenę usiłowała powstrzymać łzy. Efektem jej wysiłków był grymas niemal teatralnej brzydoty.

– Kochani, czas powiadomić służby – oznajmił zdecydowanie Miron.

– I co im powiemy? – mruknął Bartkowiak. – Że uciekł, żeby nie jechać do ciotki, bo postanowił sam stawić czoła kłątwie? – prychnął.

– Powiemy, że zaginął. Nawet państwo nie zdają sobie sprawy, z jak durnych powodów dzieciaki uciekają z domów albo podejmują próby samobójcze.

– O Boże! – Bartkowiakowa złapała się za serce – Chyba nie myśli pan...

– Przepraszam, nie powinienem podawać tego przykładu. Oczywiście, że tak nie myślę... To co? Dzwonimy?

Bartkowiak otarł dłonie w spodnie i ciężko wstał.

Miron sięgnął po swój telefon. Wybrał 112, przedstawił się z imienia, nazwiska i niedawno pełnionej funkcji w służbach.

– W Wiosce Małej zaginął chłopiec. Lat dziesięć. Ostatnio widziano go w domu rano, około dziesiątej i od tej pory ślad po nim zaginął. Podjęte przez całą społeczność wsi poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Nie ma go w miejscach potencjalnego ukrycia, nie ma u kolegów. Przeszukaliśmy wieś i brzegi rzeki. Wyklucziliśmy porwanie. Rodzice nie mają wrogów i nie są zamożni... Nie było żadnego żądania okupu i nikt nikomu nie groził. – Tu Miron chwilę się zastanowił, ale szybko odgonił tę myśl. – Potrzebna jest pomoc – podsumował, a kiedy usłyszał pytania zadawane z tamtej strony, relacjonował dalej. – Średniego wzrostem rówieśników wzrostu i średniej budowy ciała, jasne włosy. Za chwilę podam telefon rodzicom, to uzupełnią dane... Tak, zdjęcie też prześlemy. Do widzenia.

Miron przekazał aparat Bartkowiakowi. Treść rozmowy w dużej części się powtórzyła. Tak, nie widzieli go od rana. Tak, szukali. Tak, pytali. Tak, dzwonili. Tak, też zajrzeli. Tak, u kolegów też. Tak, lat dziesięć. Tak, średni o jasnych włosach. Tak, mógł uciec. Tak... mógł sobie zrobić krzywdę.

– Zaraz będą. Mamy wysłać zdjęcie.

Tym razem ożywiła się Basia.

– Wyglupialiśmy się wczoraj i narobiliśmy mnóstwo zdjęć. Są w moim telefonie. Część nie będzie się nadawała, bo robiliśmy dzióbki i inne głupie miny, ale może coś da się wybrać – podała telefon Mironowi.

Przewinął galerię i spośród kilkudziesięciu durnych fotek udało mu się znaleźć taką, którą można było wykorzystać w poszukiwaniach. Od razu przesłał.

- Teraz pozostaje tylko czekać – westchnęła Bartkowiakowa.
- Jeszcze zadzwonię do Jaśka, może będzie mógł przyjechać z psem.

Eulalia ostrożnie pobierała do papierowej torby po prezentach co większe kawałki sztucznej szyby. Drobnicę zmiotła na szufelkę i również wyspała do torby. Uznała, że nie będzie wyrzucać tego do domowego kubła na śmieci w obawie, że ktoś może się pokaleczyć. Postanowiła od razu wynieść potłuczone resztki do pojemnika za domem. Nie zwracała sobie głowy zamykaniem drzwi nie tylko na klucz, ale i w ogóle. Kuśtykając i podpierając się o ścianę, dotarła do śmietnika i po chwili wróciła. Chwyliła szcztokę stojącą w kącie, żeby odnieść ją na miejsce i aż podskoczyła. W salonie stał mężczyzna. Nie spodziewała się nikogo, a już na pewno nie tak nagle. W stłumionym świetle lampy nie miała problemów z rozpoznaniem gościa.

- Co ty tu robisz? – spytała obcesowo.
- Przyszedłem cię odwiedzić – padła odpowiedź.
- Nie zapraszałam cię. I nie przychodzi się w odwiedziny bez zapowiedzi. Co, telefon ci ukradli? Nie mogłeś zadzwonić, że się wybierasz? A, i ostrzegam, tylko nie kłam, dziś Dzień Prawdy, więc może cię pokarać.
- Miałem w okolicy interes do załatwienia – wyjaśnił.
- A jakie ty możesz mieć interesy w okolicy? – prychnęła.
- Mężczyzna zbliżył się do niej na dwa kroki.
- Właściwie, to ty jesteś tym interesem. – Zabrzmiało to niezbyt miło. – Przyjechałem specjalnie do ciebie.
- A narzeczona o tym wie? Nie pomyślałeś, że nie chcę cię widzieć? Niepotrzebnie się fatygowałeś. Jeśli chciałeś mnie zobaczyć, to zobaczyłeś i do widzenia. Na drugi raz napisz, to przysię ci zdjęcie.
- Nie będziemy tak ze sobą rozmawiać...
- W ogóle nie będziemy rozmawiać. Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co mieliśmy do powiedzenia. A teraz przepraszam cię bardzo, ale muszę posprzątać ten bałagan do reszty.
- Widzę, że nie bardzo cię tu lubią.
- Lubią, nie lubią, nie twoja sprawa. Wyjdź, proszę.
- Nie po to tłukłem się na to zadupie, żeby wracać do domu z pustymi rękoma. Gdzie masz te fanty?
- Oczy mu się rozbiegły w poszukiwaniu miejsca, w którym mogło być coś ukryte.
- Jakie fanty? O czym ty mówisz? – Zanim Eulalia skończyła, już знаła odpowiedź. Wyczytał to z jej oczu.
- Dobrze główkujesz – stwierdził z udanym uznaniem. – Dokładnie o TE FANTY chodzi. O depozyt Zatopeków. Gdzie to jest?
- Eulalii przebiegło przez głowę stado myśli. Skojarzyła fakty i powiązała je z osobami dramatu. Miała nadzieję, że już się skończył, a tu się okazało, że jest jeszcze jeden akt.
- Zdaje się, że ty i twoi koleś przeszukaliście tu wszystko i niczego nie znaleźliście. Dlaczego uważasz, że miałam więcej szczęścia?
- Nie zgrywaj idiotki większej niż jesteś. Albo po dobroci oddasz to, co schował Zatopek, albo inaczej będziemy rozmawiać. – Zabrzmiało to jak groźba... bo było groźbą.
- Stuknij się młotkiem w głowę. Naprawdę myślisz, że gdybym znalazła trefny towar, tobym go zatrzymała w domu?
- Czyli gdzie on jest? – Mężczyzna chwycił Eulalię za gardło i przycisnął plecami do ściany.
- Nie rozumiesz. Nie ma żadnego depozytu.

– Nie wkurzaj mnie, bo ci zrobię Noc Prawdy – uścisk na szyi przybrał na sile.

– Durniu, gdybym to znalazła, oddałabym wszystko policji – wycharczała.

– Za chytra jesteś, żeby oddać walkowerem taką kasę.

– Jaką kasę? Brudne, śmierdzące pieniądze?

– Pecunia non olet – zacytował po łacinie.

– Jak komu. Te pieniądze śmierdzą na odległość... Jeśli w ogóle gdzieś są.

Za ich plecami dało się słyszeć odgłos otwieranych drzwi.

– Potrzebuję latarki, masz jakąś? – Miron wkraczał do domu wciąż zaaferowany poszukiwaniami.

Nie spodziewał się zastać takiego widoku. Mężczyzna był równie zaskoczony. Przestał dusić Eulalię, ale chwycił ją za ramię.

– A pan to kto? – spytał Miron obcesowo.

Eulalia rozcierała obolałą szyję.

– Pozwól, że ci przedstawię, mój były mąż – wychrypiała przez obolałe gardło.

– A to pewnie twój aktualny kochaś?

– Nie powiem, żeby mi było miło – Miron zignorował przytyk. – I co tu się w ogóle dzieje?

Dopiero teraz zauważył rozbite okno. Mężczyzna podążył za jego wzrokiem.

– Widać Lalka ma więcej wielbicieli. Może niektórzy w ten sposób wyrażają swoje uczucia. A teraz skończmy te grzeczności i przejdźmy do konkretów. Oddajcie graty Zatopków i więcej mnie nie zobaczycie.

– Obawiam się, że jeszcze nie raz przyjdzie się nam oglądać – odparł Miron. – Na okazaniu, na rozprawie... A będzie niejedna... Zanim cię przywiążę do kaloryfera, chciałbym zaspokoić swoją ciekawość...

– Marzy ci się, gostek. Mam dla was niespodziankę – były mąż Eulalii wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i pstryknięciem wywołali ostrze. – Nie będę dłużej powtarzał, dawajcie wszystko, co znaleźliście i nikomu nie stanie się krzywda.

– Uważaj, bo się skaleczysz – z udawaną troską w głosie ostrzegł Miron, powoli zbliżając się do napastnika z rękoma w kieszeniach.

– Nie podchodź, bo za nic nie ręczę – były wymachiwał nożem to w kierunku Eulalii, to Mirona.

– Nie stras, nie stras... – zakpił agent i w tym samym momencie sypnął mężczyźnie w twarz drobniakami, które miał w kieszeni.

Gdy tamten odruchowo uchylił się i zamknął oczy, Miron jednym skokiem dopadł go i obezwładnił, przy czym Eulalia nawet nie zdążyła zauważyć, jak. W jednej sekundzie groźny przed chwilą napastnik leżał twarzą do podłogi z rękoma wykręconymi do tyłu i przygnięciony kolanem.

– Czy możesz mi podać kabel od ładowarki? – Miron podawał Eulalii nóż.

– To ładowarka od laptopa ojca – precyzowała.

– Jakoś mu to wynagrodzimy.

Jak łatwo się domyślić, przewód postużył Mironowi do skrępowania ofiary.

– Co się z tobą porobiło? – Eulalia z niesmakiem patrzyła na byłego męża. – Zawsze byłeś nierozsądny, ale żeby aż tak?!

– To ty jesteś głupia pinda – zduszonym głosem rzucił były. – Naprawdę myślałaś, że taki ze mnie altruista, żeby ci dawać dom w prezencie? I myślisz, że to już koniec?

Miron mało delikatnie podciągnął obwiesia na krzesło. Tamten próbował się szarpnąć, natarł na Mirona, ale osiągnął tylko tyle, że oberwał w szczękę. Ponownie został pchnięty na krzesło.

– Nie kombinuj – usłyszał ostrzeżenie. – Czyli jak to jest z tymi fantami? Tylko nie kłam.

Bojowy bohater po obiciu gęby zamienił się w płacznego tchórza.

– A jak miało być? Normalnie. Zatopek ma tu dziupłę, ale struga głębia, że niby amnezja – śpiewał jak z nut. – Zatokowa po aresztowaniu męża spietrała, że jej się dobiorą do tyłka. Wiedziała, że będą chcieli dorwać się do fantów. I miała w dupie, co się z nim i jego majątkiem stanie, byle znaleźć się jak najdalej od jego interesów i kolesi. Nie miała bladego pojęcia, kto wróg, a kto przyjaciel. Chciała prysnąć za granicę, ale nie miała kasy. Przecież była „żoną przy mężu”. Sama w życiu złotówki nie zarobiła. Konto było na niego, wydzielał jej szczodłą ręką na waciki, ale jak go przyskrzynili, to została bez środków do życia, nie mówiąc o takich pieniądzach, które zapewniłyby jej bezpieczeństwo przed mafią. Przyszła z płaczem do kuzyna. Ten frajer naprawdę chciał jej pomóc.

– Nie opowiadaj mi tu łzawych historii Zatokowej, bo już je znamy, tylko spowiadaj się, co ciebie tu przywiało – Miron sprowadził zeznania na właściwe tory.

– Bracia Żaby, znaczy mojej narzeczonej, zwietrzyli interes, a że my już szwagry, to mnie dopuścili do spółki. Po kupnie domu mieli wolną drogę. Tylko głupia Żaba pospieszyła się z przekazaniem notarialnym i obecność Lalki komplikowała poszukiwania. Ale to nie ja, to oni...

– Oni, bo ty bałeś się tu pokazać. Przecież Eulalia by ciebie rozpoznała. Nie przyszło ci do głowy, że już wszystko przeszukaliście i po prostu nic tu nie ma?

– Nie. Bo gdyby nic nie było, to Zatokowa by tak nie histeryzowała, szczególnie jak jej męża pobili w więzieniu. Żebyście ją zobaczyli... Pewnie najpierw sama szukała.

– Może znalazła? – podsunęła rozwiązanie Eulalia.

– Gdyby znalazła, to nie musiałyby sprzedawać domu i z tego powodu odwlekać ucieczki, a BARDZO jej się koło tyłka paliło. Dla niej liczyła się każda minuta. Tu MUSI coś być.

– Nie ma – spokojnie obwieściła Eulalia.

– Bo nie szukaliście.

– Szukaliśmy. Z georadarem i wykrywaczem metalu. Cal po calu. Nie ma. Daremny wasz trud. Wpadłeś za nic.

Były mąż Eulalii zwiesił głowę.

– Nie wierzę – wybąkał.

– Zanim cię zamkną za rozbój, dawaj mi kasę za wybitą szybę – Eulalia, nie zważając na to, że jest związany, wyciągnęła rękę.

– Niby czemu? To nie ja.

– Ale twój koleś.

– Nie znam tego gościa. Wykorzystałem, że narobił zamieszania, żeby się tu dostać, ale to jakiś obcy facet. Masz widocznie więcej wrogów.

Miron z Eulalią wymienili spojrzenia. Nie przychodziło im do głowy, kto jeszcze może być zamieszany w tę awanturę.

– Okej, skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, to teraz coś trzeba z nim zrobić, bo są ważniejsze sprawy niż pechowi poszukiwacze skarbów – Eulalia cały czas miała poczucie, że tracą czas, który powinien być poświęcony na poszukiwania Huberta.

– Obiecałem – rzekł Miron i zgodnie z zapowiedzią przedłużaczem od lampy przywiązał intruza do kaloryfera. – Popilnujesz go? – zwrócił się do Eulalii.

– Idź. Nami się nie przejmuj. Dam radę – i ponownie chwyciła świecznik. – Jak zobaczysz Ziółkowskiego, to go przyslij, bo jednak wolałabym pozbyć się kłopotu jak najszybciej.

– Jasne. W razie czego, to go zastrzel – i Miron, żeby rozładować atmosferę, puścił do niej oko.

Przeszedł do kuchni, gdzie chwilę buszował w poszukiwaniu latarki. W końcu znalazł i wyszedł. Od razu zadzwonił do aspiranta.

– To jeszcze nie koniec! – odgrażał się były do zamkniętych już drzwi.

– Za mało tych kanapek zrobiłam – uznała Babcia, kiedy rozwinęła wałówkę przygotowaną dla Huberta. – Nie przewidziałam, że to będzie kolacja dla dwojga.

– Prawie romantyczna, brakuje tylko świec – Leszka nie opuszczało poczucie humoru.

– Potrzyj – Joanna podała mu termos, a sama układała kanapki na papierze rozpostartym na kolanach.

Leszek odkręcił korek i nalał herbatę. Siedzieli na dnie rozpadliny oparci o ścianę. To miejsce dawniej było prawdopodobnie piwnicą kościoła. Zarwany strop nad ich głowami odsłaniał kawałek rozgwieżdżonego nieba.

– Słyszysz? – zapytał, gestem uciszając Joannę.

Chwilę zastygła bez ruchu.

– Nie. Co mam słyszeć? – skupiła się zasłuchana.

– Jakby ktoś śpiewał...

– Ummm. Raczej jęczał albo miauczał.

– Nie – powątpiewał Leszek. – To na pewno nie kot.

– Ale to nie piosenka. Żadna melodia, raczej zawodzenie.

– Gdzieś z góry dochodzi. Ale na gorze nikogo nie było... To chyba głos odbity... Jakby z innej części ruin.

– Czyżby tu straszło? Jakaś dusza potępiona? – Bez cienia lęku snuła domysły Babcia. – Nowa legenda? Nikt nie wspominał, że tu straszły.

– Już prędzej w tego kota uwierzę – Leszek nie dał się wciągnąć w lokalne bajki. – Napij się tej herbaty, póki ciepła. I przykryj się kocem, żebyś nie zmarzła. Chcesz moją paprykę, bo nie lubię, jak mi się po niej odbija.

Nie, nie. Latarka nie była potrzebna do poszukiwań dziecka. Po prostu sołtysowi upadły kluczyki od samochodu. Kręcił nimi nerwowo, wymysknęły się z ręki i poszybowały nad rowem. Widzieli mniej więcej gdzie, ale po ciemku nie mogli ich znaleźć. Ze wszystkich osób zebranych w tym miejscu, czyli razem z dziesięciu chłopca, Miron miał do latarki najbliższej. Trochę mu zeszło, ale wreszcie się go doczekali. Błyszczący w świetle mały przedmiot szybko się odnalazł.

A w sprawie Huberta napięcie sięgnęło zenitu. Nikt tego głośno nie powiedział, ale zaczęto dopuszczać myśl o tragedii. Dziecko nie ginie na cały dzień i pół nocy. Nawet jeśli zabawił się gdzieś z innymi dziećmi, to i koledzy powinni wrócić do domu, i ich rodzice, jeśli widzieli u siebie małego gościa, powinni zakończyć zabawę i go odesłać. Jeśli wlaź w jakiś kąt i zasnął, to po tylu godzinach powinien się obudzić i objawić. Gdyby się wybrał do kogokolwiek z rodziny czy znajomych, u których chciał przeczekać Dzień Prawdy, to odpowiedzialni ludzie powinni zadzwonić do rodziców i uprzedzić, że zaopiekują się nim. Nic takiego nie nastąpiło, a to wróżyło źle.

W ciągu kilku minut od wezwania pojawiły się we wsi służby. Pierwsza przyjechała miejscowa policja z komendy w Miasteczku. Po jakimś czasie dołączyli funkcjonariusze Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób Biura Służby Kryminalnej Komendy Głównej Policji prosto ze Stolicy. Ogłoszono Child Alert. Każdy policjant na patrolu w całym kraju miał już zdjęcie Huberta. Radio i telewizja już szykowały komunikaty. Miron powiadomił bezpośrednio Jaśka, żeby w przypadku oddelegowania ich zespołu do poszukiwań zabrał ze sobą psa. Rzeczywiście, jednostka Janka jako najbliższa wydarzeniu została przysłana razem z oddziałem ratownictwa wodnego do przeszukiwania rzeki, stawów i wyrobiska. Na drodze zrobiło się tłoczno od ludzi i sprzętu. Od tej chwili akcję i kierownictwo nad nią przejęli zawodowcy. Miron przekazał wszelkie ustalone informacje i usunął się w cień, gotów w każdej chwili do wykonywania poleceń osoby dowodzącej. Właściwie odkąd zdał raport z dotychczasowych czynności, przestał być potrzebny. Nie przywykł do biernego oczekiwania. Z tłumu mundurowych wyłowił Janka. Rysiek, zdezorientowany w takim tłoku, trzymał się swego pana, uważając, żeby nie wchodzić nikomu pod nogi. Jak na żyjącego w spokoju psa za dużo się tu działo.

– Miałem nadzieję, że to właśnie was przysła – Miron ucieszył się na widok przyjaciela.
– Jak tylko zadzwoniłeś, od razu porozmawiałem z dowódcą i pozwolił mi na samodzielne działania. Chłopaki ogarną robotę beze mnie.

– Myślisz, że da radę? – Miron wymownie spojrział na Ryśka, który kręcił się nerwowo.

– Nie jestem pewien. Węch mu częściowo wrócił, ale czy na tyle, żeby pójść za tropem? Ja go traktowałem jak psa kanapowego. Owszem, był wybiegany i czasami bawiliśmy się w chowanego, ale to nie to samo co służbowy dryl. Jedyna nadzieja, że był do tego szkolony i pewnych rzeczy nie zapominał. A jak nie Rysiek, to i tak pewnie ściągną swoje psy. Bez nich nie ma żadnych poszukiwań.

– No dobra. To chodźmy do Bartkowiaków po jakąś próbkę zapachu.

Po drodze do rodziców Huberta mieli okazję obserwować działania służb. Oddziały już maszerowały w towarzystwie części mieszkańców wsi w kierunku lasu. Mieli tam utworzyć tyralierę i przeczesywać teren, zaglądając pod każdy krzak. Strażacy z oddziału ratownictwa wodnego odjeżdżali ze swoim sprzętem w stronę mostu, tego przy sklepie Wrońskich, gdzie był najlepszy dostęp do rzeki, żeby zwodować łodzie i pontony. Nie zdecydowano się jeszcze na wezwanie helikoptera z kamerą na podczerwień.

– Kiedy zgłaszałem zaginięcie, zapytali mnie, czy jest możliwe, że to porwanie. Zaprzeczyłem – relacjonował Miron Jankowi. – Ale teraz nie jestem tego taki pewien.

– Dlaczego?

– Niby nie było żadnych żądań od porwawcy, ale chodzi mi po głowie, czy zaginięcie Hubcia nie ma czegoś wspólnego z fantami Zatopka.

– No coś ty! Jaki to może mieć związek? – Janek nie podzielał obaw przyjaciela.

– Nie mogli w prosty sposób dobrać się do tych gratów, cokolwiek by to było, to spróbowali siłowo. Myśla, że my to mamy i chcę na nas wymusić zwrot.

– Ale zgłaszał się ktoś z takim szantażem?

– Na razie nie – przyznał Miron. – Ale... Ach, przecież ty nie wiesz... Objawił się były mąż Eulalii. Wdarł się do domu, napadł na Eulalię i zażądał fantów. Mieliśmy szczęście, że wróciłem po jakąś pierdołę...

– Dorwałeś go? – Janek wszedł mu w słowo.

– Już go Ziółkowski zgarnął... Tylko jak go przycisnąłem, to strasznie się rzucił i wspominał, że ma dla nas jakąś niespodziankę. Nie wiem, czy miał na myśli nóż, który wyciągnął, czy szykują coś innego.

W tej chwili doszli do gospodarstwa Bartkowiaków. Matka Huberta pogratulowała sobie lenistwa, bo wczoraj nie chciało jej się wstawić prania. Tylko temu zawdzięczają, że znaleźli ubrania, które nosił. A że jak to chłopak zganiał się i spocił, przeto ciuchy porządnie przesiąknięte były jego zapachem. Mężczyźni wzięli jedną z bluz, zostawiając resztę dla ewentualnych dalszych tropicieli.

Pies podjął trop. Nie było to dla niego łatwym zadaniem, bo w międzyczasie wszystko zostało dokumentnie zdeptane. Kręcił się, wracał, łapał na nowo ślad. Rodzice Huberta ruszyli z nimi, ale Janek ich powstrzymał, żeby nie rozpraszać Ryśka. Podążali za nim wyłącznie z Mironem.

– Ale żeby porwać dziecko...? – kontynuował przerwany wątek Janek. – Gdyby to byli ludzie z mafijnej ekipy, tobym się mógł z tobą zgodzić, ale to są patafiany jakieś, które zwąchały popłuczyny po przestępcach. Kidnapping to dla nich za poważna sprawa. Szukaj, piesku... Szukaj!

– Kiedy właśnie dlatego, że są głupi, to mogli wpaść na taki pomysł. Zgarnąć dzieciaka na przykład sprzed sklepu i nie zastanowić się nad konsekwencjami. Myślisz, że tacy kretyni myślą o następstwach?

– Szukaj, Rysiek.

Poszukiwania przeniosły się na tereny mniej zdeptane setkami nóg, więc trop był tu wyraźniejszy. Pies przyspieszył, a za nim, wierząc w jego zdolności, pobiegli przewodnicy. Trasa początkowo prowadziła nad stawy. Zarówno Janek, jak i Miron przeżyli chwile grozy, gdy pies znalazł się na

pomoście. Chociaż wcześniej tu szukano, obaj spojrzeli w czerń wody z nadzieją, że niczego nie wypatrzą. Jankowi zdążyło przejść przez głowę, że i tak jego koledzy za chwilę zaczną przetrząsać zbiornik. Zaczęli od rzeki, by zdążyć, zanim zniosłaby ciało gdzieś dalej. Tu woda jest stojąca. Gdyby... to co najwyżej spłynąłby głębiej. Ale nie podzielił się tymi przemyśleniami. Tym bardziej że Rysiek zakręcił się w miejscu z nosem przy deskach i zszedł na stały ląd. Tu znów przez moment zdawał się zdezorientowany, ale po chwili ruszył po śladach, które odnalazł.

– Dobry pies – pochwalił go Jasiek. – Słuchaj – zwrócił się do Mirona. – Gdyby to była jakaś odnoga mafii, to nie bawiliby się w podchody, tylko wparowaliby do wsi na bezczela, obili każdego, kto by im stanął na drodze, może nawet zrobiliby tu sobie mały poligon. Potrząsnęli nami, aż by nam w płucach zagrało i wytrzęśliby z nas wszelką wiedzę. Albo przyjechali buldożerem i zrównali wieś z ziemią, żeby znaleźć zbugę.

– Może to za mała wartość, żeby sięgać po takie środki?

– Gdyby była mała, to nie byłoby wokół niej takiego zamieszania – wyciągał wnioski Jasiek.

Pies prowadził ich na tyłach gospodarstw. Posuwali się od strony pól i łąk.

– A znów ten były mąż Eulalii i całe to jego szwagrostwo to trochę za krasnale na taką robotę – myślał na głos Miron. – Bracia narzeczonej w areście, ojca uważali za łatwowiernego głupca, więc jego wykluczam z podejrzeń. Były sam by nie zorganizował porwania...

– A w ogóle wspominał coś? Szantażował?

– No właśnie nie. Oprócz tej niespodzianki, o której mówił, to nie.

– Chyba nie byłby taki głupi, żeby narażać życie dziecka, przemilczając jego miejsce pobytu, kiedy go areztowaliście?

– Daj spokój, to mięczak. Mało się nie popłakał, jak go uderzyłem. Ale wykluczyć tego wątku całkiem nie można.

Znaleźli się na wysokości domu Eulalii. Do tej pory Rysiek kierował się prostą drogą od gospodarstwa do gospodarstwa, cały czas wzdłuż ogrodzeń, równoległe do drogi. Tym razem trop poprowadził go w bok. Oddalili się od zabudowań, przed sobą mieli czarną bryłę ruin kościoła. Rysiek ciągnął Janka na naprężonej smyczy. Mężczyźni ufnie podążali za psem. Od rosy mieli już mokre nogawki, ale kto zwracałby na takie drobiazgi uwagę. Wspięli się na sam szczyt gruzowiska, świecąc latarkami i rozglądając się.

Po zjedzeniu kanapek i wypiciu gorącej herbaty Babcia pewna, że prędzej czy później zostaną uwolnieni, przestała się przejmować i w poczuciu bezpieczeństwa zasnęła z głową na ramieniu Leszka.

Leszek, póki nie ruszał nogą, nie odczuwał bólu, więc również zostawił troski do rana. Nie zamierzał po ciemku ryzykować zrobienia sobie większej krzywdy przy próbie wspięcia się na urwisko. Był wdzięczny Joannie, że nie histeryzowała i nie biadoliliła z powodu wypadku, tylko zachowywała się rozsądnie i z pełnym zaufaniem w pozytywne zakończenie przygody. Miło mu było, że siedzą tak przytuleni, znów poczuł się młodo i męsko. I chociaż niepokoił się, jak uda im się uwolnić z potrzasku, chodziło mu po głowie, że nie będzie to takie łatwe albo okaże się całkiem niemożliwe i już snuł wizje, co zrobią i jak się zachowają, to doceniał te chwile bliskości.

On pierwszy usłyszał nad głową jakiś ruch. Spojrzał w górę i dostrzegł przesuwające się po ruinach światło reflektora. Po chwili dobiegły go stłumione głosy. Tracił Joannę, chcąc ją obudzić.

– Ocknij się. Hej, hej! – zawołał. – Jest tam ktoś?! Ludzieee! Tu jesteśmy!

Joanna wyrwana z drzemki nie od razu zrozumiała, że jest szansa na pomoc. Zamrugła, chcąc wyłowić z ciemności jakiś obraz. Wreszcie i do niej dotarło, że tam wyżej ktoś jest.

– Halo! Halo! Hej, tam na górze! Tutaj!!! – dołączyła do nawoływań.

Janek z Mironem od razu zorientowali się nie tylko w sytuacji rozbitków, ale i poznali, kim są.

– Joanna? Leszek? – Zdziwienie w głosie Mirona było jak najbardziej uzasadnione, bo spodziewał się znaleźć zupełnie kogoś innego. – Dajcie głos, bo was nie widzimy.

– Tutaj!

Po chwili w otworze przypominającym studnię ujrzeni trzy pochylone głowy – dwie ludzkie i jedną psią. Omiotło ich oślepiające światło latarek. Sytuacja nie była kolorowa. Stromizna ścian osuwiska wykluczała możliwość bezpiecznego wspięcia się.

– Jesteście cali? – spytał Jasiek.

– Z grubsza ujmując, tak. – Leszek zlekceważył stan potłuczonej nogi.

W sunących po dnie rozpadliny snopach światła dostrzegł zgubiony w czasie upadku telefon. Podniósł go zadowolony. Spróbował uruchomić. Działał.

– Nie ruszajcie się, zaraz sprowadzimy pomoc.

– A gdzie mielibyśmy iść? – trzeźwo zapytała Joanna.

Janek wybrał numer dowódcy. W kilku zdaniach opisał sytuację i wezwał wsparcie.

– Już lecą – zapewnił.

Rysiek szarpnął smycz.

– Prawda, piesku, szukaliśmy kogoś innego – poklepał psa po karku.

– Nie ma tam z wami Huberta? – krzyknął w stronę dziury w ziemi.

– Nie ma – usłyszał Leszka. – Ale możliwe, że jest gdzieś w ruinach, bo mogliśmy go słyszeć.

– Mówił, gdzie jest?

– Nie. Tylko straszło – uzupełniła Joanna.

– Straszło? – powtórzył Miron z niedowierzaniem.

– Coś miauczało, śpiewało i jakby wyło – wyjaśniła. – Ale nie wiem, z której strony.

– I nie ma pewności, że to on, bo to były raczej głosy potępińcze – uzupełnił Leszek.

– Możemy was zostawić? Zaraz wrócimy ze strażakami, ale szkoda każdej chwili. Zanim tu dotrą, spróbujemy się jeszcze rozejrzeć.

– Idźcie, idźcie – potwierdziła Joanna. – Nic nam nie jest. Możemy zaczekać.

Miron i Janek z bólem serca porzucili przyjaciół w rozpadlinie. Rysiek prowadził ich do podstawy rumowiska, za załom ruin, za którymi ukazało się wąskie i niewygodne przejście w głąb nieistniejącej już budowli.

– Jako gówniarz bawilem się tu w chowanego i przychodziliśmy w te zakamarki po kryjomu palić papierosy – wspominał Janek. – Zaczekaj, bo mi latarka szwankuje.

– Przecież nie palisz. – Miron czekał, aż przyjaciel upora się ze stykami baterii.

– A ty nie próbowałeś? Jak mnie ojciec nakrył za komórką na paleniu, jak mi dał popić i popalić, to raz na zawsze mi się odechciało.

– Wiedziałeś, że tu jest jakieś przejście? – spytał zadziwiony Miron.

– Wszystkie dzieciaki we wsi wiedziały. Przestało być interesujące, jak zasypało psa tych, co mają taki dom obrosnięty dzikim winem. Przyjechał inspektor budowlany. Nawet nie robił żadnej ekspertyzy, tylko od razu kazał to zamknąć i zabezpieczyć. Przyszli z powiatu ekipę, ale tylko coś tam pogrzebali i zamiast zrobić wsporniki ścian czy stemple pod stropy, to założyli kratę i tyle.

– Dobra, idziemy. Uważaj na głowę – ostrzegł.

Przez wąski przesmyk przedostali się do niezbyt rozległej niszy. Prawdopodobnie była to dawna kruchta, chociaż stopień dewastacji świątyni zatarł jej pierwotny schemat.

Od dalszej części ruin rzeczywiście odgradzała ich krata. To do niej kierował się Rysiek. Stał przed barierą, drapnął ją łapą i przysiadł na zadzie.

– Hubert, jesteś tu? – zawołał Jasiek.

Odpowiedziało mu ciche miauknięcie. Po chwili zza sterty gruzu wychyliła się postać chłopca.

– Kto cię tam zamknął? – spytał Miron, a do Janka zwrócił się półgłosem. – Jednak porwanie.

– Nikt mnie nie zamykał – odparł chłopiec. – Sam tu wszedłem.

– Ale jak tam się dostałeś? – zdziwił się Jasiek.

– Chudy jestem, to się przecisnąłem między prętami.

– Wylaż. Cała wieś cię szuka. Rodzice bardzo się denerwują.

– Jestem chudy, ale nie aż tak – zabrzmiało to żałośnie.

Okazało się, że o ile Hubciowi udało się wślizgnąć do środka, to za nic nie mógł tego dokonać w odwrotną stronę.

– Głowa ci spuchła czy co? – próbował żartować Jasiek.

– Tak naprawdę to za bardzo się nie starałem. Dwa razy spróbowałem i dałem spokój.

– Dlaczego? – Miron nie rozumiał, jak chłopiec z własnej woli mógł zdecydować się na uwięzienie.

– Bo najpierw bałem się, że jeśli mnie stąd uwolnią, to wyślą do ciotki. A jak minęło dużo czasu, to się zląkłem, że dostanę w domu wciry i będę musiał nakłamać, gdzie byłem. A dziś Nikodema.

– Nie chciałeś, żeby cię znaleźli? – Nie wierzył Jasiek. – To dlaczego straszylesz?

– Kogo? Nikogo nie straszylem. Jak mogłem straszyć, skoro tu siedziałem?

– A kto miauczał, wyl, śpiewał...

– To znaczy, tego... Nie miauczałem ani nie wylem... Może trochę. To znaczy... Strasznie bałem się, że skłamię. A jak tu tkwiłem, to okazało się, że nie potrafię milczeć, chociaż bardzo chciałem. Starałem się, że nie wiem. Naprawdę – zastrzegł. – Ale jak tak człowiek jest sam w takim trochę dziwnym miejscu... No bo dziwnym, nie?...

– Przyznaję, trochę tu dziwnie – potwierdził Miron.

– ...To głupio się robi i zaczyna sam do siebie gadać. A jak zacząłem gadać, to szybko pomyślałem, że znów skłamię. I jak wszyscy wytrzymają, tylko mnie się zdarzy, to będzie moja wina, że klątwa nie minie.

– I co zrobiłeś?

– I pomyślałem, że muszę mieć cały czas zajętą głowę. Najlepsze byłoby jedzenie, ale nie zabrałem nic ze sobą.

– I co wymyśliłeś?

– I zacząłem wydawać różne dźwięki, byle nie słowa. Dopiero jak się zmęczyłem, to przestałem. Ale wtedy to już mi się nawet gadać do siebie nie chciało i mogłem przestać.

– No dobrze, bracie, tylko jak ty teraz stąd wyjdiesz? W którym miejscu się przecisnąłeś? – Miron rozglądał się za najszerszym przesmykiem.

– Tu gdzieś – wskazał Hubert i podszedł do kraty.

– To spróbuj się wydostać. Nie martw się, jeśli ci się nie uda, to strażacy przetną pręty. Tylko zanim się tu pojawią, może sam spróbuj. My ci trochę pomożemy.

Hubcio przełożył nogę na zewnątrz, zrobił przysiad, żeby się zmieścić pod stalową poprzeczką i przecisnął pupę na drugą stronę. Tułów mu przeszedł, ale z głową były drobne problemy. Miron z Jaśkiem naciągnęli pręty, by poszerzyć szczelinę między nimi. Już po chwili chłopiec był wolny.

– Okej. To teraz powiadomimy mamę, żeby już się nie martwiła. Znasz numer? Chodźmy stąd, bo tam wszyscy na ciebie czekają.

Zanim wyszli, Miron, przyświecając sobie latarką, obszedł całe pomieszczenie.

Kiedy opuścili rumowisko, poczuli świeży powiew wiatru. Zatrzymali się na chwilę, by podziwiać widok rozciągający się ze wzniesienia, na którym przed wiekami zbudowano kościół. W oddali rozpościerała się niemal cała wieś. Pomimo środka nocy prawie we wszystkich domach paliły się światła. Wszędzie kręcili się ludzie. Błyski latarek migały po drugiej stronie rzeki, a na wodzie mocny

reflektor rozświetlał pole poszukiwań. Droga była aż niebieska od świateł wozów strażackich i policyjnych. Widocznie w tym momencie ktoś przekazał mieszkańcom dobrą nowinę, bo aż tutaj usłyszeli brawa i wiwaty. W ich kierunku runęła fala ludzka. Każdy chciał zobaczyć na własne oczy odnalezioną zgubę.

– Ale narodu! – zdziwił się tym widokiem Hubert.

– Wszyscy są tu z twojego powodu. – wyjaśnił Miron – Szukali cię od rana.

– Proszę pana... – zastanowił się Hubcio. – A jak tu od rana jest tak dużo ludzi, to myśli pan, że nikt nie skłamał?

Epilog

Po nocy pełnej przygód w salonie Nowaczek zebrali się sami swoi. Reszta albo odsypiała atrakcje, albo była przy obrządku.

– Ryśkwał się miCHA mięsa – wychwalał psa Leszek.

– Jeszcze mu się we łbie poprzewraca z tego całego uznania – Jasiiek niby bagatelizował zasługi pupiła, ale był z niego dumny. – Długo jeszcze w tej rozpadlinie czekaliście na chłopaków?

– Sądząc po odgłosach, to przybyli równo z całą resztą wsi – oszacował Leszek.

– Nie dziw się – tłumaczył Miron. – Kiedy ludzie dowiedzieli się, że mały się odnalazł, to wszyscy rzucili się, żeby zobaczyć go na własne oczy. Strażacy nie mieli jak przebić się przez tę ciżbę. Musieli się toczyć równo z tłumem.

– Mnie się tam za bardzo nie spieszyło – Leszek spojrział w oczy Joannie, która aż pokraśniała. – Za to wygląda, że Asi bardzo było pilno – dodał innym tonem. – Kiedy tylko spuścili drabinę, to jak kozica górską: myk-myk i już była na górze.

– Tobie wolniej poszło, bo miałeś stłuczoną nogę – broniła się Babcia.

– A jak teraz ta noga? – zainteresowała się Jolka.

– Do wesela się zagoi.

– Może już dajcie na zapowiedzi – Artur udawał, że jest bardzo zajęty wydłubywaniem rodzynek z sernika.

– Co nagle, to po diable – Joanna jak dziecko pokazała Arturowi język, co wszystkich rozbawiło.

– To co – Zuzka klepnęła się po udach. – Trzeba nadrobić tego straconego grilla.

– Ale chyba nie dziś? – Eulalia powstrzymała jej zapędy. – Dajmy ludziom ochłonąć i niech wszystkie sprawy się wreszcie pozamykają. Dopiero wtedy będzie co świętować. Okej, Hubert się znalazł, ale nie ma co robić fety, skoro znów nie wiadomo, kto nam się tu jeszcze zwali na głowę, kiedy i z której strony?

– Jedna sprawa definitywnie zamknięta – Artur sięgał po kolejną porcję ciasta. – Jeden prześladowca siedzi w areście i jego bajki już koniec. Opony samochodowe w okolicy są bezpieczne.

– Kto by pomyślał, że człowiek z wyższym wykształceniem kieruje się tak niskimi pobudkami. I to nie jakaś hetka-pętka, tylko facet na stanowisku – dziwiła się Joanna.

– Wszystko przez to, że właśnie chcieli mu to stanowisko zabrać – Artur oblizał palce z lukru. – Stracił zaufanie w całej okolicy i wszyscy poważni ludzie się od niego odwrócili. Zostały mu jedynie jakieś niedobitki dawnych znajomych, którzy głównie z przyzwyczajenia i z litości jeszcze zwracali się do niego z jakimiś drobiazgami, bo jeśli chodziło o coś poważniejszego, to już każdy wiedział, że należy unikać jego usług.

– Ale żeby tak głupio się mścił?! – Babci w głowie się nie mieściło.

– Jak? – Jolka nie była w temacie.

– Sołtys mówił, że to przy nim pękł – dodał Miron. – Pamiętacie, jak wtedy strzelano niby do Eulalii? Tego samego dnia upolowano dzika. Wisiał w chłodni trzy dni, bo nie było komu się nim zająć. Sołtys dzwonił do Eulalii, czy może zbadać mięso.

– On mnie nie pytał, czy mogę zbadać dzika – sprostowała Eulalia. – Tylko czy mam uprawnienia weterynarza urzędowego.

– To znaczyło to samo. Przecież nie chodziło o przeprowadzenia badania, tylko o formalne potwierdzenie. Po prostu o właściwą pieczęć.

– Sołtys przy nim dzwonił? – zdziwił się Artur.

– Przy nim – potwierdził Miron. – Myślał, że jest całkiem nieprzytomny, a okazało się, że jednak coś do niego docierało.

– Szkoda tylko, że nie to, co trzeba – mruknął Leszek.

– Ale powiedzcie mi w końcu, o kim mowa – nie wytrzymała Jolka.

– O weterynarzu – wyjaśnił Artur.

– Tym z Miasteczka?

– A znasz jakiegoś innego, którego chcieli pozbawić uprawnień?

– Eulaśka – Zuzka spojrzała na nią zmrużonymi oczami. – Ty zaczynasz być podejrzana. Co jakiś weterynarz pojawi się w tej wsi, to przestępca. Przyznaj się, masz coś na sumieniu?

– Jeszcze nie, ale będziesz moją pierwszą ofiarą – Eulalia rzuciła w Zuzę serwetkę.

– Wiedziałem, że znam ten kolor... – Artur podjął watek miasteczkowego „weta”. – Tą samą farbą, którą nabazgrał napis na drzwiach Eulalii, malowałem mu wcześniej altankę. Taki nietypowy odcień zieleni. Że też wtedy nie skojarzyłem. Obyłoby się bez dalszych nieprzyjemności.

– Mało cię nie zabił – Leszkowi przypomniało się, że jest troskliwym ojcem.

– Daj spokój, był pijany – Eulalia usiłowała zbagatelizować całe zajście. – Ale tak swoją drogą, gdyby mnie nie zaswędziało pod gipsem, to miałabym dziurę w głowie jak nic.

– I dobrze, że się Rafalski z tym drugim napatoczył – przypomniał Artur.

– No – przyznała Zuzka. – Po takim pijanym nie wiadomo, czego się można spodziewać.

– Skończą się jego wszystkie problemy – podsumowała Babcia. Wszyscy zwrócili na nią zaciekawiony wzrok, więc dodała: – Jak pójdzie siedzieć, to nie będzie się musiał martwić o klientelę.

Tym razem wszyscy spojrzeli na Eulalię.

– Najwyżej dostanie mandat za zakłócanie spokoju – wyjaśniła.

– A nie wyrok za usiłowanie zabójstwa? – Jolka usiłowała ustalić właściwy paragraf.

– Dajcie spokój – machnęła ręką pani weterynarz. – Przecież nie wsadzę faceta za kratki, bo po pijaku pocał mi opony i rzucił we mnie kamieniem.

– Chciał cię zabić – Jolka nie miała litości.

– Na jego miejscu sama siebie chciałabym zabić. Postawcie się w jego sytuacji. Przyjechała baba z miasta i zgarnęła mu klientów. Już został wystarczająco ukarany. Jak mu jeszcze teraz zabiorą uprawnienia... Ale nie znam procedur, nie wiem, czy to zrobią.

– Wytrzeźwieje, Ziółkowski go trochę nastraszy, wyskoczy z kasy za cztery pirellki i może się opamięta – Miron miał więcej wyrozumiałości niż Jolka.

– A może jakby dostał wyrok w zawiasach, toby się lepiej pilnował, niż jak mu ujdzie na sucho – upierała się przy swoim.

– A ten drugi pan weterynarz? – Zuzka przypomniała o innym intruzie, który również trafił w nocy do aresztu.

– Dajcie spokój – Eulalia miała dość wspomnienia. – Przecież to idiota.

– Przypomnę nieśmiało, że spędziłaś z tym idiotą kilka lat pod jednym dachem – Babcia była bezlitosna.

– Bo nie znam się na ludziach. Wiecie – przyznała – ja cały czas myślałam, że mam do czynienia z łagodnym głuptasem. Taki niby słodki nieudacznik, którego trzeba prowadzić za rączkę.

– Dopóki nie zaczął cię wczoraj dusić – mruknął Miron.

– Jak to pieniądze zmieniają człowieka – orzekła sentencjonalnie Babcia.

– I to nieistniejące pieniądze – doprecyzował Janek.

– Niekoniecznie... – Myśli Mirona odleciały gdzieś w przestrzeń.

Wszyscy utkwili w nim wzrok.

– Czyżbyś wiedział coś, czego my nie wiemy? – Artur przewiercał go wzrokiem.

– Jeszcze nie wiem, ale... Kto z was pamięta, kiedy zasypało tego psa w ruinach kościoła? Jasiiek, przypomnisz sobie?

– Jakieś siedem–dziesięć lat temu. Czemu pytasz?

– Bo coś mi się nie zgadza... – Miron głębiej się zastanowił, po czym klasnął w dłonie. – Zbierajcie się. Idziemy – zarządził.

Nikt nie zadawał zbędnych pytań. Nie trzeba było nawet dyrygować towarzystwem, żeby jak pod dyktando usadzili się w samochodach – starsi w Mirona, młodszy z Zuzką. Oba samochody zajechały na posesję Eulalii. Tylko na chwilę Miron zostawił towarzystwo, żeby wstąpić do domu, zajrzał jeszcze do garażu, po czym cała wycieczka pod jego przewodnictwem ruszyła za dom, na wzgórze, wprost do ruin. Eulalia dzielnie dotrzymywała im kroku, wspierając się na ramieniu przyjaciela. Ze względu na gips grupa poruszała się jej tempem.

Nocą droga wyglądała zupełnie inaczej, a we wnętrzu ekipa ratunkowa od razu skupiła się na odnalezionym chłopcu. Teraz przyszli tu w innym celu i na coś innego zwracali uwagę.

– Blisko, łatwo i dyskretnie – wyrecytował tajemniczo agent, kiedy znaleźli się na miejscu.

– Co my tu robimy? – spytał Artur.

– Kiedy wczoraj z całą resztą wsi przeczesywałeś las, my zwiedzaliśmy zabytki – wyjaśnił Jasiiek.

– No przecież wiem, że tu znaleźliście małego, ale co teraz? – Artur zamilkł, bo właśnie wkroczyli do zawalonej i porośniętej mchem kruchy. Miron włączył latarkę i omiotł światłem pomieszczenie.

– Ale tu fajnie! – wygłosiła entuzjastycznie Zuzanna.

Zbliżyli się do kraty. Snop światła ujawnił zlekceważoną wczoraj żółtą tablicę ostrzegawczą:

UWAGA!

OBIEKT GROZI ZAWALENIEM

WSTĘP WZBRONIONY!

Miron poświecił na kłódkę, która chroniła wnętrze przed intruzami.

– Wygląda na dziesięcioletnią? – spytał.

W rzeczy samej, kłódka, choć nie z tych lśniących, była względnie nowa.

– Przydałby się klucz – bąknął Leszek.

– Voilà – Miron jak magik wyciągnął z tylnej kieszeni spodni skryte pod bluzą dwa klucze płaskie o dużych oczkach.

– Chyba nie takie klucze Leszek miał na myśli – powątpiewała Jolka.

– YouTube'a nie macie? Nie widzieliście, jak się otwiera kłódkę bez klucza? – I wprawnym ruchem wyłamał zamknięcie.

– Myślałam, że w tej twojej firmie uczą agentów bardziej finazyjnych metod – zganila go Zuzka.

– Nie wybrzydź. – Wejście do wnętrza ruin stanęło przed nimi otworem. – Tylko ostrożnie – upomniał.

– No to uwaga, NADCHODZI NOC PRAWDY – odezwał się teatralnym szeptem Janek.

– Chyba dzień – poprawiła go Eulalia.

– To kontynuacja tego, co się wydarzyło w nocy. Poza tym jest ciemno – stwierdził strażak stanowczym tonem.

Poruszając się niemal na palcach i uważnie się rozglądając, sunęli za przewodnikiem. Światło wyławiało z ciemności nowe elementy ruin: zwaloną kolumnę, drewniane resztki bezpowrotnie zniszczonych ozdób, deski, cegły... Jednym słowem, z grubsza uprzątnięte rumowisko. Pod omszałą ścianą wałyły się stare beczki, wiadra do farb, zbutwiałe kartony. Oparta o ścianę drewniana drabina nie miała połowy szczebli.

– To pewnie pozostałości po konserwatorze zabytków, który tu był przy zabezpieczeniu obiektu – snuła domysły Jolka. – Już wtedy trochę interesowałam się sztuką, więc mnie nie wyganiali, tylko pozwalali popatrzeć, jak to inwentaryzują. Robili zdjęcia, wynosili, co jeszcze nie zostało wcześniej rozgrabione.

– Okradali kościół? – zdumiała się Zuzka.

– Nie, tylko proboszcz z Miasta przypomniał sobie o tych ruinach i chciał zgarnąć do biskupstwa ocalałe elementy. Prawie nic nie zostało, bo przecież tyle lat minęło od pożaru, no i wcześniej wszystko co cenne zabrano zaraz po tej tragedii. Ale konserwatorzy dość długo tu pracowali. Nawet był pomysł, żeby część odrestaurować i zrobić z tego atrakcję turystyczną. Ale wkroczyła inspekcja budowlana i okazało się, że to jest w takim stanie, że lepiej tu nie wchodzić. Poza tym nie było kasy na odbudowę. Widziałam nawet plany tego obiektu. Fajnie by było, gdyby to doszło do skutku.

O ile kobiety zachwycaly się magią tego miejsca, o tyle mężczyźni zaczęli przeglądać wiadra, beczki i kartony. Oprócz brudnych szmat, starych gazet i powalanych papierów nic w nich nie było.

– Skucha – oznajmił rozczarowany Artur.

Miron skierował światło na podłogę i uważnie przyglądał się śladom. Kamienie posadzki nierówno pokryte były wszechobecnym kurzem.

– Ciekawe – mruknął Miron i zgięty w pół, wpatrzony pod nogi podążył w kierunku, który wskazywały mu ślady. Kończyły się w nawie bocznej przy rozległej płycie z poplamionej liszajami sklejki zasłaniającej wnękę w murze. Rysy na podłożu świadczyły o tym, że była wielokrotnie przesuwana. Przesunął ją i Miron.

– A już myślałem... – Jasiek był rozczarowany odsłoniętym widokiem.

Wnęka zawierała takie same graty, jakie przed chwilą widzieli w kruchcie. Jednak Miron nie odstąpił od znaleziska. Wręcz odwrotnie, zaczął je sukcesywnie przeglądać. Przeważały pudła z wierzchu i w ten sposób dostał się do skrzyni pod nimi. Chciał ją unieść, ale okazała się ciężka.

– O, o... – stęknął i zamiast jak planował odstawić ją na bok, zajrzał pod wieko. Wraz z nim pochylili głowy pozostali.

Jęk zawodu słychać było aż na zewnątrz. Skrzynia zawierała porzuczone gwoździe, jakieś blachy, podkładki, jednym słowem złom. Nie bez trudu agent odstawił ją na ziemię, by otworzyć następną, która znajdowała się pod nią.

– Daj spokój – Leszek był zrezygnowany. – Szkoda koszuli. Już się upaprałeś.

– Jesteś pewien? – Miron gestem magika wyciągnął jak królika z kapelusza niebieską teczkę zapinaną na gumkę, a za nią kilka następnych w różnych kolorach. Ich stan wskazywał, że są całkiem nowe.

Towarzystwo ruszyło, bo zbadać resztę skrzynek i pudeł, które zalegały na stercie. Zuzka podeszła do przeciwległej ściany.

– Poświęć tu na chwilę – poprosiła.

A kiedy snop światła omiótł drewniane wrota wyjęte z zawiasów, okazało się, że i za nimi znajduje się kolejna piramida różnego rodzaju opakowań.

Rozproszone i odbite światło latarki, chociaż nie wydobywało detali, pozwalało zorientować się w rozmiarze znaleziska. A gdy obok skrzyni z dokumentami odkryto wiadro po farbie z pojedynczo zapakowanymi w folię kosztownościami, przez komnatę przeszło westchnienie.

– O kurwa! – tradycyjnie podsumował Artur.

Miron sięgnął po telefon.

– Konrad? Mam coś dla ciebie. Przyjedź z chłopakami. Tylko weźcie furgonetkę, bo trochę tego jest.

– Ja pierdołę! – Artur jedną ręką uniósł nad głowę plik banknotów (chyba dolary), drugą – starannie owinięty folią obraz. Choć niewyraźnie, jednak przez warstwę ochronną przebijała się namalowana postać Żyda.

– Fałat – oceniła Babcia. – Ostrożnie z nim!

Jolka podeszła do skrzynki, nad którą stał Artek. Sięgnęła w głąb i wydobyła plastikowy pojemnik spożywczy, taki mniej więcej trzylitrowy. Otworzyła hermetycznie zamykane wieczko i wyjęła zawiniątko – serwetka, może chusteczka jednorazowa. Spośród papierków wysunął się fragment złotej bransoletki. Odłożyła ją z powrotem i sięgnęła po kolejny pakuneczek. Ten zawierał kilka pierścionków. Jeden z nich wyglądał na starą, pewnie przedwojenną robotę. Inny błysnął w świetle latarki jak gwiazda.

– Obiadu to dziś chyba nie będzie – oznajmiła Babcia.

– Ja pierdołę! – po raz kolejny powtórzył Artur.

KONIEC

Warszawa, 20 kwietnia 2021 r.